This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.

- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.

- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.

- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich dzialań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

WIDENER
HN ZMU7 5

Slav
6595.
63.5 (1)

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of
THE KELLER FUND

Bequeathed in Memory of
JASPER NEWTON KELLER
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER
MARIAN MANDELL KELLER
RALPH HENSHAW KELLER
CARL TILDEN KELLER

VE RI TAS

KAROL KACZKOWSKI.

1808–1831.

WSPOMNIENIA

z papierów pozostałych

po ś. p.

KAROLU KACZKOWSKIM

generał sztab-lekarzu wojsk polskich

ułożył

Tadeusz Okszа Orzechowski.

I.

LWÓW

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta

przy placu św. Ducha l. 10.

1876

KAROL KACZKOWSKI.

1808—1831.

WSPOMNIENIA

z papierów pozostałych

po ś. p.

KAROLU KACZKOWSKIM

generał sztab-lekarzu wojsk polskich

ułożył

Tadeusz Oksza Orzechowski.

I.

LWÓW

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta

przy placu św. Ducha l. 10.

1876

Slav 6595.63.5 (1)

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
JUN 7 1966

Z I. Związkowej Drukarni w hotelu Żorża.

Wszystko co dotyczy historyi porozbiorowej różnych dzielnic naszego kraju, na tem większą zasługuje uwagę, iż rozproszeni i pozbawieni jawności, skrzętnem tylko zbieraniem materyałów i wzajemnem ich dopełnianiem, rozjaśnić możemy epokę, w której obezwładnieni na pozór, tyleśmy jednak dali dowodów żywotnej siły, wytrwania i przedsiębierczości. W rzędzie materyałów tych, główną zwrócić musimy uwagę na pamiętniki osób, które czy to zdolnością, czy też stanowiskiem, wybitne zajmowali w społeczeństwie naszem miejsce. Pisane pod wrażeniem chwili, pamiętniki takie jedne tylko zdolne są wyjaśnić nam, jakiemi drogami biegło życie naszych ojców i dziadów i zaznajomić nas z ich zachceniami, nadziejami i doznanymi zawodami.

Kierując się tą myślą, podajemy obecnie Szanownej publiczności wspomnienia Karola Kaczko-

wskiego. Szczegółową biografię jego znajdzie czytelnik przy końcu drugiego tomu; umieściliśmy ją tam dla tego, aby zachować naturalny porządek opowiadanych wypadków. Na tem miejscu dodamy tylko, iż życie ś. p. Karola Kaczkowskiego będąc jednym ciągiem nieustannych posług dla kraju, mieści w sobie wiele ciekawych ustępów, które dla czytającej i światłej publiczności naszej, obojętnymi być nie mogą.

Wydawcy.

I.

Z opowiadań mojego ojca.

Dziad wasz, ś. p. Franciszek Kaczkowski, Panie świeć nad jego duszą, (mawiał nam nieraz nasz ojciec), był synem pana Michała, miecznika opoczyńskiego.

Bene natus, bo pochodzący ze starej, piastowskiej jeszcze szlachty i herbem Nałęcz się pieczętujący, i *possessionatus* aż w dwóch ziemstwach, Chełmskiem i Łuckiem, pan miecznik opoczyński stałego doznawał od braci szlachty respektu i zaufania, a strzelisty afekt osobistej przyjaźni łączył go z księciem Michałem Kazimierzem Radziwiłłem, wojewodą wileńskim i hetmanem, Rybeńko zwanym. Razem na Szwedów wyprawy robili, razem też potem za króla Sasa popuszczali pasa. A gdy pan miecznik w sile jeszcze wieku zszedł z tego świata, na śmiertelnym łożu syna swego jedynaka, pana Franciszka, wraz z całem mieniem szczególnej opiece i protekcyi księcia Hetmana polecił.

Książe hetman, szanując wolę zmarłego przyjaciela, sprowadził sierotę na dwór swój, do Nieświeża, a że się zdarzyło, iż pan Franciszek jedno-

latkiem był księcia Karola, panie kochanku, więc wojewoda razem ich wychowywać rozkazał. Tak upłynęło lat parę, wśród których pan Franciszek, towarzysz nieodstępny młodego księcia, umiał sobie zyskać miłość i współczucie matki tego ostatniego, księżnej Urszuli z Wiszniowieckich. Wyszło to mu potem na złe, bo gdy podrastać zaczął, różne butne myśli o karmazynowem szlachectwie i o ojcowskiej spuściźnie roiły mu się po głowie, a fawory księżnej pani zdawały się je usprawiedliwiać; więc ufny w te ostatnie i w swoję własną fantazyę, nie chętnie ulegał formom i porządkom od młodych dworzan wymaganym, a nawet razu jednego w sprzeczce z szatnym księcia pana tak się uniósł, iż się na niego z szabelką swoją porwał. Taka niesforność oburzyła księcia hetmana i pomimo wszelkich względów, jakie miał dla niego, chciał już ojcowskie dać mu na szlacheckim kobiercu napomnienie, ale go księżna wojewodzina wyprosiła i skończyło się na tem, że go z Nieświeża do Wilna do XX. Jezuitów na edukacyą wysłano.

Nie długo tam z tych nauk pan Franciszek korzystał; nudziło mu się widocznie, umknął też niespełna w rok szczęśliwie do Warzawy, nic nikomu nie mówiąc.

W Warszawie, jak zwykle na wielkim świecie, różnie się ludziom przytrafia, a w tem tylko jednako, iż bez grosza trudna rada. Panu Franciszkowi naturalnie go zbywało, bo książe hetman dzierżył jeszcze ojcowskie mienie, a po ucieczce z Wilna bardziej niż przedt em zdawał się być zagniewanym.

— Ej, co tam! powiedział do siebie pan Franciszek; szlachcic na zagrodzie równy wojewo-

dzie! a znalazłszy jakiegoś powolnego jurystę, których pełno było w ówczas w stolicy, wystosował pozew do księcia, domagając się o wypłatę sumy deponowanej u niego przez ojca i o egzekucyą testamentu. Oburzony tem pan hetman, kazał zawołać do siebie Wołowicza, i ten taki respons do mego ojca wystosował:

„Jaśnie oświecony książe wojewoda i hetman polecił mi przesłać Panu następne Jego książęcej mości słowa: Świta waszeci w głowie, p. Franciszku, kiedy mnie o pieniądze i testament pozywasz. Wypłacić jednak Wać Panu kazałem w Warszawie to co jest ojcowizną i co z pradziadów Waszą było własnością wprzód w ziemi chełmskiej, a której resztkę rodzic Waszeci, a sercu memu zawsze miły ś. p. Michał, miecznik opoczyński, wychwyciwszy z drapieżnych rąk Szmigielskiego i ją spieniężywszy, deponował w części w kasie mojej dla bezpieczeństwa. Tego zaś, co ojciec Waszeci ma darem odemnie, jako pamiątkę za wyprawę w czasie wojny ze Szwedami, nie wypłacę teraz, lecz to wraz z testamentem ojca Waszeci dysponującym wsią Kutry w ziemstwie Łuckiem, jako pozostałą swoją w ziemi ojcowizną, gdy uznam po temu porę, oddam. To bowiem do mojej woli rodzic Waszeci zostawił. A Waszeci przez pamięć dla ojca rekomenduję więcej mieć rozumu, starszych słuchać, Boga miłować, a w pustotę i hulatykę nie wchodzić. Przyjmij Waszeć służby moje.

„Tak książe hetman kazał napisać, a ja od siebie szlę dobre życzenia poczciwemu, a zapamiętałemu p. Franciszkowi i opiece Boskiej, jako

sierotę oddaję. Datowany w Nieświeżu roku pańskiego 1751, dnia 5 Września. Wołowicz.“

Cóż robić? na tem trzeba było poprzestać. Odebrał p. Franciszek pieniądze, które mu w Warszawie książe hetman wypłacić rozkazał i dalejże hulać, aż z kilkudziesięciu tysięcy złotych mało co zostało.

— Kusa rada, pomyślał sobie wtedy mój ojciec, a wasz dziad; a poszedłszy do głowy po rozum ,zaciągnął się do pancernej służby, bo jeszcze z młodocianego wieku wielki miał do wojskowości popęd.

Dopiero koło 1760, podobno po śmierci księcia hetmana, zebrał się, już jako chorąży, do Nieświeża na odwiedziny księcia, panie kochanku. Przyjęcie było serdeczne, wspomnienia młodych lat odżyły w pamięci. Książe Karol kazał wypłacić panu chorążemu zapisany przez księcia hetmana kapitał i oddać wieś Kutry w ziemi Łuckiej z sutą nawiązką za tyloletnią administracyę; a gdy pan Franciszek, po całorocznej gościnie, począł się już był do swej chorągwi wybierać.

— Martwisz mnie, mości chorąży, panie kochanku—powiedział do niego razu jednego książe Radziwiłł — cóż? czy ci źle tutaj? czyś w gorącej wodzie kąpany, żeś do Nieświeża jak po ogień wskoczył i zaraz uciekasz. Dalibóg że nie godzi się, panie kochanku! Gotówem uschnąć z tęsknoty po tobie i będziesz miał śmierć Radziwiłła na sumieniu.

Uścisnął pan Franciszek kolana księcia wojewody za tak uprzejme zaprosiny—i został.

Za prawdę, nie gniewał się za tę gościnność księżęcą, a hulatyka pana wojewody bardzo mu do gustu przypadła. Zerwał się był do wyjazdu nie tyle z ochoty, ile z przyzwoitości, boć nie wypadało panu chorążemu na rezydencyi osiadać w Nieświeżu, jakoby własnej nie miał strzechy; to rzecz chudopachołków. Ale gdy go książę przemocą zatrzymał, gdy go nie puścił, a! to wcale co innego; to było dowodem afektu książęcego i uszanować go należało.

Został więc mój ojciec na dworze księcia panie kochanku, rozgościł się tam na dobre, wkrótce się ożenił i ani myślał Nieświeża opuszczać. Zawsze gorącego temperamentu, rąbał się byle o co, a księciu panu w każdej konfederacyi wiernie asystował. Że zaś i księciu wojewodzie rożnie się przytrafiało, czasem suto, czasem goło, więc i pan Franciszek różnym ulegał losom, wśród których i kapitał po księciu hetmanie pozostały się rozproszył i wieś Kutry zastawami obciążoną została.

Jam tymczasem podrastał—mówił nam dalej nasz ojciec—i z matką moją wciąż w Nieświeżu mieszkałem; a gdy książe wojewoda ufundował tam szkołę kadetów, przyjęto mnie do niej. Uczyłem się tam rachunków, niemieckiego języka, rysunków i musztry, a lekcye muzyki dawał mi osobno, przez szczególną dla mego ojca przyjaźń, dyrektor baletowej orkiestry, niemiec Wolf.

Nauki te nie trafiły mi jednak do gustu; gorąca krew, którą po ojcu odziedziczyłem, i ciągle rozbudzona wyobraźnia opowiadaniami o dzielnym Sawie, o Puławskim Kazimierzu i innych bohate-

rach konfederacyi Barskiej, na inną mnie popychały drogę.

Z owego to czasu pamiętam często powtarzaną, słynną przepowiednię księdza Marka. Tak brzmi ona:

Dotąd królestwo Polskie nie kwitnące,
Dokąd nie będzie znowu władające;
Ale jak prędko ocknionem zostanie,
Drgną strachem Lutry, Kalwin i Poganie,
Pierwsi dwaj swojej hardości przepłacą,
A drudzy prawo wraz z państwem utracą;
Kościół na skale stanie się wspaniały,
Dwugłowy w kolor przebierze się biały,
Jednogłów piersi czarnego osiędzie,
Z którym złączony cuda czynić będzie.
Natenczas wszelki pielgrzym swoje śluby
Złoży przy grobie, Bogu trybut luby.
Niewolnik wolny wyjdzie bez okupu,
Strzelec pozbędzie łakomego łupu.
Kozan naturę zimną w ciepłą zmieni,
Kogut z chytremi, jak wąż się wyleni.
I tak nastaną znowu złote wieki,
Wieść odpowiada—czas już niedaleki!
A ty, Polsko, po czasu niewiele
W smutnym się musisz wprzód zagrześć popiele.
Chytrzy sąsiedzi twoi Ciebie zdradzą
I mimo twej woli ze sobą powadzą.
Stąd strasznych wojen powstaną płomienie,
Miecz krwi niewinnej obficie naleje,
Wiele odważnych marnie zginie braci,
Wstyd, poświęcony Bogu, panna straci,
Kapłan z ofiarą przy ołtarzu lęże,
W też licho mnicha z zakonnikiem sprzęże.

Cna góra, złotym otoczona kołem,
Niech ufa Bogu, nisko bije czołem,
Bowiem najbliższa będzie strasznej burzy,
Dym ją z innemi zarówno okurzy.
Kwiaty z swych ozdób odarte zostaną,
Dni zgoła wszystkim płaczliwe nastaną.
Lecz się Najwyższy swej krzywdy użali,
Na nichże samych tę nędzę obali.
Więc czyń twojemu, wielkie dzięki, Bogu,
Bo on im przytrze wyniosłego rogu,
A ty jak Feniks z popiołu powstaniesz,
Całej Europy ozdobą się staniesz.

Proroctwo to datuje z r. 1767—tak ciągnął dalej nasz ojciec; wielu drwiło sobie z niego, inni gorące łzy leli na widok tych nieszczęść, które ks. Marek w natchnieniu swem krajowi przepowiadał i uważali je za głos Przedwiecznego i za przestrogę, aby wśród najboleśniejszej kary, jaka nas dotknąć miała, nie powątpiewać nigdy w ostateczny tryumf sprawiedliwości i miłosierdzia Bożego. Tak też to być musi, bo widzieliśmy już i widzimy co dnia, jak się te prorocze słowa księdza Marka sprawdzają, a da Bóg, że się też spełnią do końca.

Ale wracając do szkoły kadetów, przebyłem tam dwa lata z okładem, aż mnie razu jednego książe wojewoda z sobą do Warszawy zabrał. Rozpatrzywszy się w stolicy, nie chciałem już do Nieświeża wracać, a uprosiwszy u księcia Panie kochanku zezwolenie, wstąpiłem do gwardyi mirowskiej. Wojaczka najwięcej mnie zawsze nęciła, miałem do niej wrodzoną ochotę, o niej tylko marzyłem, a i temperament mój najbardziej odpo-

wiadał temu zajęciu. Oddałem się więc jemu z całem zamiłowaniem, dowódca pułku mnie w krótce polubił za ścisłość służby i w parę lat zostałem chorążym.

W młodej głowie dziwnie się roi, a krew byle o co burzy się i wre, zwłaszcza, gdy jest do tego z natury popęd; a ja już tę gorącość i fantazyę, zdaje się, po ojcu wziąłem; to też za każdą najmniejszą urojoną nawet obrazę mojej miłości własnej, ledwom w skórze usiedzić potrafił, tak mi się wszystko przewracało wewnątrz i taki robił się w głowie zamęt, żem świata przed sobą nie widział, a gotów byłem na najgwałtowniejszą pomstę. Żałowałem potem nieraz tego, co się w chwili takiego uniesienia wyrządziło — ale to było po niewczasie.

Zdarzyło się właśnie, iż w mojej kompanii był inspektor niemiec, w randze kapitana, i ten flegmą swą i ucinkowemi słowy nieraz mi dopiekł do żywego. Bywało to na służbie, musiałem więc zamilczeć i tylko, jak to mówią, na wąs wciąż motałem. Ale gdy w szeregu karność przedewszystkiem—po za służbą wolnyć Tomku w swoim domku, a że bywaliśmy razem u państwa Zielińskich, okoliczność odwetu przytrafiła się sama.

Państwo sędziostwo Zielińscy mieli córkę, imieniem Maryannę, ładną, hożą i wesołą pannę. Kapitan otwarcie prawie smalił do niej cholewki, a i mnie też wpadła była w oko. Kapitan był przysadkowaty, niezgrabny i z wyraźnym niemieckim akcentem mówił po polsku, braliśmy go więc często na fundusz i koncepta sypały się gradem. Nie przypadało mu to do smaku, zwłaszcza, że ja

tymczasem przysuwałem się coraz bliżej do panny i zaskarbiłem sobie jej wzajemność. Wytrwały jednak jak każdy niemiec, nie zrażał się tem bardzo i wciąż do państwa sędziostwa uczęszczał.

Aż razu jednego, było to właśnie w dzień imienin matki, na śtą Katarzynę, zebrało się było u państwa Zielińskich wiele gości i bawiono się na zabój. Przyjęcie w tym domu było zawsze serdeczne, a przy takiej okazyi kielichy krążyły bez ustanku; to zdrowie sędziego, to znów panny Maryanny, wnoszono na przemian, wymawiać się nie uchodziło, a czułem, że już mam w czubku, że rezon coraz lepszy, a ochota do awantury coraz gorętsza. W tem przez drzwi otwarte do drugiego pokoju, w którym tańczono, widzę jak mój kapitan, zaprosiwszy pannę Maryannę, wycina ochoczo mazura, bijąc hołubca jeden po drugim. Tego już mi było zanadto, przyskoczyłem więc do drzwi i wrzasnąłem:

— Ostrożnie, panie kapitanie, ostrożnie, bo nogi pogubisz!—a młodzież roześmiała się chórem.

Kapitan zakręcił się w miejscu, posadził pannę Maryannę, a podszedłszy do mnie, mówi:

— Dałbyś pokój, panie chorąży, tej pustocie, wszak my ludzie a nie dzieci.

— To obraza, przerwałem mu żywo, nie powinien się puszczać mazura, kto nie zgrabny; powinieneś przeprosić za to pannę Maryannę, a później nas wszystkich.

— Ale dałbyś pokój, odpowiada zwolna kapitan; pannę Maryannę przeproszę, ale za ciebie panie chorąży, nie za siebie.

— Co, za mnie? — krzyknąłem — to nowa obraza—rozprawimy się o nią, wyzywam cię.

— Ej! za cóż to pojedynek?—mówi z flegmą kapitan—obrazy honoru nie widzę, a zresztą jutro o tem pomówimy—i zabierał się do wyjścia.

Cała krew zakipiała we mnie, nie przytomny prawie rzuciłem się do niego, a porwawszy go za klapę od mundura, zawołałem:

— Stój niemcze! ani kroku! Jeśli tamta sprawa nie honorowa, to ta nią będzie—i targnąwszy za klapę, oderwałem mu ją całą.

Byłbym jeszcze wiele innych narobił z nim rzeczy, bo czułem wielką po temu ochotę, ale zamieszanie, jakie stąd wynikło, rozłączyło nas na razie. Młodzież otoczyła kapitana i wyprowadziła go z domu, chroniąc od większej awantury, panna Maryanna płakać zaczęła, a gospodyni domu, ująwszy mnie za obie ręce, błagała o spokój. Rozeszliśmy się w krótce, a ja żałowałem tego tylko, żem pannę Maryannę o łzy przyprawił.

Nazajutrz rano kazał mnie pułkownik aresztować. Oburzyło to do reszty wszystkich kolegów moich, którzy w tem widzieli wyraźny dowód zdrady. Opinia pułku całego wypowiedziała się jednomyślnie za mną i niemiec, *volens nolens*, musiał się zdecydować na danie mi honorowej satysfakcyi. Wybrał on pałasze. Krzyżową więc sztuką twarz mu naznaczyłem, aż sztywny wąs obwisł, a gdy po rozprawie rękę do mnie na znak zgody wyciągnął, odwróciłem się od niego, mówiąc:

— Niurembergskim lalkom ręki nie podaję.

Trudno jednak było po tej awanturze w tym samym pułku nadal zostawać i z kapitanem wspólnie

służbę pełnić. Przeniosłem się zatem do pułku Madalińskiego, a i kapitanowi nie smakował dłuższy w kraju naszym pobyt, bo coś nie długo po pojedynku podał się do dymisyi i ze swoim protektorem a dalekim krewnym, ambasadorem pruskim, do Berlina wyjechał.

Panna Maryanna, matka wasza — tak nam dalej ojciec opowiadał—przyjęła w kilka miesięcy potem moją deklaracyę i niebawem poprzysięgliśmy sobie przed ołtarzem miłość i wierność dozgonną. Ojciec mój pan Franciszek, nie mógł na mój ślub do Warszawy przyjechać, bo już nie domagał, listownie tylko nas pobłogosławił, a w rok niespełna Bogu ducha oddał. Matkę moją też w krótce Pan Bóg do swej chwały powołał. Zostałem więc tylko sam z żoną, która mi jedno po drugiem, dwoje ślicznych dziatek na świat przyprowadziła. Do gospodarstwa nie mając wielkiej ochoty, a nadto służbą wojskową i obowiązkami rodzinnemi skrępowany, umyśliłem sprzedać wieś Kutry, panu Paszkowskiemu, który na niej i bez tego prawem zastawu siedział, a za wyręczoną ztąd gotówkę i za część posagu mej żony kupiłem piękny dom na Pradze z obszernym ogrodem, aby miała gdzie moja jejmość z dziećmi przemieszkiwać, niedaleko od swych rodziców, których opieka zawsze przydać się jej mogła, zwłaszcza przy częstych ekskursyach, do czego mnie służba wojskowa zmuszała.

Tak tedy pędziliśmy sobie żywot spokojny, a jedyną dolegliwością, zatruwającą nam te chwile szczęścia, była niedola kraju, nad którym coraz czarniejsze zdawały się zbierać chmury. Jakoż przeczucia nasze nie były płonnemi. Po okropnym

sejmie grodzieńskim, w Listopadzie 1793 roku, gotowała się burza, a serca wszystkich chęcią wojny pałały. Wezwany przez Madalińskiego, stawiłem się w Pułtusku, gdzie była jego główna kwatera, na dniu 15 Marca r. 1794, a stamtąd wkrótce przeszliśmy Wisłę w Wyszogrodzie i rozpoczęliśmy przeciw Prusakom działania. Szło nam dość gładko z razu, zabieraliśmy wszystko co na drodze się spotkało, amunicyę, kasy, oficerów i żołnierstwo.

W tymże samym czasie wybuchały jedno po drugiem powstania w różnych prowincyach naszego kraju. 24 tegoż miesiąca ruszył się Kościuszko w Krakowie, a świetne odniesione przez niego zwycięztwo nad wojskiem rossyjskiem, d. 4 Kwietnia pod Racławicami, dodało otuchy wszystkim. D. 23 Kwiet. rzuciła się do broni Warszawa. Mokronowski przewodził tam wojsku, Zakrzewski załodze, a Kiliński mieszczanom, zwłaszcza starego miasta. Rossyanie ustąpić musieli ze stolicy. Pożar objął także i Litwę; Wilno powstało dnia 23 Kwietnia, pod Wawrzeckim i Jasińskim. Zewsząd dochodziły nas pocieszające wieści, mnożyły się nadzieje, a wiara w gwiazdę i patryotyzm Kościuszki była bez granic.

Nie chciał jednak widocznie Pan Bóg nas tym razem pocieszyć. Pomimo ogólnego zapału, wielkich cnót i zdolności naczelnego wodza, rzeczy inny wzięły obrót, jakeśmy się spodziewali.

Niepomyślna bitwa dnia 7 Czerwca pod Szczekocinami, gdzie Kościuszce przyszło się niespodziewanie spotkać z przeważnemi siłami Prusaków i Rossyan, a po której był zmuszony cofać się ku Warszawie; porażka Zajączka przez artyleryę pruską pod Chełmem dnia 8 tegoż miesiąca, a na-

stępnie nieszczęsne a podejrzane oddanie Krakowa Prusakom przez generała Wieniawskiego, dnia 12 Czerwca, wszystko to następowało jedno po drugiem, jak grom po gromie. Naczelnik sądził, iż odciągnąwszy Prusaków przez obszerne, wywołane w ich własnych prowincyach powstanie, zdoła on jeszcze rozprawić się z sukcesem z Rossyanami, skoro sam na sam z nimi zostanie. W tym też celu przesłał generałowi Madalińskiemu rozkaz, aby się ten jak można najgłębiej w ziemie należące do Prus zapuścił, a dla wsparcia jego akcyi, generał Dąbrowski z osobną komendą miał w tęż samą zdążać stronę.

Poturbowani trochę przy przejściu przez Narwę, odwetowaliśmy w krótce za swoje, a przyciągnąwszy ku Wielkopolsce, wielkiej tam dodaliśmy otuchy. Następnie połączeni z Dąbrowskim i z całą masą Wielkopolan, pod przewodnictwem Mniewskiego już w ogólne powstanie uorganizowanych, wyparliśmy zewsząd Prusaków, zabraliśmy całe południowe Prusy i wcisnęliśmy się nawet do Szląska.

Gdy się nam tak dobrze w tej wyprawie powodziło, łupu w amunicyi, broni i pieniądzach nabraliśmy dosyć, a nawet kilku znakomitszych pruskich jeńców w ręce nam wpadło; umyślił generał Madaliński odesłać część tych trofeów do Warszawy, bo mogły się one były Naczelnikowi przydać i mnie polecił takowe odwieść. W stolicy nie spieszono się z wyekspedyowaniem mnie napowrót, a nawet zatrzymano umyślnie przy królu dla różnych ordynansów, z czego rad byłem bardzo, bom mógł przez ten krótki czas żoną i dziatkami się nacieszyć.

XVIII

Otóż, razu jednego, a było to pod koniec miesiąca Sierpnia, z rana przyszedłem jak zwykle na zamek, aby się dowiedzieć, czy nie ma jakiego dla mnie rozkazu, gdy w kilka chwil potem doręczają mi ekspedycyą królewską do oddania księciu prymasowi z zaleceniem doczekania się jego odpowiedzi. Spełniłem natychmiast polecenie, a że prymas dopiero po skończonej toalecie miał dać rezolucyę, wypadło mi dość długo na nią czekać. Pokoje prymasowskie były prawie puste, służba tylko krzątała się od czasu do czasu, a ja dla zabicia nudów, przyglądałem się rozwieszonym po ścianach malowidłom. Może już dobre pół godziny minęło gdy usłyszałem turkot powozu, zatrzymującego się przed pałacem. Spojrzałem w okno i widzę, jak z otwartego koczyka wyskoczył nie wielkiego wzrostu generał; poznałem go zaraz, był to Kościuszko.

Zawsze ten człowiek robił na mnie nie zwykłe wrażenie. Jego prostota i powaga zarazem, wyraz łagodności, dobroci, a przytem głębokiej myśli wyryty na jego twarzy, wzbudzały pomimo woli uczucie szacunku i zaufania do niego, a słynna przeszłość, pełna poświęcenia i patryotyzmu, przejmowały czcią każdego, kto się doń zbliżył. Skorom więc go ujrzał, wybiegłem naprzeciw i spotkałem wchodzącego na wschody.

— Czy jest książe prymas? zapytał mnie żywo naczelnik.

— Jest, odpowiedziałem, ale się ubiera.

W tej chwili ukazał się także i marszałek dworu prymasowskiego, któremu generał oświadczył, że chce się z prymasem widzieć. Pobiegł

żywo przodem, a myśmy wolno po wschodach stąpali.

Pytał mnie się naczelnik, czy nie mam jakich nowych od generała Madalińskiego wiadomości, czy jużem się dosyć żoną i dziećmi nacieszył, a w miarę jakeśmy się do gabinetu prymasa zbliżali, wolniał widocznie krok jego. Sądziłem zrazu, że chce mu dać czas, aby z wielkiego negliżu cokolwiek się uporządkował, ale spostrzegłszy na pogodnem zawsze czole jego nasuwającą się coraz bardziej chmurę smutku i troski, pomyślałem sobie, iż inny musi być tego powód i że naczelnik nie chętnie w te progi wkracza. Gdyśmy już stanęli w gabinecie, położył Kościuszko rękę na mem ramieniu i powiedział:

— Proszę dziś do mnie po depesze, a jutro z Bogiem w drogę, potrzebują tam pana, panie chorąży. Miejcie zawsze ufność w Bogu i we własnych siłach. A powiedz pan swoim, że się dzielnie sprawiają, ojczyzna wdzięczną wam będzie za to, a ja tymczasem dziękuję.

Ukłoniłem się naczelnikowi za te słowa otuchy, a gdym się oddalił, aby go samego zostawić, ujrzałem wchodzącego z przeciwległej strony księcia prymasa, z uśmiechem na ustach, wyświeżonego i w ranną fioletową sutannę ubranego. Rozmowa ich nie była długa; w kwandrans może wyszedł szybkim krokiem generał Kościuszko z gabinetu, wydał mi się smutniejszym jeszcze niż wprzódy, bardziej w myślach pogrążonym, na nikogo okiem nie rzucił, zbiegł prawie po wschodach i odjechał.

Ta troska męża, w którym cały naród złożył swoje nadzieje i swą przyszłość, zastanowiła mnie

bardzo. I sam posmutniałem. Czyż już tak źle idzie nasza sprawa? pytałem się w duchu, czy mamy znowu uledz przemocy? ależ nic jeszcze tego nie zapowiada, mówiłem sam do siebie, ochota wszędzie wielka, Prusaków dusimy na dobre, jeńca i armat nieprzyjacielskich pełno, a trzeba jeszcze więcej, przyprowadzimy, jak Bóg Bogiem, jakem z Nałęczów Nałęcz! Nie, inny być musi powód smutku tej najczystszej cnoty, tego bohatera, który i w najcięższej chwili nie wątpi pewno o przyszłości swojego kraju. A jaki? Bóg to wiedzieć raczy, bo któż oprócz niego, tajniki serca ludzkiego odgadnie!?

Gdym się biedził tak z myślami memi w audyencyonalnej sali prymasowskiego pałacu, wyszedł ku południowi marszałek, oddał mi moją ekspedycyę i zwiastował kilku oczekującym na przyjęcie, że książe prymas nagle zachorował i nikogo widzieć nie może. Rzeczywiście rozruch pomiędzy służbą zrobił się większy, rozesłano na wszystkie strony posłańców, a sekretarz prymasa co tchu kazał siebie wieść do pani Krakowskiej, siostry królewskiej. Wszystko to dla mnie było pełnem zagadki i tajemnicy.

W kilka godzin potem po całej Warszawie była głośną gwałtowna choroba księcia prymasa. Karet, różnych ekwipażów i koni pełno było na pałacowym dziedzińcu; król odwiedził także z panią Krakowską chorego brata, a pod wieczór, wieść o śmierci księcia prymasa, z rozmaitemi komentarzami, krążyła po mieście. Najwięcej dawano wówczas wiary następującej wersyi: Prymas był w ścisłych stosunkach z rządem pruskim i serdecznie mu sprzyjał, a nawet, jak wielu twierdziło,

niebezinteresownie; chciał więc uwiadomić go o ruchach wojsk polskich i o dalszych planach wojny, aby mu przez to ułatwić nad naszą armią zwycięstwo; że zaś komunikacya z Prusakami była utrudniona, kazał więc wyszukać zręcznego rybaka i polecił mu, za sowitą nagrodę, dostawić tajemnie pakiet z papierami do obozu pruskiego. Poczciwy mazur, zamiast wykonać to polecenie, wolał go go zanieść wprost do kwatery pana naczelnika. Generał Kościuszko, mając w ręku tak wyraźny dowód zdrady, zawiózł go i złożył temu, od którego wyszedł. Nie było co robić, dla uratowania honoru imienia trzeba było śmiercią to okropne przejście zapieczętować, przerywając w ten sposób cały wątek zbrodni, za którą bardziej jeszcze upakarzająca, a zasłużona czekała go kara. Mówiono, iż król był tegoż samego zdania. Otruł się więc prymas.

Nie wiem o ile sprawiedliwą była ta wieść o śmierci prymasa, mnie jednak trafiła ona zupełnie do przekonania, bo w wersyi tej widziałem wytłumaczenie całego zachowania się Kościuszki w prymasowskim pałacu i wyjaśnienie tego, nad czem wprzód daremniem sobie głowę mozolił.

Tegoż samego dnia wręczono mi w głównej kwaterze depesze naczelnika do generała Madalińskiego, do Mniewskiego, Niemojewskiego i Wybickiego. Jego samego nie widziałem już, mówiono mi, że był na zamku; a nazajutrz rano, uściskawszy żonę i dziatki, ruszyłem na powrót do obozu.

W czasie mej nieobecności, Madaliński zająwszy Brześć kujawski, zdołał zatopić we Wrocławku 16 pruskich statków, napełnionych ciężką

amunicyą, dla bombardowania Warszawy przeznaczoną. Wielka stąd była radość w wojsku. Następnie szliśmy wciąż naprzód, wyciskając zewsząd pruskie załogi. Ta pomyślność naszego oręża, połączona z usiłowaniami Zajączka i księcia Józefa Poniatowskiego, dzielnie broniących Warszawy, zmusiła króla pruskiego, który ją w 40 tysięcy oblegał, do cofnięcia się na dniu 6 Września i do spieszenia do własnego kraju, gdzie nawet po Szląsku szerzyły się i organizowały powstania. Myśmy mieli przed sobą pruskiego pułkownika Szekuly. Posiadał on najobszerniejszą władzę i mógł najsurowszych używać środków, tak przeciw powstańcom wziętym do niewoli, jak przeciw wszelkiego stanu osobom, w obec rządu pruskiego zakompromitowanym. Okrutnego był charakteru, a nawet jak powszechnie mówiono, uprzedzał rozkazy swego króla, który miał być łagodniejszych usposobień. Szubienica i kula rozstrzygały u niego najmniejsze ślady podejrzeń. Najwyższa Rada w Warszawie, oburzona takiem postępowaniem Prusaków, upoważniła nas do odwetu, aleśmy z tego pozwolenia prawie nie korzystali, bo się natura polska na takie okrucieństwa wzdrygała.

Wkrótce nadciągnął przez Narwę i generał Karwowski. Dąbrowski zajął Gniezno i tak ze wszystkich stron parliśmy zaciętego Szekulego, że po wielu rozprawach, z różnem szczęściem odbytych, rozbiliśmy go na głowę, jego samego z wielu oficerami i mnóstwem żołnierza wzięliśmy w niewolę—a miasto pruskie Bromberg zajęliśmy z bogatemi zapasami soli, sukna, żelaza, żywności i broni. Radość z tego zwycięstwa była wielka, naczelnik

nowe nam przesłał podziękowanie, a my tyleśmy już byli pewni nadziei, żeśmy sobie obiecywali wszystkich pruskich generałów i dowódców w krótce naszemu drogiemu Kościuszce jako jeńców przyprowadzić.

W tej to bitwie zdobyłem rangę porucznika i głębokie cięcie w prawe ramię, a że jejmość pani małżonka lepiej chorego dopilnuje niż felczer w szpitalu, prosiłem generała Madalińskiego, aby mi pozwolił do Warszawy pojechać. Generał zawsze łaskawy na mnie, chętnie się zgodził, zwłaszcza, że miał i depesze do naczelnika do przesłania i znaczniejszych jeńców i coś ze zdobyczy. Oddano mi więc to wszystko i dnia 1 Października ruszyłem w drogę. Szekuly posiekany w kawałki, umarł na trzeci dzień po bitwie, nie było co go zabierać; ale dziwnym zbiegiem losu dostał mi się był pod opiekę, jako ranny jeniec, ów kapitan pruski, były nasz instruktor w gwardyi Mirowskiej, z którym miałem ów słynny pojedynek. Zaawansowany na majora, służył przy Szekulym, jako rozumiejący dobrze po polsku, a znający na palcach całą naszą organizacyą wojskową, komendy, sygnały i t. d. Podobno w tym też to celu Prusacy byli nam go na instruktora narzucili. Był on doradcą Szekulego i więcej dokładną świadomością naszych rzeczy, niż osobistą odwagą dał się nam nieraz we znaki, bo sam do korda nie był tęgi.

Przybywszy do Warszawy, pospieszyłem natychmiast na Mokotów, do głównej kwatery naczelnika. Nie zastałem go tam, pojechał do oddziału, zostającego po dowództwem generała Sierakowskiego,

który uległszy przemożnej sile Rossyan pod Kruszczycą, był zmuszony cofnąć się z wielką stratą do Brześcia litewskiego.

O Boże! jakież smutne czekały mnie w obozie wiadomości, o których nic zgoła w Prusach nie wiedzieliśmy jeszcze. Dając chciwie ucho wszystkiemu, co sprawy narodowej dotyczyło, tam dopiero dowiedziałem się, że dzielnego generała Jasińskiego z Litwy wezwała do Warszawy najwyższa Rada, przeznaczając na dowódcę wojsk litewskich generała Wielohorskiego, a ten powolnością swoją i niedeterminacyą, nie tylko ognistym chęciom braci litewskiej nie odpowiedział, ale nadto stracił czas, znużył wojsko i doprowadził do tego, że się Wilno dnia 12 Sierpnia poddać musiało; że nareszcie generałowi Mokronowskiemu powierzono to dowództwo, ale już było za późno, musiał cofać się i oparł się aż o Grodno. Następnie, że dotkliwa przegrana Sierakowskiego zmusiła naczelnika do wysłania kuryerów do Prus, aby z odwrotem pospieszali Dąbrowski i Madaliński, a z Kurlandyi i Liwonii Wawrzecki, Chlewiński, Gedroyć i Ogiński, bo siły nasze zewsząd miały ku Warszawie zdążać, aby stawić czoło wielkiej masie wojsk rossyjskich, szybko z nad granic Turcyi przeciw nam idących, a do tego wiadome już było, że i Austrya, neutralna dotychczas, w nasze granice wstąpiła.

Żal ścisnął serce, łza się zakręciła w oku, słuchając tych nowin. Więc tyle ofiar, tyle krwi wylanej będzie na darmo, pomyślałem sobie; więc musimy opuścić to, cośmy w Prusiech z takiem wysileniem zdobyli, cośmy już za powrócone sobie uważali! Więc jeszcze nowe, groźniejsze czekają

nas walki, a może i klęski! cóżeśmy zawinili, pytałem sam siebie, że z taką zażartością rzucają się na nas i chcą nas zgnębić do reszty? Ha, w Bogu jednym nadzieja i w wytrwałości naszej! powiedziałem, a w tem i proroctwo księdza Marka przyszło mi na myśl i ostatnie jego słowa:

Więc czyń Twojemu, wielkie dzięki, Bogu,
Bo on im przytrze wyniosłego rogu,
A Ty, jak Feniks, z popiołu powstaniesz,
Całej Europy ozdobą się staniesz.

Trzeba ten kielich goryczy wychylić do dna, aby zasłużyć na nagrodę, jaką nam Pan Bóg za tyle utrapień gotuje, dodałem, i pokrzepiony na duchu, wróciłem do miasta.

Tam tymczasem postrach i szemranie wzmagały się coraz bardziej, zwątpienie ogarniało wszystkich, a byli nawet i tacy, co złorzecząc powstaniu, w niem upatrywali przyczynę ostatniego, bliskiego już naszego upadku i na naczelnika kamieniem rzucali.

Kościuszko, niewiem, czy o tem wiedział, a gdyby i wiedział, pewnie by w swej szlachetności tym oszczercom przebaczył. Cały oddany obowiązkom, jakie nań naród włożył, nie tracił chwili jednej czasu, przywróciwszy ład w szeregach Sierakowskiego, poleciał do Grodna, do armii litewskiej, a dodawszy jej otuchy, wrócił znowu do Sierakowskiego, aby przeszkodzić połączeniu się generała rossyjskiego Fersena z Suwarowem, który spiesznym marszem szedł na Warszawę. Wypadło stoczyć pod Maciejowicami walną bitwę, acz z małemi siłami. Pomoc Ponińskiego, na którą naczelnik liczył, chybiła. Rezultat tej nieszczęśliwej walki,

w dniu 10 Października 1794 roku, wiadomy wszystkim. Straciliśmy Kościuszkę, Kniaziewicza, Sierakowskiego, Kamińskiego, a z nimi Niemcewicza, Zejdlitza i tylu innych, zabitych lub wziętych do niewoli, a żołnierzy tysiące legły.

W Warszawie dowiedzieliśmy się o tej klęsce i o losie Kościuszki dopiero przez wybór nowego naczelnego wodza, Wawrzeckiego. Wiadomość ta dobiła nas do reszty; trudno już było łudzić się nadzieją, naga rzeczywistość stawała się coraz widoczniejszą, a nieprzyjaciela należało się lada chwila pod murami miasta spodziewać. To też nasze pułki ściągały się tam zewsząd; przyszedł Madaliński, przybyli także Dąbrowski i Mokronowski. Zajączyk zasłaniał Pragę, a książe Józef Poniatowski lewy brzeg Wisły. Uzbrojono również całą ludność Warszawy i Pragi. Ramię moje podgoiło się już trochę, tak, że mogłem rękę podnosić, dano mi więc kompanią ochotników pod komendę i wyznaczono nam posterunek na wałach Pragi. Suwarow, Fersen i Dennisów uderzyli na nas wspólnemi siłami dnia 26 tegoż miesiąca. Biliśmy się na całej linii prawdziwie z odwagą rozpaczy, broniąc każdej piędzi ziemi; nieprzyjaciel posuwał się jednak wciąż naprzód, dzięki ogromnej przewadze liczebnej, aż 4 Listopada szturmem zdobył Pragę. Co się tam w tej chwili działo, tego nikt opowiedzieć nie zdoła. Gdym się jeszcze pomiędzy wałami a miastem opierał wzrastającemu coraz bardziej napływowi nieprzyjaciela, widziałem, jak z drugiej strony gorzały już domy, krew lała się po ulicach—a tam był i nasz dom, a w nim matka wasza z dwojgiem waszych braci.

XXVII

Rozpacz ogarnęła serce moje. Po cóż żyć dalej—pomyślałem sobie—gdy wszystko, wszystko utracić mamy?! Spojrzałem po kilkunastu towarzyszach, którzy mi z całej kompanii zostali, a w ich oczach. krwią nabiegłych, tę samą wyczytałem rezygnacyę. Skupiłem więc ich koło siebie i powiedziałem:

— Bracia, zgińmy, gdy zwyciężyć nie możemy!

— Zgińmy! odpowiedzieli chórem.

A wtedy, przerzuciwszy szpadę w lewą rękę, gdyż prawą nie mogłem jeszcze z całą swobodą władać, wysunąłem się naprzód i zawołałem:

— Za mną wiara, jam wami dowodził, ja wam drogę obowiązku do końca wskażę!...

Rzuciliśmy się jak lwy rozjuszone, nic już przed sobą nie widząc, w tłum nieprzyjaciela, który nas zewsząd okalał. Co było dalej, nie wiem, gdyż ciężko ranny w głowę, padłem bez czucia na ziemię i dopiero nazajutrz otworzyłem oczy w chatce poczciwego a zacnego leśniczego Szumińskiego, który w raz ze swą żoną i synem, kilku nas śmiertelnie rannych, zdołał z pola bitwy zabrać przy największem dla siebie niebezpieczeństwie.

Po poddaniu się Warszawy dnia 6 Listopada, poczęli się poczciwi Szumińscy o żonę moją, a waszą matkę wypytywać. Po długich poszukiwaniach, wynaleźli ją obłożnie chorą. Z palącego się już domu naszego w owym dniu nieszczęsnym ratowała się ucieczką wraz z dziećmi; ale i ucieczka nie była łatwą. Wśród ogólnego pożaru, walące się gruzy i spadające rozognione belki, tamowały wciąż przejście; a do tego dym zaciemniający powietrze, ścisk, zamęt i kule armatnie i karabinowe,

które nieprzyjaciel w ślad za uciekającymi posyłał, dopełniały reszty. Chciała ona przedrzeć się do Warszawy, ale sił jej zabrakło i przeszkody były do nieprzezwyciężenia. Młodszy synek, którego na ręku trzymała, ugodzony kulą karabinową w samą główkę, wśród jej uścisku żyć przestał. Zemdlała. Ktoś ze znajomych, których mieliśmy dosyć, kazał ją zanieść do podziemia w pobliżu, gdzie już kilkadziesiąt osób było się schroniło. Tam przyszła do siebie, trzymając wciąż w konwulsyjnym uścisku swe zabite dziecko. W parę chwil potem wniesiono starszego naszego synka. Biedne dziecię! Gdy szukało matki, zajęła się na nim sukienka i spłonęła cała. Na drugi dzień, w okropnych męczarniach Bogu ducha oddał.

Gdyśmy już po tej ciężkiej próbie zaczęli trochę przychodzić do siebie, a Panu Bogu się podobało, abyśmy przy życiu zostali, potrzeba było coś pomyśleć o sobie. Służba wojskowa była już zamkniętą, bo wedle kapitulacyi napisanej przez Suwarowa, miało pozostać tylko sześćset żołnierza gwardyi pieszej, a 400 konnej, jako straż honorowa przy królu Stanisławie; grosz gotowy, ulokowany u zamożnych dawniej przyjaciół, trudno było odebrać, a własność nasza w gruzach leżała. Szczęściem jejmość moja, uciekając z domu, potrafiła zabrać ze sobą zapasik, cośmy zawsze na wszelki wypadek w złocie trzymali i ten to nas w ciężkiej przygodzie, w jakiej znaleźliśmy się, podratował.

Skromnie więc już, bardzo skromnie i oszczędnie, cały rok prawie przebyliśmy jeszcze w Warszawie, szukając dla mnie odpowiedniego zajęcia

które się nie przytrafiało, a gdy, po podpisaniu ostatniego rozbioru kraju dnia 24 Października 1795 roku i następnie po abdykacyi króla Stanisława dnia 25 Listopada tegoż roku, krewni moi z Galicyi nas do siebie zaprosili, pojechaliśmy do nich w okolicę Sokala i tam czas jakiś zabawiliśmy.

Tymczasem rozeszła się była w Galicyi pogłoska, że administracya rossyjska ma wynagradzać pogorzelców na Pradze. Lepszy rydz jak nic, pomyślałem sobie i nie tracąc czasu, zabrawszy moją jejmość, a synka Adama zostawiwszy u krewnych, ruszyłem co rychlej napowrót do Warszawy. Jakież było moje zdziwienie, gdym tam zastał rząd pruski ustalający się, a ten o żadnym zwrocie szkód ani sobie dał mówić. Kłopotaliśmy się i męczyli z nim napróżno. Trzeba było zapomnieć o tem, co minęło, a przemyśliwać o jutrze. Na szczęście, oddali mi trochę grosza ci, którym był go w lepszych czasach powierzył, ale z drugiej strony brak wszelkiego zajęcia dotkliwie mi się czuć dawał. Przyzwyczajony z młodu do czynnego życia, niewiedziałem, co ze sobą robić od rana do wieczora, a czarne myśli przemocą cisnęły mi się do głowy. Zapragnąłem więc pracy jakiej-kolwiek, widząc w niej jedyne lekarstwo na rozwijającą się u mnie melancholią.

Ktoś mi był powiedział, że przepisywano katalogi biblioteki królewskiej i różnych ruchomości i zbiorów na dwa egzemplarze, z których jeden szedł za królem do Grodna, a potem do Petersburga, a drugi doręczano księciu Józefowi Poniatowskiemu. Pobiegłem zaraz do biblioteki i pro-

siłem o to zajęcie. Wziąłem się był do niego z całą gorliwością. po kilkanaście godzin dziennie przesiadając z piórem w ręku i czułem, jak mi z każdym dniem praca ta, choć machinalna tylko, ulgę przynosiła. Trwała ona aż do śmierci króla Stanisława Augusta, która nastąpiła dnia 12 Lutego r. 1798.

W tym też czasie urodziłeś się mi ty, mój Karolu, w dniu 4 Listopada 1797 roku. Ochrzciłem cię w kościele P. P. Sakramentek na Starem mieście, gdzieśmy z twą matką, w kamienicy pod Żurawiem, mieszkali. Jejmość moja srodze była to przechorowała, zwątpiłem był nawet o jej życiu, ale się jakoś Pan Bóg umiłował i zostawił ją mnie i wam na pociechę.

Gdy się nam tak życie w Warszawie ślimaczyło, poczciwy szambelan Werdeński, daleki mój powinowaty, zaproponował mi, abym jechał na Ukrainę, gdzie on mi odda w dzierzawę jedną ze swych wiosek. Przyjąłem chętnie tę propozycyą, zwłaszcza, że Warszawa, zaczynająca już balować, jak za dobrych czasów, coraz nieznośniejszą mi się stawała, a na wsi, myślałem sobie, zapomnę o wszystkiem, oddam się pracy, a może i trochę grosza co mi zostało, uda się przysporzyć dla dzieci, a przynajmniej nie stracić, co w mieście prędzej czy później nastąpićby musiało niechybnie. Zebrawszy się więc, opuściłem Warszawę w r. 1800 i więcej już jej nie widziałem.

Na Ukrainie znalazłem wielu przyjaciół i dawnych towarzszy broni, oprócz Wardeńskich, zawsze poczciwych a zacnych, rodziny Malińskich, Rojewskich, Kamińskich, powitały nas z całą staropolską serdecznością. Odżyliśmy w śród nich, a choć

głębokie rany ostatniemi wypadkami zadane sercu, zagoić się nie mogły i podobno nie zagoją się nigdy, weselszem już okiem zaczęliśmy na świat i ludzi spoglądać, a życie nabierało dla nas pewnego powabu. Tam odświeżyłem moją znajomość z Tadeuszem Czackim, który mnie namówił, abym się dla wychowania dzieci w okolice Krzemieńca przeniósł i odtąd stale swą przyjaźnią zaszczycał.

Mało już w późniejszem życiu mojem spotykałem ludzi takiego hartu i wytrwałości, jak mój ojciec, muszę więc pamięci jego słów kilka jeszcze poświęcić.

Praca, porządek i ścisłość były w naturze jego, a może okolicznościami do tego stopnia wyrobione, iż do 88 lat życia swego, w niczem sobie ulżyć nie pozwolił. Po zajęciach gospodarczych, w których przysłowie: pańskie oko konia tuczy, stosował do praktyki, czytanie historycznych i ekonomicznych dzieł, zajmowało go najbardziej. Lubił nawet robić z nich wypisy, do których własne dodawał uwagi. W rachunkach tak był ścisły, iż nigdy jednego grosza z przychodu czy rozchodu, nie zapomniał zapisać; uważał on to za podstawę porządnego życia. W opiniach politycznych stały, a nawet zacięty, patryota gorący, w kwestyach religijnych był tolerant, wolność sumienia przyznawał każdemu, choć sam ściśle zawsze wypełniał przepisy własnej katolickiej wiary. W domu poszczono regularnie, spowiedź wielkanocną odbywano najsumienniej, a matka nasza rano i wieczór zebrawszy nas dzieci i służbę, głośno z całem

gronem odmawiała modlitwy. Przed każdem pożywieniem, śniadaniem, objadem lub kolacyą wprzód nim się do stołu zasiadło, trzeba było zmówić wspólnie „Boże błogosław nas i te dary, które pożywać mamy z Opatrzności Twojej przenajświętszej“, i podobneż podziękowanie po skończonem jedzeniu. Żaden gość, żaden pospiech nie przeszkodziły nigdy tym modlitwom.

W wychowaniu własnych dzieci, ojciec mój był surowy i despotyczny nawet. Żaden z nas, choć już dobrze pod wąsem, nie śmiał usiąść przy nim, dopóki do tego nie zachęcił. Kochał nas jednak nad życie, a zdradzał to uczucie wtedy tylko, gdy które z nas zachorowało; o wtedy, czuwał nad łóżeczkiem chorego dziecka po całych nocach, dając się tylko wyręczyć najpoczciwszej matce naszej. Na wychowanie nasze nie szczędził nigdy, przeciwnie, każda chociażby najcięższa w tym względzie ofiara, była dla niego przyjemną. Mawiał nam często: uczcie się dzieci, bo dziś bez nauki ciężko na świecie, samym tylko herbem Nałęcz rady sobie nie dacie i drogi nie utorujęcie.

A jednak pomimo często powtarzanego napomnienia tego, nie był wcale dla każdego przystępnym i w wyborze bliższego towarzystwa był bardzo trudnym. Jeśli kto z nieznajomych do domu przyjechał, pytał zaraz o godność i czem się pieczętuje, a gdy mu się nazwisko podejrzanem wydało lub zbrudzonem w ostatnich nieszczęściach krajowych, nie podawał przybyszowi ręki, przyjmował go etykietalnie i chłodno, a do nowych odwiedzin nie zapraszał.

Szanował Czacki wysoko tę hardą duszę naszego ojca, uwielbiał jego gotowość na wszelkie poświęcenia się dla dobra kraju i dla wychowania swych dzieci, a nawet ta duma szlachecka z przechowanego nieskalanie klejnotu swego, wtedy gdy tyle innych słynnych rodów polskich, zchańbiły się zdradą. przedajnością lub służebnictwem najezdczym rządom, zyskiwała sobie jego uznanie.

Jedno tylko zastanowiało mnie nie raz w mym ojcu i dziwiło w obec tego ducha porządku i ścisłości, jaki miał w wysokim stopniu, to gwałtowność charakteru i łatwość uniesienia się. które nie trwało długo, ale w śród którego nie był panem siebie. Zostało mu to z najmłodszych lat a do późnej starości przetrwało. Zwykle sprawa narodowa lub szlachecka ambicya, dawały do tego powód, a gdy wypadkiem, czego się bardzo wystrzegał, miał nieco winem rozgrzaną głowę, nie było już rady; ufny w niepospolitą siłę, którą go Pan Bóg obdarzył, nią popierał argumenta, nie trafiające inaczej do przekonania przeciwnika. Pojedynków więc i awantur było sporo, a jedna z nich zdobyła sobie rozgłos na całym Wołyniu.

Było to podobno w roku 1805. W sąsiedztwie naszem mieszkał p. podstoli B., bardzo zacny i prawy obywatel, z którym ojciec mój w zażyłych pozostawał stosunkach. Gdy więc przyszedł św. Marcin, dzień imienin podstolego, zebrał się on pozdrowić solenizanta, i mnie, mającego w tedy lat 8 nie spełna, wziął ze sobą. Gości zastaliśmy sporo, a wszyscy prawie nosili się w ówczas po polsku jeszcze; z Galicyi tylko nowo-przybyły

młody hrabia Albert S. wystąpił w wykwintnym francuzkim stroju, z napiętrzoną pudrowaną fryzurą, z żabotami, mankietami, w trzewikach, kusych spodeńkach — istne dyable niemieckie. Dęło się to we cztery tuzy, do ojczystej mowy francuzkie mieszało słowa i zwracało na siebie uwagę wszystkich. Z ukosa patrzała na hrabiego większość zebranej szlachty, memu ojcu także nie przypadł do smaku, bo mu świeże a nieszczęśliwe stanisławowskiej epoki rozbudzał wspomnienia, ale przez wzgląd na gospodarza i na uroczystość, tolerowano jego wybryki, co go ośmielało do coraz wybitniejszych popisów.

Dom pana podstolego był bardzo gościnny, ochoczy i tradycyjnie trzymał się antałka, a nie butelki. Po sutym więc obiedzie, sowicie zroszonym starym węgrzynem, wesołe towarzystwo rozeszło się po pokojach, prowadząc wedle upodobania odpowiedni dyskurs. Ojciec mój z kilkoma starszymi z braci szlachty, stateczną zabawiał się rozmową, porównywując strój polski z francuzkim, a każdy swe zdanie, jak mu się zdawało, wypowiadał. Nadchodzi na to hrabia, a usłyszawszy o co rzecz idzie, tak się odzywa:

— Przyznam się panom, że przy mniejszej oświacie, ubior ten mógł być dobrym, bo zamaszysty, w pół azyatycki, można było w nim odpędzać wszelką cywilizacyę pałaszem z przodu, a wylotami z tyłu. Ale dziś, gdy formy we wszystkiem są pożądane, gdzie począwszy od mowy, wcielić się winniśmy w oświeconą Europę, *ma foi*, godzi

się przywdziać cywilizowaną suknię, bo zgodzicie się panowie, *que celle-la fait pitié.*

— Co, krzyknął mój ojciec, cały zaperzony, *celle la fait pitié!* tego już za nadto, musisz mi waszeć zaraz przebrać się po polsku, jak my tu wszyscy, albo.....

— Albo? zapytał przerażony hrabia.

— Albo rozprawa ze mną, natychmiast, dobywając szabli z pochwy, dodał mój ojciec.

Nie było co robić, podano hrabiemu drugą szablę i taniec się rozpoczął. Ojciec mój bił się dobrze, zamaszyście nacierał wciąż. Hrabia widocznie nie wprawny, wywijał nią, jak gdyby się od much oganiał, a że prawdopodobnie uczono go kłóć się na szpady, zasłaniał więc najbardziej piersi, a rejterując, wcisnął się aż w sam kąt pokoju. Jeszcze jedna chwila, jeszcze jedno zamachnięcie mego ojca i ucho przeciwnika na wpół rozpłatanem zostało. Krzyknął hrabia, żaboty się zafarbowały, a szlachta otoczywszy ich do koła, wołała:

— Dosyć, panie Grzegorzu, dosyć. Po szlachecku, do pierwszej krwi tylko.

— Niech i tak będzie, zawołał mój ojciec, cały rozogniony, niechcę jego śmierci, ani kalectwa, ale dokończyć muszę com zaczął. Niech się przebiera niemieckie hrabiątko.

— Niech się przebiera, wtórowała szlachta, zwyciężyłeś panie Gregorzu, masz prawo rozkazywać, niech się przebiera.

— Nie dość na tem, dodaje mój ojciec, splami nasz strój, jak tak go przywdzieje, trzeba go wprzód z tych francuzko - niemieckich brudów polskim chrztem oczyścić.

— Ha, ha, ha, śmiała się chórem szlachta, chrzcij, chrzcij, panie Grzegorzu, wołali inni.

Ująwszy więc silną dłonią przestraszonego hrabiego za barki, tak do niego mówił mój ojciec:

— Odpowiadaj waszeć o co się pytać będę, a głośno i wyraźnie.

— Czego potrzebujesz od szlachty polskiej kontuszowej? Odpowiadaj za mną jak przy chrzcie świętym: potrzebuję dla siebie serca polskiego.

— Potrzebuję dla siebie serca polskiego, drżącym głosem powtórzył hrabia.

— Czy wyrzekasz się francuzczyzny, niemczyzny, cudzoziemskich tytułów, które ci wrogowie nasi nadali i wszelkich ich spraw dyabelskich.

— Wyrzekam się, odpowiedział hrabia.

— A więc chrzcimy cię po naszemu, mówił dalej ojciec, nie Albertem, ale Wojciechem, jakieś z urodzenia; i nie hrabią, ale częśnikowiczem, jakieś po ojcu. A teraz, dodał puszczając hrabiego, dajcie żywo strój polski, niech się przebiera.

W parę chwil dostarczono wszystkiego. Ochocza i podchmielona szlachta krzątała się żwawo.

— Włóżcie na niego ten kontusz, mówił mój ojciec, jako znak powagi której mu brakuje.

Włożono.

— Przypaszcie mu tę karabelę, jako znak męztwa i siły, których nie ma. Przypasano.

— Wkładnijcie na niego tę konferatkę, jako znak zdrowego rozsądku, którego tak potrzebuje. Włożono.

— Okólcie go pasem i na węzeł go zwiążcie, na znak szlacheckiego związku i jedności, w któren go teraz wprowadzamy.

Opasano, związano i tak przystrojonego i uzbrojonego hrabiego wprowadzono do sali, gdzie go reszta towarzystwa wesoło i uprzejmie przyjęła.

Mój ojciec ochłonąwszy nieco, podsunął się do pani podstoliny i po kikakroć ją w rękę całował prosząc o przebaczenie; niby się gniewała, niby się przebłagać nie dawała, ale w gruncie staropolska matrona radą być musiała z danej hrabiemu nauczki, a sądzę z tego, że mnie już potem ze swych kolan nie spuszczała, a kieszenie miałem pełne cukierków i ciastek, niby dla mego młodszego brata Michała który w domu został.

Gościnny podstoli przepraszał także cześnikowicza, bo już go odtąd tak tytułowano, za pustotę, przez poczciwych a podchmielonych sąsiadów wyrządzoną, pito po kilkakroć jego zdrowie; pan Wojciech rozdobruchał się w krótce przy dawnych Rzeczypospolitej wspomnieniach, nie jedną szczerą łzę uronił, bo był w gruncie dobry człowiek i dobry polak, tylko go szał obczyzny jakoś opanował, jak wielu innych w owej epoce, a gdy kapela skocznego zagrała mazura, harmonia całkiem wróciła i cześnikowicz w pożyczonym kontuszu hasał do upadłego.

XXXVIII

Musiano się bawić wesoło, bo całą noc hulano, a gdy nazajutrz rano wsadzano mnie rozespanego do ojcowskiej kariolki i żegnano mego ojca pijąc strzemiennego, widziałem jak i cześnikowicz, uściskawszy go serdecznie, za „zdrowie pana brata“ wychylił swój kielich do dna. Zgoda więc nastąpiła zupełna i zajście poszło w zapomnienie.

II.

Szkoła Krzemieniecka i Tadeusz Czacki.

Nauki moje rozpocząłem w Krzemienieckiej szkole. Przebyłem w niej od 1805 do 1815 roku, a tych dziesięć lat zostawiły po sobie nigdy nie zatarte ślady w mem sercu i pamięci. Tam się właściwy wątek mego życia rozpoczął, snując się potem różnemi kolejami, po których kapryśny los mnie przeprówadzał. Słuszna więc, abym, chcąc z własnych dziejów kreślić wspomnienia, zatrzymał się najprzód nad tem, które tak głęboko w młodzieńczy wdrożyło się umysł, i poświęcił słów kilka człowiekowi, do którego wszyscy przylgnęliśmy duszą całą i ukochaliśmy jak ojca.

Tadeusz Czacki, syn Szczęsnego, Podczaszego koronnego, z Małachowskiej urodzony, do żadnego publicznego zakładu nie uczęszczał, a całe jego wychowanie odbywało się w domu pod przewodnictwem ks. Faustyna Grodzickiego, Jezuity. Obdarzony bystrem pojęciem i nadzwyczajną pamięcią, okazywał on z najmłodszych lat zamiłowanie do nauki, a nieustanne czytanie książek było jego najulubieńszą rozrywką.

Wszechstronnie poczynający się rozwijać umysł jego zwrócił na siebie zawczasu baczną uwagę

króla Stanisława Augusta, który, pomimo młodego wieku, bo ledwo 19 lat mającemu Podczaszycowi, polecił w r. 1784 zasiadanie w sądach zadwornych koronnych.

Pobyt ciągły już prawie w stolicy, nieustanna praca w bibliotece Załuskich, znajomość a wkrótce przyjaźń z Albertrandem i Naruszewiczem, przy wrodzonych skłonnościach, wprowadziły go ostatecznie na bity gościniec poświęcenia się i usługi dla kraju. Widzimy go też w owym czasie coraz bardziej wdrażającego się w życie publiczne narodu, oznamiającego się z młodzieńczym zapałem z najzawilszemi kwestyami ekonomicznemi i politycznemi rzeczypospolitej. W miarę jak się uwydatniały zdolności i praca Czackiego, rosły też szacunek i zaufanie do niego. W r. 1785 powołanym został do zasiadania w komisyi kruszcowej, a w r. 1786 wszedł do komisyi skarbu koronnego, urządzeniu której wyłącznie się oddał.

Pierwszym krokiem Czackiego na tem polu było uzyskanie u Sejmu pozwolenia na wysłanie Jana Mieroszewskiego i kilku innych na naukę górniczą do Węgier. Następnie, wychodząc z przeświadczenia, iż dobre uregulowanie skarbowości w państwie, musi się opierać na dokładnej znajomości zasobów całego kraju, tak pod względem rolniczym, jak handlowym, przemysłowym i mineralnym, przedsiębrał sam objechać zrazu Litwę, Wołyń i Podole, a później inne prowincye.

W podróży tej, obok ogólnego obeznania się z produkcyą miejscową, zwrócił Czacki szczególną uwagę na stan portów i kwarantan, na spławność rzek i na przeszkody, jakich handel doznawał.

Zwiedzając bieg Dniestru, wstąpił na Multany, aby odwiedzić księcia Ipsylantego, tamtejszego Hospodara, a głównie, aby się z nim porozumieć co do dalszego uregulowania handlu solą i wódką, który Polska z tym krajem na obszerną skalę prowadziła.

Rezultatem tego objazdu było szczegółowe sprawozdanie ze stanu ekonomicznego zwiedzonych prowincyi, mapa hydrograficzna Polski i Litwy, którą własnym kosztem sporządzić kazał *), plan rozwinięcia handlu z Turcyą przez Czarne morze i uwagi o stosunkach handlowych rzeczypospolitej z innemi ościennemi narodami. „O! tak“ — mówił on, składając te dowody komisyi skarbu, — „kraj nasz mógłby być zamożnym i bogatym, gdybyśmy chcieli i umieli korzystać ze skarbów, jakie on posiada, i dary natury umiejętnie rozwijać potrafili.“

W dalszych swych wycieczkach zwiedził Gdańsk, Gniezno, Poznań, Kujawy i Małą-Polskę, a tym razem i zabytki dziejów narodowych bacznego jego nie uszły oka. Przejrzał tajne archiwum w Królewcu, odszukał grób Kopernika i przewartował bibliotekę na Łysej-Górze.

W komisyi skarbu koronnego, przez nieustanną pracę, obszerny pogląd i rzutkość, stał się Czacki wkrótce najczynniejszym i najbardziej wpływowym jej członkiem; pozyskał nieograniczoną ufność Podskarbiego koronnego Kossowskiego, i szczególne względy króla, który, chcąc wynagro-

*) Mapa ta znajduje się w Petersburgu, a sprawozdania w zbiorze dzieł Tadeusza Czackiego.

dzić tyle poświęcenia się dla dobra ogólnego, przyozdobił go orderami Orła białego i Św. Stanisława i nadał mu starostwo Nowogrodzkie.

Nie długo mógł Czacki w stolicy wypocząć. Ledwo ważniejsze w komisyi pozałatwiał sprawy, nową mu powierzono misyę przejrzenia i uporządkowania skarbca królewskiego w Krakowie. Udał się więc tam wraz z dwoma dodanymi mu delegatami, Janem Horainem i Tomaszem Wawrzeckim, i zajął się tem ze zwykłą sobie gorliwością.

W Krakowie młody starosta poznał pannę Barbarę Dembińską, córkę starościny Wolbromskiej, a od znajomości przyszło do wzajemnego upodobania. Ksiądz biskup kamieniecki, Krasiński, przyjaciel zarówno obu domów, a podówczas naoczny świadek zawiązującej się miłości, patronował temu zbliżeniu sią, które niebawem związek małżeński uwieńczył.

Krótkie chwile szczęścia domowego, jakie dlań wynikło, spędził Czacki w Galicyi, w domu matki swojej żony, a niebawem nie miał już poco do Warszawy wracać. Drugi rozbiór kraju, powstanie Kościuszki, przegrana pod Maciejowicami i wszystkie jej następstwa, jak grom po gromie uderzały w skołatany naród, krótkie chwile nadziei długą a ciężką karcąc rozpaczą. Nie wojskowy i nie polityk, nie brał starosta udziału w tej burzy, a choć się jej tylko zdala, bo z wiejskiego ustronia przypatrywał, podwójnie dotknęła go ona na sercu, jako prawego syna ojczyzny, i na majątku, gdyż rząd rossyjski skonfiskował dobra jego na Rusi, i dopiero po długich staraniach zezwoliła Cesarzowa Katarzyna na oddanie mu

jednej ich części, Porycka, zostawiając drugą, nierównie większą — klucz Brusiłowski, bo 6000 mieszkańców liczący, w posiadaniu generała Tutulmina, któremu go była darowała.

Nic tak nie goi ran duszy, tak nie uspakaja i jak gdyby nowe wytwarza w człowieku życie — jak praca. Skoro więc mógł Czacki wrócić do swego ulubionego Porycka i do bogatego, znajdującego się tam księgozbioru, oddał się jej namiętnie. Z owego to czasu datują rozprawy jego o Żydach, o Karaimach, o Tatarach, o monetach polskich, i wreszcie obszerne a gruntowne dzieło o Litewskich i Polskich prawach.

Nie ukończył on był jeszcze tego ostatniego, gdy powołany zaufaniem szlachty gubernii Kijowskiej do reprezentowania jej przy koronacyi Cesarza Pawła, musiał się był udać na tę uroczystość do Moskwy. Zastał on tam i Stanisława Augusta. Zawsze dlań jednako przychylny, uprzejmie powitał król Czackiego, obdarzył go bogatym zbiorem rękopismów, dotyczących historyi polskiej, którą ten ostatni zamierzał opracować, i polecił go szczególnym względom i łasce Imperatora. — Dzięki tej rekomendacyi, udało się staroście wyrobić zwrot Brusiłowskiego klucza dla siebie — a dla innych, kilkanaście innych majątków na Ukrainie, w takiż sam sposób jak i jego skonfiskowanych.

Od tego wystąpienia przy koronacyi Cesarza Pawła rozpoczyna się nowy okres publicznego życia Czackiego. Jakoż wkrótce, bo w r. 1800, został on wybrany jako delegat trzech gubernii, Kijowskiej, Wołyńskiej i Podolskiej do komisyi li-

kwidacyjnej banku Warszawskiego. Umiejętne i praktyczne przeprowadzenie całej tej sprawy i energiczna obrona praw kredytorów ziem ruskich, zjednały mu ogólne uznanie, które i rząd uwzględnił, mianując go Tajnym Radcą, a współpracownikowi jego i współobywatelowi, Bystremu, nadając godność Rzeczywistego Radcy Stanu.

Obie powyższe missye, jakeśmy widzieli, były tylko doraźne; usłały one jednak Czackiemu drogę do tej, którą się miał już stale zająć i której wszystkie następne dni swego życia z zapałem i gorliwością poświęcił.

Tworzono wówczas w Rossyi ministeryum oświaty — nie było go do tej chwili. Uczony hrabia Zawadowski powołanym został przez cesarza do przewodniczenia nowo powstającemu zarządowi. Podzielił on cesarstwo, stosownie do ilości znajdujących się w nim uniwersytetów na naukowe okręgi, poustanawiał w nich tak zwanych kuratorów, jako najwyższą okręgową władzę, a przy nich wizytatorów z prawem kontroli i nadzoru nad szkołami, rozproszonemi po kraju. W organizacyi tej, nie posiadając jeszcze ani własnej wszechnicy, ani lyceum, weszła Ruś w skład naukowego okręgu Wileńskiego, kuratorem którego zamianowano księcia Adama Czartoryskiego, a nowo-stworzona posada wizytatora szkół gubernii Wołyńskiej, Podolskiej, i Kijowskiej, stanęła otworem.

W pierwszych chwilach po rozbiorze, a nawet przez większą połowę panowania cesarza Aleksandra I., rząd rossyjski uwzględniał nieraz republikańskie tradycye ruskiej i litewskiej szlachty, a że wśród tych prawo wybierania urzę-

dników żywo stało w pamięci ogółu, starał się więc on, o ile można, nie razić tej drażliwej strony i zwykle mianował, na wyższe zwłaszcza godności, tych tylko, których mu poniekąd opinia publiczna wskazywała. W ten sposób został Grocholski gubernatorem Podola, Giżycki — wice-gubernatorem Wołynia. Co się tyczy Czackiego, w warunkach powyższych wszystko się snadnie złożyło, aby jemu, a nie komu innemu ważną posadę wizytatora szkół w prowincyach ruskich powierzyć. Znanym on był osobiście Aleksandrowi Imu jeszcze z koronacyi cesarza Pawła, głośnym przez swą pracę, naukę i wszechstronne wiadomości i świeżo tytułem tajnego radcy zaszczycony, a z drugiej strony, ogólne uznanie zasług jego i przeważne stanowisko, jakie wśród współobywateli zajmował, dopełniały resztę i uwydatniały go w sposób szczególny. Nadto, o ile sądzić z pewnych wskazówek możemy, wydaje się nam, że sam Starosta doszedł już był wówczas do wewnętrznego przeświadczenia, iż tylko drogą oświaty i należytego rozwoju moralnego, kraj nasz zdoła powoli zabliźnić krwawiące swe rany, odrodzić się i w ten sposób przygotować pomyślniejszą dla siebie przyszłość. Przy takim więc nastroju myśli, nie tylko nie uchylał się od zaofiarowanej mu godności, ale ją skwapliwie przyjął, w r. 1803, widząc w niej otwierające się pole do wprowadzenia w wykonanie swoich przekonań i zamiarów.

Że zaś tak być musiało, dowodzi gotowość planu, z którym Czacki, nie tracąc chwili jednej, do akcyi przystąpił.

Po zniesieniu zakonu Jezuitów i ich konwi-

któw, na całej przestrzeni Rusi nie było prawie szkół żadnych. Komisya edukacyjna, ustanowiona przez Stanisława Augusta r. 1773, poczęła była je tworzyć i rozwijać, ale wypadki polityczne wkrótce usiłowania te sparaliżowały. Możniejsi zatem kształcili się w domu lub w Warszawie, dla ubogich nauka była niedostępną, a średnich funduszów szlachta oddawała swe dzieci albo do szkół tak zwanych wydziałowych, których kilka zaledwo istniało i gdzie przeważnie wykładano łacinę i matematykę, albo do Bazylianów, którzy gdzie niegdzie niższe utrzymywali szkółki i w nich nauczali tyle, aby młodzież do dalszej karyery w palestrze usposobić, lub do prowadzenia regestrów gospodarczych uzdolnić. Właściwie więc nie miał co nowy wizytator wizytować, i na samym wstępie nie rozwijać istniejące Zakłady, nie przekształcać je, ale przypadło mu prawie wszystko z gruntu tworzyć.

Szeroko zapatrując się na potrzebę rozwoju oświaty w kraju, szerokie też pole dla swej działalności od razu sobie Czacki zakreślił. Postanowił on stworzyć najprzód szkołę wyższą na Wołyniu, dalej dwa gimnazya, jedno dla Podola w Winnicy, drugie w samym Kijowie, następnie pozakładać po miastach powiatowych szkoły powiatowe, czteroklasowe i wreszcie, pourządzać szkółki parafialne przy każdym kościele.

Zapewne, projektować łatwo, i nie w tem jego zasługa. Przypatrzmyż się więc, jak on przeprowadzał śmiało powziętą myśl swą; jakim trudnościom musiał stawić czoło.

Jedną z pierwszych, a nie poślednich, był

brak funduszów. Rząd przeznaczył wprawdzie po 5300 rubli sr. na gimnazyum, ale to wystarczyć nie mogło, a więcej dać nie mógł i nie chciał. Wojny napoleońskie wytworzyły były podówczas ogólny stan niepewności politycznej. Każde państwo musiało najprzód na własne bezpieczeństwo baczyć, a dochody swe, o wiele od dzisiejszych szczuplejsze, obracać na uzbrojenia, fortyfikacye, przemarsze wojsk i gromadzenie dla tych ostatnich zapasów. Inne sprawy podrzędną grały rolę i wydawać na nie nie chciano. Usposobienie to rządu nie było tajnem Czackiemu, nie mógł więc oglądać się na pomoc z tej strony i czas w daremnych tracić złudzeniach. Wybrał zatem inną uciążliwszą, ale prędzej do celu wiodącą drogę. Przybrawszy sobie Józefa Kruczkowskiego za sekretarza, wyruszył w objazd po powierzonych mu prowincyach i tyle powagą swą, wymową i własnym zdziałał przykładem wśród braci szlachty, że oprócz datków doraźnych na szkoły powiatowe i parafialne, przywiózł na początek z górą dwa miliony złotych polskich wpisanego stałego kapitału, z którego szósty procent, rocznie wypłacany, miał służyć na urządzenie i utrzymanie wyższej szkoły na Wołyniu i obu projektowanych gymnazyów.

Zdobywszy ten ważny punkt wyjścia i zarządziwszy w Krzemieńcu przygotowanie gmachu szkolnego z klasztoru ks. Bazylianów, pospieszył Czacki w r. 1804 do Warszawy, dokąd go różne, a ściśle związane z jego planami, powoływały sprawy.

Nieszczęśliwe panowania Sasów i Stanisława Augusta, zaprowadzając cudzoziemczyznę w stroju i obyczajach, wyrugowały prawie mowę polską z fami-

lijnego koła zamożniejszych rodzin, podały ją w poniewierkę, a wstręt ten rozszerzał się powoli do wszystkiego co swoje, co krajowe. Ostatnie wypadki polityczne zdawały się go usprawiedliwiać i bardziej jeszcze rozwijać. Któż, wśród takiego usposobienia, byłby swe dzieci do krajowej oddawał szkoły? Niedość więc było, rozumiał to dobrze Czacki, nakłonić szlachtę do datku pieniężnego; trzeba było ją otrząsnąć ze zgubnego letargu i chorobliwej manii, trzeba było rozbudzić w narodzie chęć do nauki, wykazać jej korzyści, a co najgłówniejsza, zwrócić ją na drogę prawdziwie polską.

Aby tak gruntowny uskutecznić przewrót, za mało było pojedyńczych usiłowań. Należało skupić wszystkie rozporządzalne siły ku dopięciu zakreślonego celu, i z niemi, w zwartym szeregu, stanąć do walki. Taka myśl główna przewodniczyła Czackiemu w podróży jego do Warszawy. Istniało tam już Towarzystwo Przyjaciół Nauk, założone przez niego w r. 1800 wraz z Albertrandym, Stanisławem Potockim, Sołtykiem, Franciszkiem Dmochowskim i Staszycem. Zespolić się z niem bardziej jeszcze i zawezwać go do wspólnej na tem polu pracy, uważał on za nieodbicie potrzebne. Stało się też wedle jego życzenia.

Bezpośrednio dla szkoły krzemienieckiej pobyt Czackiego w stolicy też nie mało przyniósł korzyści. Zakupił on tam od księcia Józefa Poniatowskiego bogate zbiory numizmatyczny i mineralny i piękną bibliotekę po królu Stanisławie Auguście, do 15.000 tomów liczącą; wypisał z Paryża całkowity gabinet fizyczny z kosztowną i rzadką na-

ówczas machiną, uwydatniającą obrót ziemi i ruch planet; powyszukiwał i poumawiał celniejszych profesorów, porozumiał się z Józefem Czechem, tłumaczem Euklidesa, któremu zaproponował objęcie dyrekcyi szkoły krzemienieckiej z obowiązkiem wykładania w niej wyższej matematyki, i z Szejdtą, którego na dyrektora gimnazyum podolskiego przeznaczył, a tymczasowie, dopóki się to ostatnie nie urządzi, chciał mu poruczyć katedrę chemii w Krzemieńcu.

Wróciwszy na Wołyń, oddał się Czacki wyłącznie opracowaniu planu nauk, ogólnego programu wykładów i całego wewnętrznego urządzenia szkoły. Jedynym doradcą jego w tym razie był ks. Hugo Kołłątaj, ex-podkanclerzy. Schorzały na ciele, znękany na duchu, śnieśniony w funduszach, przesiadywał on u schyłku dni swoich w wielkim ustroniu, o milę od Krzemieńca, jako dzierżawca małej wioseczki, Stołbiec zwanej. Starosta odwiedzał go często i długie z nim spędzał chwile, czerpiąc ztamtąd radę, zachętę i cenne wskazówki.

Gdy się tak wszystko w najlepsze układało, napotkały projekta Czackiego, zwłaszcza co do szkoły krzemienieckiej, której chciał on był nadać miano instytutu lub lyceum, na pewne przeszkody u wyższej władzy w Wilnie. Rektor ówczesny uniwersytetu wileńskiego, ksiądz Hieronim Strojnowski, mając z prawa głos stanowczy w zarządzie szkolnym, niechętnie widział wznoszenie się nowej wyższej szkoły w obrębie tegoż naukowego okręgu. Obawiał się on, aby przez to nie została uszczuploną liczba młodzieży na uniwersytecie, choć ten, pod każdym względem, specyalniejsze dla niej za-

bezpieczał wykształcenie. Następnie, drżał on o to, aby rząd, nie mogąc dać innych, nie zechciał uszczuplić fundusze uniwersytetu na rzecz nowozałożonego lyceum, i aby nie wywiązała się stąd szkodliwa konkurencya pomiędzy obu zakładami, na której stary wileński straciłby niechybnie, a nowy krzemieniecki, prawdopodobnie nie doszedłby do możebności zastąpienia go w całem tegoż znaczeniu. Zarzucał on też Czackiemu uzurpacyą władzy ze szkodą praw uniwersytetu, gdyż atrybucye wizytatora, wedle instrukcyi ministra oświecenia, ograniczały się tylko do kontroli szkół istniejących, a wszelka inicyatywa w zakładaniu nowych, wybór i nominacye profesorów, program nauk itd., należyć miały do uniwersytetu. Wreszcie, po długich przejściach, zażądano stanowczo z Wilna, aby nazwę instytutu lub lyceum zastąpić skromnem mianem gimnazyum wołyńskiego.

Zgodził się i na to Czacki, choć pod warunkiem, aby pomimo tej zmiany, zakreślony pierwotnie program nauk w szkole tej, pozostał nietkniętym, a gdy, za poparciem ks. Adama Czartoryskiego w Petersburgu, otrzymał on w tym względzie zezwolenie rządowe, przystąpił wnet do uroczystego jej otwarcia. Stało się to dnia 1. października 1805 roku w obecności reprezentanta uniwersytetu wileńskiego, jego honorowego członka Dr. Jana Lerneta, delegatów Towarzystwa przyjaciół nauk, umyślnie na tę uroczystość z Warszawy przybyłych, Aleksandra hr. Chodkiewicza i Jana Wyleżyńskiego i licznie zgromadzonej szlachty, a błogosławieństwo pasterskie, prezydujących ceremonii, biskupa Cieciszowskiego i infułata su-

fragana Podhorodeńskiego, nadało otwarciu temu czysto narodowy charakter.

Tak więc, w dwa lata niespełna, stanął wyłącznem Czackiego staraniem zakład, z którego niebawem rozeszły się po Rusi promienie wiedzy i nauki, a z tem razem, narodowej myśli i narodowego uczucia.

Pierwotny skład jego był w ogólnym zarysie taki: Józef Czech, dyrektor i profesor wyższej matematyki; Ściborski, profesor algebry i matematyki niższej; Wojciech Jarkowski, geometryi; Zaliwski, mechaniki; ksiądz Osiński, ex-pijar, wykładał literaturę łacińską; Słowacki, wymowę i literaturę polską; Jurkowski, literaturę i język grecki; Aleksandrowski, literaturę rossyjską; Gerlach, literaturę francuską; Mirowski, historyę polską; Choński, ekonomię polityczną i prawo narodów; Szejdt, tymczasowie chemią; Witwicki, fizykę; Besser, nauki przyrodnicze; Piteheman, naukę malarstwa i zwykły rysunek; Szemega, rysunek topograficzny; ksiądz Prokop (Krzywicki), kapucyn, naukę religii. Nadto, w niższych klasach: Forster uczył języka angielskiego; Lefort francuskiego; Malewski niemieckiego, Strzelecki rossyjskiego i Olędzki łaciny.

Już z tego pobieżnego wykazu celniejszych profesorów i wykładanych przez nich przedmiotów przebija jasno główny encyklopedyczny kierunek szkoły krzemienieckiej, z pewnem filozoficzno-literackiem i matematyczno-przyrodniczem odcieniem. Takie też założenie zrobił sobie Czacki. Pozostawiając uniwersytetowi wileńskiemu specyalne uzdolnienie kształcącej się młodzieży, chciał on

tylko przygotować ją do ściślejszych tam wykładów rozwijając jej pojęcie, obznajamiając ją wszechstronnie z ogromem wiedzy, a w ten sposób rozbudzał w niej zamiłowanie do nauki, zachęcał do dalszego jej pielęgnowania, i ułatwiał wybór wyłącznej gałęzi. Z drugiej też strony, dla tych, którzy specyalności żadnej oddać się nie mogli, i musieli na szkole krzemienieckiej poprzestać, program ten odpowiadał najlepiej, bo ich wdrażał w to wszystko, co dla człowieka wykształconego i dobrego obywatela kraju było niezbędnem.

Oprócz powyższego naukowego kierunku szkoły, zwrócił jeszcze Czacki uwagę na dwa radykalne błędy wychowania ówczesnej epoki i te starał się o ile możności przezwyciężyć. Z zamiłowaniem cudzoziemczyzny wkradła się była do naszego kraju, a zwłaszcza do wyższych klas polskiego społeczeństwa, nieznana dawniej, miękkość obyczajów. Robienie bronią, dosiadywanie dziarskich koni, wszelki hart i gimnastyka ciała ustąpiły miejsca pieszczotliwej wygodzie i drobiazgowym staraniom o toaletę i powierzchowność — a ztąd niedołężnienie fizyczne i moralne rozkrzewiało się coraz bardziej. Pamiętam dobrze, jak pierwsza zamożniejsza młodzież, zdążająca do Krzemieńca, przywoziła ze sobą stosy piernatów, tuziny pudermantlów i różnych kształtów fryzyerskich żelazek, a francuscy kamerdynerzy, z całem przejęciem się ważnością swej misyi, stroili paniczów jak lalki i uczyli ich, w jaki sposób najmodniej trefią się włosy, gdzie najodpowiedniej muszka twarz zdobi. Obok tej nieszczęśliwej spuścizny Stanisławowskich czasów, trwało też jeszcze, w całej swej sile, uprzedzenie

że oświata i wszelka nauka wyłącznym być musi przywilejem kasty szlacheckiej, a głównie majętniejszej jej warstwy. Jeśli syn właściciela wioski uważał za uchybienie godności swej chodzić do jednej szkoły z dziećmi ekonoma lub prowentowego pisarza, to o mieszczanach i chłopach nie ma już co mówić. Ci, bezwarunkowo wykluczeni byli od wszelkiego uczestnictwa w elementarnej nawet nauce, a wszelkie pod tym względem zachcianki i próby uważane były za nowatorstwo, absolutnie szkodliwe dla ogółu społeczeństwa.

Aby zaradzić pierwszej, coraz bardziej uwydatniającej się skłonności, zaprowadził Czacki w swej szkole naukę jazdy konnej, której uczył Audibert; naukę fechtunku, Roussel; i tańca, Stańcowski, i zrobił je obowiązującemi; a w godzinach rekreacyi zalecił ogólną grę w piłkę, w palanta i mustrę. Dzisiejsza wyrozumowana gimnastyka znaną podówczas nie była. Czacki pierwszy przeczuł i pojął konieczność wprowadzenia jej do wychowania młodego pokolenia, a nie znając innych jej form, później dopiero przez doświadczenie na nauce oparte, wytworzonych, stosował takie, jakie mu się wydawały najlepiej założonemu odpowiadać celowi. Nadto, zakazał on wszelkiej wytworności stroju; uogólnił go zarówno dla całej szkolnej młodzieży; zabronił fryzowania włosów i wyszczególniających jakichkolwiek ozdób, a nadzór nad ścisłem wykonywaniem tych przepisów surowo przefektowi i dozorcom polecił.

Co się zaś tyczy uprzedzenia wyższej klasy do wyłącznego prawa nauki, starał się je Czacki przezwyciężyć i wreszcie usunąć zupełnie, przyjmu-

jąc za zasadę wolny wstęp do szkoły dla każdego chcącego się uczyć, bez względu na jego pochodzenie, a jednocześnie ułatwiając go najuboższym przez tworzenie stypendyów i odpowiednie urządzenie tak zwanych konwiktów.

Już przy otwarciu szkoły 50 uczniów znalazło w niej nietylko bezpłatną naukę, ale zapewnione, kosztem samego zakładu, całe utrzymanie. Później liczbę tę podniósł Czacki do stu. Nie będąc zwolennikiem gromadzenia młodzieży w jednej wielkiej bursie, rozproszył ją po 8 lub 10 po prywatnych domach, i taka garstka, razem mieszkająca, nazywała się konwiktem. Konwikta były funduszowe i wolne. W pierwszych, stancyę, stół, ubranie, książki, słowem wszystkie potrzeby opłacała kasa szkolna; od młodzieży utrzymywanej w ten sposób z grosza publicznego, nie wymagano ani żadnych późniejszych wysług, ani też zwrotu kosztów, trzeba było tylko wykazać istotną niemożność płacenia, mieć dobrą notę z konduity i robić postępy w naukach. W konwiktach wolnych płacono 300 złp. na rok szkolny, co wynosiło złoty jeden na dzień. Za to miało się mieszkanie, stół, pranie i światło. W każdym takim konwikcie był jeden dozorca z samychże uczni, starszy wiekiem i celujący w nauce. Ten oprócz utrzymania pobierał złp. 10 miesięcznej pensyi. Nadzór zaś ogólny nad konwiktami i zarząd nad nimi miał tak zwany regens. Za moich czasów godność tę piastował pan Chlebowski.

Takie urządzenie konwiktów pod wieloma względami korzystnem się okazało. — Naprzód, większą dawało ono rękojmię moralności i ściślej-

szego dozoru nad młodzieżą, jak koszary lub bursa. Dalej, przychodziło w pomoc kilkudziesięciu ubogim rodzinom, które, mając w ten sposób zapewniony środek do życia i mieszkając w Krzemieńcu, mogły już o własnym koszcie dzieci swe oddawać do szkoły. Wreszcie, na dozorców wybierano zawsze z ubogiej celującej młodzieży, przez co liczba tej ostatniej zwiększała się ciągle, a stosunek jaki się ztąd wywiązywał pomiędzy majętniejszymi i uboższymi kolegami, uwydatniał pracę i zdolności jako jedyny środek wyszczególnienia się w gronie towarzyszy.

Po otwarciu gimnazyum w Krzemieńcu, które miało być jedną z głównych podwalin obszernego edukacyjnego gmachu na Rusi, wziął się wnet Czacki, ze zwykłą sobie gorliwością, do szybkiego wznoszenia go zewsząd. Rozwinął on i uporządkował szkołę bazyliańską w Barze, zajął się urządzeniem nowych szkół średnich w Międzyborzu, Humaniu, Berdyczowie i Lubarze i zakładał po całym obszarze kraju szkółki parafialne. Obok tego, przysparzanie funduszów, niezbędnych dla tak szeroko zakreślonej pracy, i baczne czuwanie nad początkowem rozwijaniem się szkoły krzemienieckiej, dopełnianie w niej, w miarę potrzeby, wykazujących się braków i zdobywanie coraz nowych zasobów i środków, wszystko to razem zapełniło mu rok 1806. W tym to czasie sprowadził do Krzemieńca Szostakowskiego na stałego profesora chemii, Łuczyńskiego do wykładania fizyki, utworzył nowe kursa numizmatyki, gramatyki powszechnej i bibliografii; pierwszy z nich powierzył Lindau'emu, a dwa ostatnie Pawłowi Jarkowskiemu.

Nadto uzyskał dla swego zakładu w darze od księżnej Teofili Sapieżyny bogaty księgozbiór, a od Dr. Jana Lernet'a zapis 35 tysięcy rubli na ciągłe utrzymywanie, wysyłanie za granicę po skończonych naukach i następnie stosowne wyposażenie czterech ubogich uczniów ze szlachty wołyńskiej pochodzących.

Gdy się tak wszystko pomyślnie układało, a zdrowe nasiona, umiejętnie ręką Czackiego po obszarze trzech prowincyj ruskich rozrzucone, zwolna kiełkować poczynały, wojny, jedna po drugiej, pustoszyły środkową Europę i zwycięzki Napoleon, zniósłszy Prusy, na polskiej ziemi sztandary swe rozwinął. Wielkie wypadki wielkie też budziły nadzieje. Gorące odezwy Dąbrowskiego, wejście wojsk francuzkich do Warszawy, dnia 2 stycznia 1807 roku, prawdopodobieństwo, pewność prawie blizkiego wskrzeszenia i niezależnego bytu kraju rozgorączkowały ogół. Im bardziej zaś wzmagał się ten nastrój, im wyraźniej uwydatniał się na zewnątrz, tem czujniej śledził rząd rossyjski objawy jego na Rusi. Wśród takich obustronnie napiętych stosunków, Czacki, przez swe stanowisko, wzięcie i zaufanie u współobywateli, stał się pomimo woli przedmiotem szczególnej baczności i licznych podejrzeń rządu. Jakoż, gdy na początku tegoż roku, przybył do Kijowa na kontrakty, generał - gubernator Kutuzow, obok okazywanej mu największej uprzejmości, dał mu wkrótce do zrozumienia, iż zwiedzenie uniwersytetu Charkowskiego byłoby dlań z wielką korzyścią, a gdy się starosta nie bardzo na tę naukowę wyprawą spieszył, wy-

raził mu dobitniej, że takie jest nieodwołalne życzenie rządu.

Udał się więc Czacki z Kijowa wprost do Charkowa. Miejscowe władze, uwiadomione już o jego przybyciu, przyjęły go tam z wielkiemi honorami, a grzeczność posunęły do tego stopnia, że zawezwały możniejszych i znakomitszych obywateli z prowincyi aby dotrzymywali staroście towarzystwa. Obiady i uczty następowały kolejno, a wśród nich starano się na wyścigi wyprzedzać siebie w uprzejmości dla niego. Zwiedzanie uniwersytetu szło też swoją drogą. Przejrzał Czacki wszystkie jego gałęzie, był na rozmaitych prelekcyach, zapoznał się z profesorami i zapraszał ich kilkakrotnie na wieczorne gawędy do siebie. Podziwiali oni jego naukę i pamięć, a profesor filozofii, niemiec, tak sformułował o nim swe zdanie: *Er weiss das alles, was wir alle können.*

Zakończywszy wizytacyę charkowskiego uniwersytetu, zabierał się Czacki do wyjazdu. Jakież było jego zdumienie, gdy go delikatnie ale w sposób urzędowy ostrzeżono, że z Charkowa wyjeżdżać mu nie wolno. Nie wiedząc, jak ma rzecz tę sobie tłómaczyć, udał się do miejscowego gubernatora. Ten przyjął starostę ze wszelkiemi względami, jakie się mu należały, ale oświadczył stanowczo, że taka jest wola władzy, powiadając: „Odebrałem polecenie czuwania nad panem, jako nad osobą politycznie podejrzaną, i nie wypuszczania pana z Charkowa, dopóki gubernator Kutuzow nie uzna tego za właściwe. Zresztą dodał, staramy się uprzyjemnić panu, o ile możemy, przymusowy jego

pobyt u nas i pan nie zechcesz tak prędko pozbawiać nas miłego swego towarzystwa.

Po rozmowie tej nie było co robić sobie illuzyi. Charkow był miejscem wygnania, które przy złem usposobieniu Kutuzowa, mogło się przeciągać bez końca. Należało wybrnąć z tego położenia, a wrodzona przedsiębiorczość Czackiego, podała mu myśl udania się wprost, w tym względzie, do cesarza Aleksandra. Nie tracąc więc chwili czasu, napisał do niego, iż zaszczycony względami J. C. Mości i ufnością Jego ministrow, nie spodziewał się zostać więźniem stanu. Że nie błaga o litość, ale prosi o sprawiedliwość, i nie lęka się jej wyroku, ale zwłoki tego ostatniego. Żąda zatem, aby mu dozwolonem było, stawić się osobiście w Petersburgu, dowiedzieć się tam o ciążących na nim zarzutach i złożyć swoje tłómaczenie. List ten sztafetą wysłany, wywołał wkrótce rozkaz ministra sprawiedliwości, księcia Łopuchina, polecający gubernatorowi Charkowskiemu, aby starostę do Petersburga dostawił.

Pod strażą urzędnika policyi (czastnego prystawa) i podoficera żandarmeryi, wyruszył Czacki w drogę, a na rogatce petersburgskiej czekał go już służbowy oficer, który go wprost do pałacu księcia Łopuchina odwiózł. Skoro zameldowano księciu o przybyciu więźnia, kazał go zaraz wprowadzić do swego salonu, przepraszał za dodaną mu straż podczas drogi, tłómaczył, że gubernator Charkowski źle jego rozkaz zrozumiał i że za to srogo odpowiadać będzie. Jednocześnie wysłał Łopuchin z zaproszeniem do grafa Koczubeja, ministra spraw wewnętrznych i do senatora No-

wosilcowa, jako członków komisyi, mającej zbadać sprawę Czackiego, aby przybyli dla przesłuchania go i przyjęcia jego tłómaczenia.

Okazało się, iż główny zarzut przeciw. staroście, oparty na sprawozdaniach policyi tajnej, był ten, jakoby Czacki odradzał współobywatelom kupowanie dóbr skonfiskowanych, twierdząc, iż z powodu wojny pruskiej, muszą nastąpić pewne polityczne zmiany w kraju, a te naraziłyby nowonabywców na straty. Kutuzow zaś przesyłając raporta powyższe do ministra, dodał, że w jego oczach zasługują one na wszelką wiarę, gdyż Czacki, często przez niego zapraszany na obiady w celu wybadania jego sposobu myślenia, nie wahał się wypowiedzieć otwarcie: *que Napoleon est un grand homme.*

Zapewne, wątpić wypada, aby przywiązywano w Petersburgu wielką wagę do tego rodzaju oskarżeń. Albo więc miano tam inne, gruntowniejsze podejrzenia, które uważano za zbyteczne staroście komunikować, albo też skorzystano tylko z tych, choć błahych zarzutów, biorąc je za pretekst do trzymania w dali od kraju tak wpływowego człowieka, zwłaszcza w chwili, w której wszelka manifestacya narodowa na Rusi, mogła była zawikłać jeszcze bardziej ówczesną polityczną sytuacyę, lub wpłynąć niekorzystnie na projektowane pokojowe układy. Dość, że pomimo podania do komisyi, nazajutrz po przybyciu, tłómaczenia swego na piśmie, pomimo, iż takowe przyjętem i poufnie za zadawalniające uznanem zostało, urzędownie nie spieszono się wcale z zakończeniem tej sprawy. Czacki, choć wolny na pozór, choć otoczony uprzejmością

i względami najwyższych dygnitarzy państwa, był jednak przykuty do murów stolicy, a uzbroiwszy się w cierpliwość, nic mu nie pozostawało innego, jak spokojnie czekać rozwiązania tej zagadki.

Wkrótce nowy, najniespodziewaniej włożony nań obowiązek, upozorował lepiej jeszcze przedłużenie pobytu Czackiego w Petersburgu, a ścierając zeń piętno niełaski, nadał mu nawet cechę szczególnych względów monarszych. Cesarz Aleksander wyjeżdżał wówczas traktować o pokój z Napoleonem. Książę Adam Czartoryski, jako zastępca ministra spraw zagranicznych, miał mu towarzyszyć i brać czynny udział w negocyacyi, że zaś książę był zarazem kuratorem wileńskiego naukowego okręgu, wolą było cesarza, aby pod niebytność swą zdał tę ostatnią czynność na starostę.

Tak, wśród nowych urzędowych zajęć, licznych znajomości i stołecznego wiru, szybko kilka miesięcy ubiegło. Tymczasem z zawarciem pokoju w Tylży, w początkach lipca, ustały obawy rządu i zniknął sam przez się powód trzymania Czackiego poza krajem. Wrócił też cesarz Aleksander z księciem Adamem Czartoryskim do stolicy, skończył się przez to i tymczasowy starosty zarząd Wileńskim naukowym okręgiem, a dzień wyjazdu jego na Wołyń, zbliżał się coraz bardziej.

Zdaje się, iż w tych ostatnich chwilach, więcej niż kiedykolwiek, starano się uprzejmością i względami, zatrzeć w Czackim niemiłe wrażenie przymusowej do Petersburga podróży, i chciano aby ztamtąd najmilsze wywiózł na Ruś wspomnienia. Graf Zawadowski, z rozkazu cesarza, zaproponował mu senatorskie krzesło, posadę towa-

rzysza w ministeryum oświecenia i wielką wstęgę orderu św. Anny. Podziękował starosta za ten dowód łaski monarszej, ale przyjęcia propozycyj stanowczo odmówił. Wyznał on Zawadowskiemu otwarcie, iż w dotychczasowem kole działalności swojej ma nadzieję więcej przynieść dla kraju pożytku; co zaś tyczy tytułów i honorów, te mogłyby tylko zachwiać opinię jego u współobywateli, nasuwając im myśl, iż on może bardziej za dostojeństwy, niż za dobrem publicznem goni. Pomimo tej odmowy, cesarz zapragnął go sam widzieć, a w rozmowie wynurzył mu żal, iż z powodu fałszywego doniesienia tak wiele ucierpiał. — „Kutuzow także temu nie winien, dodał, wprowadzono go w błąd, nie miej mu więc pan tego za złe.“ — Następnie dopytywał się Aleksander I. z naleganiem, czy nie ma Czacki o co go prosić dla siebie, zapewniając, iż byłoby mu najprzyjemniej prośbie tej zadośćuczynić.

— O nie, Najjaśniejszy Panie, odrzekł starosta, nie ośmieliłbym się o nic prosić dla siebie, bo w każdej własnej potrzebie poszedłbym drogą wskazaną przez prawo, ale błagam Waszej cesarskiej Mości o łaskę dla moich współziomków i o najwyższą opiekę nad publicznem oświeceniem.

Przy pożegnaniu, ściskając go za rękę, z wyrazem głębokiego uczucia, powiedział cesarz:

— *Allez, allez faire le bonheur de vos concitoyens, et comptez toujours sur moi, comme je compte sur vous*; a następnego dnia przysłał mu własnoręczny reskrypt, w którym zapewniał, że ufność jego dla Czackiego, nie zachwiała się i nigdy nie zachwieje.

Nie dość na tem. Cesarzowa matka, wdowa po Pawle Iszym, pragnęła także mieć go u siebie a przypomniawszy mu, że go już zna z koronacyi w Moskwie, prosiła, aby zechciał zwiedzić Instytut panien w Petersburgu, zostający pod jej wyłączną opieką. Na naznaczony dzień, stawił się Czacki w Smolnym monasterze, i jakież było jego zdziwienie, gdy zastał tam już samą cesarzowę-matkę, czekającą go ze śniadaniem i robiącą mu osobiście honory tego zakładu.

Za przykładem dworu, poszły wszystkie wybitniejsze osobistości stolicy. Hr. Orłów dowiedziawszy się, iż Starosta radby widział na scenie petersb. sztukę pod tytułem: Jabieda, srodze zabronioną, kazał ją odegrać na teatrze wyłącznie dla niego, w obecności dwudziestu tylko zaproszonych widzów. Inni znów, domyślając się, iż największą zrobią Czackiemu przyjemność, przyczyniając się do rozwinięcia szkół przez niego zakładanych, każdy z czem mógł, spieszyli dla nich z ofiarami. I tak, Graf Koczubej, minister spraw wewnętrznych, przejęty szczerą przyjaźnią i uwielbieniem dla starosty, doręczył mu duplikaty z mineralogicznego cesarskiego gabinetu. Szambelan Sosnowski zaofiarował gabinet historyi naturalnej i piękny zbiór konch. Hrabia Walicki pozostałą część z danego uniwersytetowi wileńskiemu wielkich rozmiarów gabinetu mineralogicznego, szkatułkę z różnego koloru brylantami i oryginalny obraz Rafaela, przedstawiający Michała Archanioła. Kupiec Sitnikow zbiór drogich kamieni i t. d. i t. d. Wreszcie cesarzowa matka, przed samym wyjazdem przysłała mu, z przeznaczeniem dla gimnazyalnego

kościoła w Krzemieńcu, dwie kolumny z lapis lazuli, w kształcie piramid, prawie na półtora łokcia wysokie i u góry złotemi galeryjkami ozdobione. Umieszczono je następnie w wielkim ołtarzu.

Oprócz tych doraźnych darów, pobyt Czackiego w Petersburgu przyniósł szkole Krzemienieckiej i w ogóle naukowym zakładom pod jego opieką zostającym, wiele innych, donioślejszych korzyści. Ciągle z myślą w jednym kierunku zwróconą, umiał on skorzystać ze swych obszernych stosunków w stolicy, z przyjaźniejszych pod koniec usposobień dworu, a głównie ze sprawowania przez kilka miesięcy urzędu kuratora, aby zdobyć nowe a trwałe podstawy dla dalszego rozwijania swego edukacyjnego planu. — Gimnazyum Krzemienieckie, chociaż otwarte, urzędownie przez ministra uznane i funkcyonujące od lat dwóch, nie posiadało jeszcze najwyższej sankcyi. Uzyskał ją Czacki, wraz z ofiarą monarszą dla tego zakładu ze starostwa krzemienieckiego. Dalej, otrzymał pozwolenie na założenie w Krzemieńca szkoły geometrów, w której 36 uczniów funduszem skarbowym miało być utrzymywanych. — Ale co najważniejsza, wyrobił on dwa cesarskie ukazy, regulujące raz na zawsze finansową kwestyę w wileńskim naukowym okręgu. Jeden z nich przeznaczył na Litwie i Rusi, na wyłączną rzecz narodowego oświecenia, pojezuickie sumy, z dobrowolnych zapisów wynikłe, a po zniesieniu tego zakonu uważane za własność rządową, i zaległe fundusze, niegdyś do klasztorów do Galicyi odpadłych, należące; a drugi przyznawał pełne prawo własności tymczasowym posiadaczom dóbr pojezuickich,

także na skarb do tej chwili zapisanych, z warunkiem, aby nowi ich dziedzice przypadającą roczną opłatę wiecznie do kasy edukacyjnej wnosili. — W myśl tych dwóch rozporządzeń, jako środek wprowadzenia ich w wykonanie, ustanowionemi być miały dwie komisye edukacyjne, jedna w Wilnie a druga w Krzemieńcu, i te, bez prawa apelacyi, winny były zająć się wykazaniem i uporządkowaniem powyższych źródeł dochodu, jak również dalszym ich zarządem.

Powrót Czackiego do Krzemieńca, w rok niespełna po jego stamtąd wyjeździe, był istnem świętem dla miasta i szkoły. Młodzież, która już straciła nadzieję prędkiego oglądania jego, na rękach prawie wniosła go po wschodach, a nigdy już w życiu nie zdarzyło mi się widzieć tak gorącego przyjęcia. Wzruszony niem do głębi starosta, długo nie mógł przemówić, po bladej twarzy jego łzy radości zbiegały, a ściskając nas po ojcowsku, czuł, że mu ta jedna chwila wszystkie doznane przykrości sowicie wynagrodzi. My też z uniesienia, małośmy mu nie poobrywali długich poł jego oliwkowego surduta.

Jedną z pierwszych czynności Czackiego, gdy stanął wśród swoich, było utworzenie krzemienieckiej komisyi edukacyjnej. Wyznaczony wolą Cesarza na prezesa jej, przybrał on sobie za czynnych współpracowników, znanych z gorliwości w pełnieniu obowiązków publicznych i powszechnie szanowanych obywateli Filipa hr. Olizara, podczaszego koronnego, Aleksandra hr. Chodkiewicza, Michała Sobańskiego i Wacława Borejkę. Mianował honorowymi jej członkami synowca swego Feliksa Czac-

kiego, Filipa hr. Platera i Romualda Steckiego. Plenipotentem juryzdykcyi tej został Borkowski, z atrybucyą wykazywania funduszów i przedstawiania ich do rozpatrzenia i decyzyi komisyi, a sekretarzami Józef Kruczkowski i Michał Chajęcki. Posady prezesa i członków były bezpłatne, a tylko na koszta kancelaryi wyznaczono 4 000 rubli rocznie. — Tak uorganizowana komisya rozpoczęła czynności swe zaraz 1808 roku, a skutki działania jej uwidoczniały się z każdym miesiącem przez wzrost kapitału edukacyjnego.

W miarę jak się dochody zwiększały, rozwijał też Czacki dalej obszerny plan swój. Stanęło gimnazyum podolskie w Winnicy, z uczonym księdzem ex-pijarem Maciejowskim na czele. Miładowski, Jagiełło, Bielecki, Styczyński i wielu innych pozajmowali w niem katedry. Szkoła ta w krótkim czasie zasłużonego nabrała rozgłosu, i uczniowie jej, czy w Krzemieńcu, dla dalszej nauki, czy w Wilnie, dla studyów specyalnych, otrzymywali uznanie za swe zamiłowanie do pracy i wzorową moralność. Drugie gimnazyum zakładało się w Kijowie. Szkoły niższe w Humaniu, Międzyrzecu, Lubarze i Berdyczowie, poprzednio ufundowane, rozwinęły się na szerszą skalę i dopełniły, nabierając coraz większego dla kraju znaczenia, i przynosząc rzeczywisty pożytek społeczeństwu.

A w Krzemieńcu? Obok szkoły geometrów, utworzonej wnet po powrocie Czackiego, stanęła tam wkrótce druga — mechaników. Kraj nasz, przeważnie rolniczy, nie znał jeszcze ulepszeń, które wszędzie w Europie poczęto już wprowadzać. Słyszano zaledwie wówczas o młockarniach, młyn-

kach do czyszczenia zboża, lekkich płużkach i wielu innych rolniczych narzędziach. Sprowadzanie ich z zagranicy było nadto kosztowne i trudne, a dla braku ludzi fachowych, nieużyteczne nawet. Zapragnął więc Czacki wypełnić tę lukę, dać krajowi uzdolnionych w tej gałęzi specyalistów, a przez to popchnąć go na nowe drogi gospodarczego postępu. W tym to celu stworzył on powyższy zakład, a ten, pod praktyczną dyrekcyą Zaliwskiego, wywiązał się zupełnie z włożonego nań zadania, bo w kilka lat niespełna, usposobieni w nim mechanicy, poczęli się rozpraszać po Rusi, mogąc zaledwie wydołać dawanej im przez obywateli pracy.

Nie dość na tem. Dzięki zapisowi podczaszego Olizara, zaczął się tworzyć w Krzemieńcu instytut akuszerek i chirurgów wiejskich; następnie, założył tam Czacki, także z funduszów prywatnych, szkołę guwernantek. Ogród botaniczny wielkie przybierał rozmiary; biblioteka w coraz nowe rosła zapasy, mając ofiarowaną sobie przez starostę roczną jego wizytatorską pensyę 1,500 rubli, na sprowadzanie najcelniejszych dzieł. W gimnazyum samem, do liczby wykładanych przedmiotów, dodano nową katedrę prawa cywilnego i rzymskiego, którą objął profesor Ołdakowski.

Przykład Czackiego zachęcał innych, i każdy, w swej sferze, starał się o dorzucenie cegiełki do jednego wznoszącego się gmachu — narodowej oświaty. Tak, ksiądz kanonik Alojzy Osiński, później rektor akademii duchownej i infułat ołycki, zaczął był układać swój dykcyonarz języka polskiego i opracowywać życiorys Skargi. Franciszek Rudzki, jeden ze zdolniejszych i dowcipniejszych

ludzi swego czasu, pisał *Podróże nowego Guliwera.* Mirowski, Słowacki i Choński rozpoczęli wykłady publiczne historyi polskiej, literatury i ekonomii politycznej. Słowem, rozbudzone życie zawrzało w całej pełni w małym Krzemieńcu. Pod wpływem jego i miasto samo przekształcało się powoli. Za staraniem Józefa Drzewieckiego, szefa i ówczesnego marszałka szlachty krzemienieckiej, wynaleziono środki do wybrukowania go; nowe domy wznosiły się jeden po drugim; możne rodziny książąt Mikołaja, Pawła i Franciszka Sapiehów, książąt Dymitra i Józefa Czetwertyńskich, i wielu innych obywateli z trzech prowincyj ruskich, zachęcone przez Czackiego, zjechały tam na stałe mieszkanie, a wobec skupionych razem tylu zasobów nauki, sztuki, zdolności i warunków towarzyskiego życia, nie zawahał się minister oświaty, graf Zawadowski, w jednym ze swych listów, winszować staroście stworzenia nowych Aten na ziemi Wołyńskiej.

Młodzież, posyłana z razu z pewnem niedowierzaniem do nowej szkoły, zaczęła wkrótce tłumnie się do niej garnąć. Inaczej też być nie mogło. Ojcowska troskliwość, jaką Czacki otoczył ją, a przytem surowy nadzór i gruntownie moralny kierunek wychowania, musiały rozbudzić ufność powszechną. Od najmniejszego do najuboższego z uczniów, znał ich starosta każdego osobiście, jego nauką, obyczajami i losem się zajmował. Co kilka tygodni zwiedzał sam ich mieszkania, dbał o to, aby te były zdrowe, często przewietrzane i czysto utrzymywane, a jeśli surowo zabraniał wszelkiego zbytku, ściśle też wymagał od utrzymujących konwikty, aby się w obowiązkach swych niezaniedby-

wali. Dwóch stałych lekarzy gimnazyalnych dopomagało mu do czuwania nad zdrowiem uczącej się młodzieży. W szkole dbano też o najlepsze sanitarne warunki. Ruchu nie brakowało. Codzień, w godzinach rekreacyjnych, grywaliśmy na galeryi w wolanta, palanta, a najczęściej w piłkę. Czacki nieraz sam się do tej gry wmieszał, i stanąwszy między nami w kaszę lub ściankę przewodził. Dla krótkiego bardzo wzroku, nigdy nie mógł ani piłki złapać, ani w łapę dobrze palnąć, siebie zaś bynajmniej oszczędzać nie pozwalał. Cieszyło nas zawsze bardzo, gdy on do zabawy należał, a każda partya chciała go mieć między sobą. Chwytaliśmy więc starostę za poły, całowaliśmy po rękach, zapraszając każdy w swą stronę. Dogadzał on i tym i owym, aż w końcu umęczony, wymykał się z pośród nas pokryjomu prawie.

Oprócz codziennej zabawy na galeryi, lekcye konnej jazdy, fechtunku, pływania i tańca, przyczyniały się bardzo do rozwijania młodych organizmów. Zamiłowanie do tych ćwiczeń wzrastało i postępy w nich były widoczne. Pracowity nauczyciel jazdy Audibert, i doskonały jeździec, pomocnik jego, Olszański, zaledwie mogli nastarczyć w zmianie koni. Dosiadywanie rumaków w biegu, na karuzelu zdejmowanie dzirytem pierścieni, podejmowanie z konia ustawionych na ziemi przedmiotów, przeskakiwanie gęstych baryer w galopie, szło jak z płatka. W fechtunku również, do największej dochodziliśmy zręczności. Nieraz sam nauczyciel, sławny fechmistrz Roussel, pomimo niepospolitego w szermierstwie talentu i nadzwyczajnej siły, musiał uledz gibkości i zręcznemu parowaniu swoich

uczniów. Celowali szczególnie w tej sztuce: Józef Korzeniowski, imiennik autora, i Ambroży Syroczyński. Pamiętam także, jak przy jednym z publicznych popisów z ćwiczeń gimnastycznych, musiał się Studziński wykazać, wobec licznie zgromadzonych gości, ze zręcznością swą rzucania w górę. Nikt mu nie mógł w tem sprostać. Miedziany pieniądz ocierał się zawsze z głośnym brzękiem o najwyższy szczyt gimnazyalnego kościoła.

Gdy nie było lekcyj, w niedzielę i święta, odbywaliśmy zwykle wycieczki za miasto, na Żołoby, futor Wasylichy, lub na górę Czerczy. Nie rozgrzewał nas tam nigdy trunek, papierosów, fajek i cygar nie znaliśmy wcale, ani słodkich przysmaków. Cukierni wówczas nie było żadnej w Krzemieńcu; sławny Dobrzyjałowski zawitał dopiero później. Za to ochładzało nas kwaśne mleko i pierogi z czereśniami lub czernicami, śmietaną oblane; a świeże powietrze, woń bujnej trawy, łagodne w zaciszu gór ciepło, przy wesołej pogadance i bieganiu do mety, wytwarzały nam chwile szczęścia, z któremi się już nigdy w życiu nie spotkało. Cóż dziwnego, że przy takich warunkach życia czerstwo i rumiano wyglądała młodzież cała, i że jej starczyło sił do robienia ciągłych postępów w nauce.

Jeśli pielęgnowano w Krzemieńcu zdrowie i niedopuszczano, aby się jakimkolwiek sposobem zużyło, o tyle też ścisłą zwracano baczność na moralny rozwój młodego pokolenia. — Religia, w przekonanju Czackiego, powinna była być gruntem społecznego polskiego ustroju. Poznać więc ją, nie w głębokich teologicznych rozprawach, ale w tem

co stanowi rdzeń jej, przejąć się nią do głębi, wdrożyć sobie jej obrzędy i przepisy, należało do najgłówniejszych obowiązków ucznia. Zaczynaliśmy zwykle dzień każdy od wysłuchania mszy św. o godzinie 7 zrana, w gimnazyalnym kościele; kto zaś przez opieszałość był nieobecnym, do ścisłéj pociągano go odpowiedzialności. W dni świąteczne chórem śpiewaliśmy nabożne pieśni. Do spowiedzi przystępowaliśmy dwa razy na rok, a zdanie nauczyciela religii, przeważnie na promocyę i nagrody wpływało.

Karty, wszelkiego rodzaju hulanki i publiczne zabawy, srodze były wzbronione, dochodzone i karcone. Na prywatne nawet wieczory nie można było uczęszczać, bez wyraźnego pozwolenia prefekta. Ścisłość ta, wolniała nieco na wyższych kursach dla tych, którzy obyczajnością swą i dobrem prowadzeniem się, zyskiwali sobie zaufanie władzy szkolnej. Dla takich, gdy byli biedniejsi, prefekt sam rozdawał nieraz bezpłatne bilety na kasyna, i to uważanem było za prawdziwą nagrodę trudów i pracy.

Uznanie pożytku nauki, starszemu dopiero wiekowi bywa właściwe. Kilkunastoletnia młodzież, rzadko tak daleko sięga myślą. Trzeba jej innego bodźca, aby dobre jej chęci nie zużyły się, aby wytrwała na drodze, którą przejść musi. Rozumiał to Czacki, i dla tego starał się wytworzyć emulacyę przez zaprowadzenie, oprócz promocyj, listów pochwalnych, akcesytów i medali. Rozdawanie tych nagród nosiło cechę publicznego obrzędu, w którym najpierwsi dygnitarze Kościoła i rządu, obywatele i liczne grono dam brali udział. Chwile

takie niepojęty jakiś miały urok i z niczem później w świecie porównać ich nie można. Podczas dziesięcioletniego pobytu mego w Krzemieńcu, przechodziłem przez te wszystkie szczeble młodocianego szczęścia, a chociaż w życiu zdarzały mi się pochwały i nagrody nad me skromne zasługi, chwila wszakże, w której piękna księżniczka, Eleonora Czetwertyńska, dziś hrabina Tyszkiewiczowa, przypinała mi z czarującym uśmiechem medal, pozostała na zawsze w mej pamięci, jako najmilsze wspomnienie.

Listy pochwalne odbieraliśmy zwykle z rąk samego Czackiego, po stosownem do okoliczności przemówieniu. Najzaszczytniejszą jednak nagrodą był medal. Dawał on prawo do noszenia skromnego haftu z jednego liścia dębowego i kłosa pszenicy na kołnierzu u munduru; nadto, tak wyszczególnionych uczniów zapraszał zwykle starosta, parę razy do roku, do siebie na obiad. Praca tylko i prawdziwe postępy w naukach, słały drogę do tego zaszczytu. Żadne inne względy, ani majątku, ani urodzenia nie wchodziły w rachubę. Powoli oswajano się z tem, i zdrowsze pojęcia o stosunkach społecznych rozszerzały sie coraz bardziej. Synowie mieszczan, chłopów i żydów zasiadali ławki szkolne, wśród licznych szeregów szlacheckiej dziatwy, a nikt nie śmiał podnieść głosu przeciw temu równouprawnieniu. Młodzież, poczciwem a gorącem sercem wcielała się w tę reformę i lgnęła do niej; koleżeństwo i solidarność noszonego munduru, ułatwiały to zlanie się, a głęboko wpajane uczucie honoru zakładu, zarówno dla wszystkich drogiego,

było elementem, spajającym ostatecznie te różnorodne żywioły.

Fakta udowadniały nieraz wielkie na tem polu postępy. Zdarzało się nawet, że gwałt odpierała młodzież gwałtem, za jednego uciśnionego lub pokrzywdzonego z pośród siebie, stając cała w zwartym szeregu. Pamiętam, jak dziś, gdy uczeń 3go kursu, odznaczający się w naukach i obyczajach, a będący synem stolarza, mieszczanina krzemienieckiego, na przechadzce po botanicznym ogrodzie, został cierpko strofowanym przez ogrodnika Niemca, za zerwanie jakiegoś kwiatka z klombu. Porywczy Niemiec, w zapale gniewu wytknął mu z pogardą jego pochodzenie i zagroził biciem. Jeszcze się ta scena była nie skończyła, jak na odgłos dzwonka, szarpniętego w niezwykłej porze, przez jednego z jej świadków, zbiegliśmy się wszyscy do ogrodu i bylibyśmy zgruchotali na miazgę ogrodnika, gdyby nie interwencya prefekta i profesorów, którzy w ślad za nami pospieszyli. I któż najpierwej stanął w obronie skrzywdzonego mieszczanina? — Panicze i szlachta. Oni sami poddali się następnie, z największą uległością i dobrowolnie, surowości szkolnych przepisów za naruszenie porządku, a skrzywdzony syn stolarza, większej jeszcze niż przedtem nabył między nimi powagi i współczucia.

Dowody solidarności takiej zdarzały się często, a do wyrobienia i utrwalenia jej, przyczyniły się też bardzo ustanowione przez Czackiego studenckie sądy. Wszelkie przewinienia w pośród siebie i względem siebie popełnione, lub uwłaczające honorowi ogółu młodzieży, szły tutaj do roz-

patrzenia i decyzyi; wyrok sądu tego był dla każdego. święcie obowiązującym. Wyższe klasy, czyli tak zwane kursa, a było ich trzy, wybierały corocznie każdy po dwóch sędziów, wszystkie zaś razem wotowały na prezesa. Sąd zatem składał się z 6 sędziow i siódmego prezydującego. Pierwszym prezesem, jednogłośnie okrzykniętym, był syn starosty, Józef, 18-letni młodzieniec, pełen wielkich nadziei, i powszechnie przez kolegów lubiony. Bóg go tak hojnie obdarzył, aby tem boleśniejszą uczynić zawczesną stratę jego. Ojciec nie zgodził się na ten wybór, utrzymując, iż nie osobiste Józefa zalety, ale stanowisko samego starosty i delikatność uczuć młodzieży, są powodem takiego jego wyszczególnienia. Młodzież obstawała przy swojem i zaproponowała, aby jak na sędziów, tak i na prezesa, cicho składano wota. Musiał Czacki uledz; po skończonem głosowaniu okazało się kilkaset affirmatyw i ani jednej negatywy. Ze łzą w oku potwierdził wtedy ojciec wybor syna, a zebranemu gronu pięknie i przekonywająco wyłożył, jak należy, sądząc współkolegów przewinienia, zachować bezwzględną sprawiedliwość, oraz jak w jej wymiarze umiarkowanie i wyrozumienie przewodniczyć powinny.

Troskliwość Czackiego nie ograniczała się tylko do murów szkolnych; dla opuszczających je miał on także słowo przestrogi i napomnienia. Wedle raz przyjętego zwyczaju, po nabożeństwie, tkliwej przemowie księdza Prokopa i rozdaniu nagród, przywoływał on każdego z takich przed siebie i żądał, aby wobec Boga, wszystkich szkolnych władz, pozostającej młodzieży i licznie zgro-

madzonego obywatelstwa, przyrzekł: iż się nigdy złemi postępkami nie splami, że nabytych nauk nie sponiewiera, że myśl dobra narodowego i społecznego całe życie przewodzić mu będzie, że w pracy i w dalszem kształceniu się nie ustanie i że wreszcie, pamięć tej szkoły i braterską dla kolegów miłość, na zawsze w swem sercu zachowa. Podpisywano się na to w osobnej, na ten cel istniejącej księdze, poczem Czacki każdego do piersi przycisnął i ucałował, dając w ten sposób nowemu do społeczeństwa przybyszowi pierwsze powitanie, a zarazem ojcowskie na dalsze życia koleje — błogosławieństwo.

Jakoż wytwarzał się tą drogą nowy świat, a pewna spójnia moralna przechowała się w nim na zawsze i po za obrębem murów szkolnych, wśród których powstała. Choć rozrzuceni, różne dzieląc losy, zawsze Krzemieńczanin znalazł w Krzemieńczaninie brata, przyjaciela, doradcę, obrońcę i pomocnika; jakaś instynktowna sympatya i głębokie zaufanie we wzajemną prawość, pociągały jednego do drugiego, choć się wprzód wcale osobiście nie znali. Mało też, pomimo tylu tysięcy uczęszczającej do tej szkoły młodzieży, znalazło się takich, coby danej Czackiemu obietnicy niedotrzymali, lub wstyd zakładowi przynieśli. W takim nawet razie, nie Krzemieńczanin rzucał na nich kamieniem. Przeciwnie, pamiętny zalecanego sobie pobłażania i chrześciańskiej wyrozumiałości, starał się raczej radą i przestrogą naprowadzić zbłąkanego na lepszą drogę, niż pogardą i usunięciem się w głębszą jeszcze wepchnąć przepaść.

Gdy tak ubiegały Czackiemu dnie i miesiące w służbie publicznej, której wszystkie chwile życia i bogate zasoby swej wiedzy wyłącznie poświęcił, gdy jedyną było dlań pociechą, że zdobywa w ten sposób coraz większe prawa do uznania i wdzięczności współziomków, żądło zazdrości budziło uśpione ku niemu niechęci, i gotowało w ukryciu najcięższą próbę, jaka prawego obywatela kraju spotkać może. Graf Worcel, senator, Alojzy Gostyński, marszałek gubernski wołyński i generał Łobarzewski, podali do cesarza zaskarżenie, że nie w miarę ogromnych składek, zebranych w trzech prowincyach Rusi, wzniósł starosta gimnazyum krzemienieckie, że obywatele z niespokojnością widzą, jak ich ofiary nie ku celowi, na jaki takowe złożyli, są obracane; że korzyści z nowozałożonej szkoły stosunkowo są małe, i że wreszcie, udają się oni do rządu z prośbą, aby zechciał wejrzeć w tę sprawę i do należytego doprowadzić ją porządku. Zaprawdę, trudno było pojąć, co skłoniło wyżej wymienionych do zrobienia podobnego kroku. Nie sam Czacki, ale cała komisya edukacyjna zarządzała funduszami; rachunki jej corocznie drukiem były ogłaszane i wyszczególniały cały przychód i rozchód; nadto dwaj ostatni: Gostyński i Łobarzewski nie dali byli ani grosza, a nikt ich nie upoważniał do występowania w imieniu ogółu. Niechęć tylko osobista, zdawna powzięta i spotęgowana uczuciem zazdrości, wobec szerzącej się powszechnie sławy i szacunku dla wskrzesiciela oświaty na Rusi, zdolne były tak dalece zaślepić ich i popchnąć do takiego czynu.

Rząd, przez samo społeczne stanowisko trzech podpisanych na akcie oskarżenia, musiał je wziąć na uwagę. Wyznaczył więc komisyę specyalną, złożoną z hrabiego Fryderyka Moszyńskiego, rzeczywistego radcy tajnego, księcia Karola Jabłonowskiego, Bystrego, rzeczywistego radcę stanu i Szczastnego, sowietnika gubernskiego wołyńskiego rządu, na Prezesa dał jej generała Komburleja, gubernatora wołyńskiego. Miała się ona zająć zbadaniem: 1) Czy sposób dawania nauk w gimnazyum krzemienieckiem odpowiada pierwotnemu założeniu i powszechnej nadziei? 2) czy nie byłoby dobrze wynaleść inne miejsce, dogodniejsze dla tego zakładu, i 3) czy dochody i prywatne zapisy nie chybiają celu swego przeznaczenia? — Komisya ta zjechała do Krzemieńca w ciągu 1810 roku. Po ścisłem przejrzeniu całej szkoły, egzaminie uczniów i sprawdzeniu rachunków, najchlubniejszy dla zakładu i jego założyciela, złożyła ona rządowi raport.

Pomimo tego, cios ten głęboko zranił serce Czackiego; tem boleśniejszym był zaś dla niego, że ręką współrodaków został mu zadany. Od tej chwili, czarna chmura smutku osiadła na zawsze na jasnem i pogodnem dotychczas czole jego, a gwiazda spokoju i pomyślności gasnąć mu zwolna poczęła. — Zawód i nieszczęście nie chodzą nigdy samopas. Wiążą się one zwykle ze sobą, jak wezbrane fale na morzu życia, uderzając jedna po drugiej w pierś swej ofiary, dopóki jej nie skruszą, lub dopóki inny prąd wiatru, szczęśliwszy, kierunku ich nie zmieni. — Tym razem na to ostatnie zabrakło czasu.

W ślad za poprzedniem oskarżeniem, poszło nowe. Kilku dymisyonowanych nauczycieli języka rossyjskiego z dawnych szkół wydziałowych, nieznalazłszy umieszczenia ani w Krzemieńcu, ani w innych zakładach przez Czackiego stworzonych, doniosło wyższej władzy: że wizytator nie lubi Rossyan, że wyklucza ich ze szkół pod pozorem niezdatności, ale w rzeczy samej dla tego tylko, aby się samymi Polakami otoczyć, że dla rządu również źle jest on usposobiony i nieprzyjazne knuje zamiary. Pomimo więc tak chlubnego raportu pierwszej komisyi, pomimo bytności w Krzemieńcu w r. 1810 księcia Adama Czartoryskiego, kuratora okręgu i szczegółowego zwiedzenia przezeń wszystkich szkół na Rusi, wysłano tutaj w r. 1811 z Wilna już, z polecenia cesarskiego nowych delegatów, którzy mieli, pozostawiając na stronie kwestyę funduszów i wydatków, wejrzeć w sposób udzielania nauk w gimnazyum wołyńskiem i przekonać się poufnie, o ile zażalenia powyższe mogły być słusznemi. Upozorowano nadto misyę tę rozkazem zbadania, czy system nauk przez Czackiego przyjęty, nie dałby się z korzyścią i do innych szkół zastosować. Po dokładnem rozpatrzeniu się, złożyli oni także najpochlebniejsze o usiłowaniach starosty świadectwo, uznali, iż całe urządzenie szkoły najpiękniejsze rokuje na przyszłość owoce, a oskarżenia byłych nauczycieli języka rossyjskiego, jako nie mające żadnej podstawy, odnieśli na karb osobistych żalów i niechęci.

Zaledwie się to skończyło, nadszedł rok 1812, brzemienny w polityczne wypadki. Otworzył on obszerniejsze jeszcze rządowi pole do nieufno-

ści, względem Krzemieńca i do podejrzeń, istniejących od początku, a wciąż podsycanych. Stał podówczas kwaterą w Łucku, głównodowodzący południową rossyjską armią, książę Bagration, obdarzony dyktatorską władzą nad ruskiemi prowincyami i wglądający z wojenną surowością we wszystkie kroki szlachty polskiej. Źle dla Czackiego uprzedzony z Petersburga i poduszczany przez Kumberleja, gubernatora wołyńskiego, zamyślał ón jednem cięciem zniszczyć długą starosty pracę. Już cicho przebiegały wieści o gotującym się rozkazie zamknięcia szkół, o przymusowem wcieleniu do wojska dorosłej młodzieży a przeniesieniu innej, dla dalszego kształcenia się, do jednego z rossyjskich naukowych zakładów, w głębi państwa, podobno do Charkowa. Trwoga i żal ogarniały wszystkich. Rodzice i młodzież cisnęli się do Czackiego, prosząc o ratunek i opiekę. Pocieszał on i uspokajał jak mógł, ale w gruncie obawiał się sam tego, bo zamknięcie krzemienieckiej szkoły z nakazu rządu, groziło zupełnem jej zniesieniem na przyszłość, a wydalenie uczącej się młodzieży z kraju, zniweczeniem całego zasiewu, którego on na tem polu, tak szczęśliwie dokonał.

Niebezpieczeństwo było wielkie. Objął je Czacki jednym rzutem oka i stanął natychmiast w gotowości bronienia najdroższego dziecka swego. Bystry umysł jego i niewyczerpana przedsiębiorczość doradzały mu, jako jedyny, a najpraktyczniejszy zaradczy środek — uprzedzić postanowienie rządu i zwinąć szkołę z własnej inicyatywy. Chwycił się więc go oburącz, a że bez zezwolenia

księcia, Bagrationa uczynić tego nie mógł, wyruszył sam do niego.

Główno dowodzący przyjął go zrazu dość cierpko, wymawiał, że młodzież, zostająca pod jego zwierzchnictwem nie garnie się pod cesarskie sztandary. Zaprzeczył temu Starosta, oświadczając, iż ma właśnie takich, którzy życzą poświęcić się wojskowości, że prosi księcia o wydelegowanie w tym celu kogoś z przybocznych do Krzemieńca, aby ich wysłuchał egzaminu, przeświadczył się o ile są do tej służby uzdolnieni i wreszcie zabrał ze sobą. Ułagodzony tem Bagration, wysłał wkrótce do gimnazyum komisyę, złożoną z kwatermistrza, kilku inżynierów i słynnego później pułkownika, Jermołowa.

Przyjął ją Czacki ze zwykłą sobie uprzejmością i grzecznością. Młodzi oficerowie przylgnęli całą duszą do niego, ulegając czarodziejskiemu wpływowi jego rozumu i serca. — Egzamina ze ścisłych nauk, z literatury rossyjskiej, z rysunków topograficznych, z fechtunku, konnej jazdy i t. d. wypadły świetnie. Dwaj bracia Zagórscy, Studziński, Gorłow i kilku innych, dorosłych już a potrzebujących w świecie karyery, z chęcią propozycyę wstąpienia do wojska przyjęli. W ślad zatem nastąpiło zezwolenie Bagrationa na tymczasowe zamknięcie szkół i odesłanie młodzieży do rodzicielskich domów, — i groźna burza szczęśliwie zażegnaną została.

Przejścia tych ostatnich lat podkopały z gruntu zdrowie Czackiego. Wzrastający niepokój o los stworzonego przezeń zakładu i przewidywanie, iż prędzej czy później nie zdoła on się ostać, wobec

coraz nowych a coraz niepomyślniejszych politycznych wypadków, rozstrajały go z dniem każdym. Otwarcie też kijowskiego gymnazyum, na początku 1813 roku, było ostatnią urzędową czynnością jego. Wracając ztamtąd do Kamieńca, został rażony w drodze gorączką nerwową. W Mizoczu, gdzie chciał spocząć, zastał zmarłego z tejże choroby na katafalku przyjaciela swego, Karwickiego. Ruszył więc dalej i ledwie ściągnął do Dubna, gdzie w domu doktora Lerneta, dnia 8 Lutego, pełne zasług i chluby życie swe zakończył.

Przedwczesny zgon Czackiego, albowiem liczył niespełna 48 lat, przeraził i kirem żałoby okrył wszystkich. — W Krzemieńcu, od salonu do najuboższej chatki, od dziecka do starca nic innego nie było słychać, jak tylko: umarł! umarł! — Jednego nie stało człowieka — a życia wszystkim zabrakło. Wkrótce przywieziono serce Czackiego w zamkniętej urnie i złożono w zakrystyi gimnazyalnego kościoła. Taka była wola jego: z tem co najbardziej ukochał, ze szkołą wołyńską, na wet i po śmierci rozłączać się nie chciał. — Młodzież, obywatele, mieszczanie krzemieniecy, słowem, wszyscy co go znali, pragnęli różnemi sposoby pamięć jego przechować i dalszym podać pokoleniom. Ze składek w jednym dniu zebranych, stanęło marmurowe popiersie nieboszczyka w sali bibliotecznej; postanowiono też corocznie przy zamknięciu szkół, obchodzić po nim publiczne egzekwie.

Dopiero śmierć Czackiego wykazała o ile własny jego, dość wielki majątek, nadszczerbiony został przez służbę publiczną. Nie tylko cały roczny dochód swój obracał on na zapełnienie tu

i owdzie wykazujących się potrzeb szkolnych, ale nadto pozaciągał znaczne długi, na ten cel użyte, Książę Adam Czartoryski dowiedziawszy się o tem, chciał choć w części wynagrodzić sukcesorom poniesione straty, uzyskał więc u cesarza nadanie im na lat 12 starostwa rządowego na Litwie przynoszącego 60,000 złp. rocznego dochodu; jednocześnie zaś wystosował odezwę do marszałków ziem ruskich, wzywając za ich pośrednictwem szlachtę Wołynia, Podola i Ukrainy, aby zaległe należności swoje, za dostawę prowiantu podczas ostatniej wojny, ustąpili na rzecz wdowy i sierot po Czackim pozostałych, na co się wszyscy najchętniej zgodzili.

Tytuły Czackiego do powszechnej wdzięczności, przewyższały zaprawdę to, co dla pamięci jego zrobić było można, a najpiękniejszy, bez zaprzeczenia, i najtrwalszy pomnik zgotował sam sobie za życia. Po dziesięciu niespełna latach urzędowania, wśród tylu przeszkód, przy zupełnym prawie braku środków, które sam zdobywać musiał, oprócz wyższej krzemienieckiej szkoły wzorowo urządzonej, i należących do niej zakładów dla geometrów, mechaników. chirurgów, instytutu guwernantek i t. d., zostawił Czacki 2 gimnazya, podolskie i kijowskie; pięć szkół średnich, Barską, Humańską, Międzyrzecką, Lubarską i Berdyczowską, i 126 szkółek niższych, z tych 85 na Wołyniu, 26 na Podolu i 15 na Ukrainie — wszystkie przez niego samego założone i rozwinięte. Liczba zaś uczącej się młodzieży z 500 zaledwo, — uczęszczających do lichych szkół wydziałowych w r 1803, to jest do chwili objęcia przezeń urzędowa-.

nia,—urosła już w r. 1810 do 4,500 z górą. Nie na tem jednak miała się wstrzymać praca jego, gdyby go była przedwcześnie śmierć nie zabrała. Projektował Czacki, aby przetworzyć stopniowo krzemieniecką szkołę na Uniwersytet, uprzedzając znany mu już zamiar rządu założenia takowego w Kijowie; chciał urządzić seminaryum nauczycielskie, aby w miarę rozwijania się jego dopełniać liczby niższych szkółek; następnie miały powstać: instytut dla głuchoniemych, z zapisu zrobionego na ten cel przez senatora Ilińskiego; szkoła rolnicza i wydział techniczny. Wyliczyliśmy tu tylko to, co już publicznie było wiadomem i do czego pierwsze kroki były już zrobione.

Sędziwy Kołłątaj, patrząc z rozrzewnieniem na rozwijającą się tę pracę Czackiego, pełną przyszłości dla kraju, nie wahał się napisać do niego jeszcze w r. 1805, w jednym ze swych listów:

„Przywiodłeś JW. Pan nauki do tego stopnia, do którego wprzód przez nikogo doprowadzone nie były; przełamałeś wszystkie trudności i niebezpieczeństwa i idziesz w zapasy z dalszemi.“ Tak też w rzeczy samej było. A wieszcz nasz, Mickiewicz, o wiele później, w tych kilku słowach streścił zasługi jego:

Światła a światła! łzy nasze błagały,
Światła a światła! wołał naród cały;
I zesłał promień Bóg na lud sarmacki
Zajaśniał *Czacki!* —

Promień ten długi czas jeszcze wznosił się nad Krzemieńcem; tradycya i pamięć Czackiego przewodniczyły tam we wszystkiem. Następca jego

na urzędzie wizytatorskim, Filip hrabia Plater, starał się iść wskazaną sobie przez swego poprzednika drogą. — Zapewne, nie było już w nim tej rzutkiej przedsiębiorczości w coraz obszerniejszem rozwijaniu zakresu oświaty narodowej, nie było kamiennej wytrwałości, kruszącej wszystkie zawady, ale dobrej chęci i poświęcenia się nie brakło mu nigdy.

Dzięki zabiegom jego i poparciu księcia Adama Czartoryskiego, pierwotna myśl Czackiego, choć w części, doprowadzoną została do skutku, uzyskano bowiem u rządu wyniesienie gimnazyum wołyńskiego na stopień liceum. Sam książę kurator zjechał w r. 1818 dla doręczenia szkole dyplomu cesarskiego na tę zmianę nazwy. Na czele zakładu stanął wówczas, znany powszechnie z rozumu, cnót i prawości, Alojzy Feliński. Różne katedry, w miarę stopniowego opróżniania się, zajmowane były przez młodych profesorów, pełnych talentu i zdobywających sobie coraz głośniejsze imie w kraju. Jednych, sam Krzemieniec wychował i usposobił dla siebie, jak Michała Wiszniewskiego, Józefa Korzeniowskiego, Miechowicza, Mikulskiego i td.; innych Uniwersytet wileński dostarczał, jak Lelewela, Aleksandra Mickiewicza, Wyżewskiego, Zienowicza, Hreczynę, Uldyńskiego, Jakubowicza itd. — Przy dogodnych warunkach materyalnych, jakie im posada w Liceum zabezpieczała, i przy ciągłej emulacyi we własnem gronie, każdy z nich pragnął się przyłożyć, w odpowiedniej sobie gałęzi, do wzbogacenia ojczystej wiedzy. Pracowano więc, to na polu literatury (Korzeniowski i Wiszniewski), to w dziedzinie historyi (Lelewel), to układając

słownik greeki (Jurkowski), gramatykę łacińską i polską (Jakubowicz), gramatykę niemiecką (Lieder), mechanikę (Miechowicz), algebrę (Hreczyna), geografię starożytną (Uldyński) itd. — Inni znów, w inny sposób, skarbili sobie prawo do pamięci u przyszłych pokoleń. Stefan Zienowicz naprzykład, objąwszy katedrę chemii po Szostakowskim, powziął był myśl zbierania różnych krajowych ciekawości, i takową z całem zamiłowaniem i wytrwałością w czyn wprowadzał. Gabinet jego rósł z dniem każdym. Oprócz minerałów, wszelkich gatunków kamieni, skamieniałych organicznych części i tym podobnych rzeczy, główną w nim część stanowiły ubiory nasze, z różnych czasów i prowincyj,oraz okazy materyj jedwabnych,nicianych, bawełnianych, złotolitych, adamaszkowych, sukna, i w ogóle wyrobów dawniej lub dziś do stroju przydatnych. Układał je Zienowicz w chronologicznym porządku, aby dać obraz postępu krajowych rękodzielni, i pod pewnym względem, narodowych gustów i oświaty. Przyglądając się temu zbiorowi można było ułożyć skalę, jakby szczeble, po których prostota obyczajów ustępowała miejsca wytworności i zbytkom, w miarę tego, jak wzrastała zewnętrzna różnica klasy majętniejszej od uboższej, rozpadając się wkońcu z jednej strony w przepych, a z drugiej w nędzę. — Przy zbiorze tym, nadzwyczaj ciekawym, ułożył był Zienowicz drugi, także rzadki, z ubiorów Kamczadałów, Ostyaków, Tatarów, Kirgizów i pokrewnych im narodów, z ich uzbrojeniem w łuki, kołczany itd. Jeden obok drugiego, uwydatniały one różność cech narodowych i kultury słowiańskiej od mon-

golskiej. — Dalej, Besser, profesor historyi naturalnej, oddał się był z całem upodobaniem zbieraniu flory krajowej. Pomiędzy innemi, wielkiej naukowej wartości rzeczami, jak całkowity zielnik suchych roślin, kollekcya owadów itp., widziałem u niego oryginalny zbiór samych tylko liści, począwszy od mchów i porostów do najogromniejszych papyrusów i palm — jedyny może w swoim rodzaju. — A Zaliwski? którego Czacki, przedstawiając księciu Adamowi Czartoryskiemu, tak scharakteryzował:

— Oto jest nasz profesor mechaniki; co powie, nie ma co słuchać; co napisze, nie ma co czytać; ale co zrobi — jest co widzieć."

Zjeżdżano się też z najdalszych stron, aby oglądać jego słynny gabinet narzędzi i machin.—

W tem zamiłowaniu do pracy, w tem skrzętnem skupianiu wszystkich zasobów wiedzy, przebijał się duch Czackiego, żyjący wciąż wśród jego szkoły.— Cóż więc dziwnego, że w tej atmosferze, uprawiona i zasiana przezeń rola coraz bujniejszy plon wydawała, że zeszły na niej i pięknie się rozwinęły takie kwiaty, jak Antoni Malczewski, Juliusz Słowacki, Stefan Witwicki, Maurycy Gosławski, Karol Sieńkiewicz, Tomasz Padura, Olizarowski, Aleksander Przezdziecki, Karol Drzewiecki, Tytus Szczeniowski — że tylko tych wspomnę, co się szczególnym okryli blaskiem.

Komisya edukacyjna pełniła też dalej misyę swą. Zmieniali się ludzie w jej skład wchodzący, ale gorliwość w pełnieniu obowiązku została zawsze taż sama. Po Czackim prezesowskie w niej krzesło zajął Michał Sobański, po nim książe Dymitr Cze-

twertyński, a nakoniec Feliks Czacki, synowiec Tadeusza. Członkami zaś z kolei byli: książe Maksymilian Jabłonowski, szef Józef Drzewiecki, Adam Bilski, Ludwik Raciborowski, Kazimierz Karwicki, Jan Stempkowski, Celestyn Zakaszewski, Żurowski, Mniszech i kilku innych, wszyscy znani powszechnie ze swej prawości i cnót obywatele, a wielu z nich, tejże krzemienieckiej szkole rozwój swój i wykształcenie zawdzięczali.

Pomimo dobrej woli i nieustannych starań nowych czynników, wyszłych już z łona młodego pokolenia, przez Czackiego wypielęgnowanego, prąd przeciwny wzmagał się i rósł, i walka z nim stawała się coraz trudniejszą. Stopniowo doszło do tego, iż nie rozszerzać, ale wypadło krok za krokiem bronić istnienia tego, co Czacki stworzył, i to nałamując się do coraz twardszych wymagań rządu. Tak np. musiano znieść drobne funduszowe konwikta i utworzyć jedną wielką bursę, w rodzaju koszar; musiano i w innych względach ścieśniać się i wyłamywać z początkowej tradycyi, stosując się do ogólno-państwowych przepisów, obowiązujących zarówno wszystkie wyższe naukowe zakłady. Tak się działo w ostatnich latach, aż dojrzał projekt, oddawna, bo jeszcze w roku 1806 przez rząd powzięty, założenia uniwersytetu w Kijowie. Polityczne wypadki przyspieszyły wykonanie jego.

Powstanie nasze 1831 roku, zrywające pewien węzeł prawnej, międzynarodowej ugody, jaka istniała między Rossyą i Polską, oddało tę ostatnią na dyskrecyę zwycięzcy. — Ucierpiało na tem Królestwo Kongresowe, ale o ileż więcej prowincye ruskie! — Ustały natychmiast wszystkie względy,

które nakazywały dotychczas rządowi szanować tam język, prawa i obyczaje narodowe. Statut litewski zamieniono więc „swodem zakonów“; język polski wykluczono z sądownictwa i administracyi, urzędy z wyborów ograniczono do kilku zaledwie — słowem, system moskwicenia rozwinięto w ziemiach tych w całej pełni. — Przy takim zwrocie usposobień rządu, który zapewne, prędzej czy później nastąpić musiał, a tym razem, dzięki wyjątkowym wypadkom, szybciej i gwałtowniej się objawił, — czyż mogły się ostać szkoły polskie, a zwłaszcza krzemieniecka, ten rozsadnik wiedzy i narodowego uczucia? Zaprawdę nie. To też zwinięto ją w r. 1833, z najwyższego rozkazu, wcielając wszystkie jej zbiory, gabinety i bibliotekę do nowo-tworzącego się uniwersytetu kijowskiego. Z nią, i komisya edukacyjna rozwiązaną została; a fundusze przez tę instytucyę zrealizowane, z górą dwa miliony kilkakroć sto tysięcy złp., wraz z poprzednimi zapisami, na ręce Czackiego złożonemi, przeniesiono również na rzecz tego uniwersytetu, z tą tylko różnicą, iż nadal sam rząd bezpośrednio miał się zająć ich administracyą.

Wśród szeregu ciosów, jakie spotkały podówczas ziemie ruskie, te ostatnie odbiły się najbardziej w sercach ich obywateli. W pocie własnej pracy stworzona, własnemi wypielęgnowana rękoma, szkoła krzemieniecka była dla każdego drogiem dzieckiem pełnem nadziei, źródłem nowego na przyszłość życia. Patrzeć na jej zgon przedwczesny, grzebać z nią razem nadzieje te i widzieć jak zasoby, z taką ofiarnością dla niej złożone, na inny cel, może wręcz nieprzyjazny, mają być uży-

te — zaprawdę, to zakrwawić mogło najmniej czułe serce. — To też, pod wpływem nastroju tego dały się słyszeć głosy wyrzutu. „Na co było tworzyć, mówiono, to, co prędzej czy później musiało przestać istnieć; na co było zachęcać do ofiar, z których dziś rząd korzysta; na co było podnosić sprawę pojezuickich funduszów i dóbr, i ustanawiać komisyę edukacyjną, aby ta uporządkowała, wykazała nawet sumy, które były ukryte i nie ujęte prawie, i w końcu to wszystko rządowi złożyła?“

Głosy te, głęboką wywoływała boleść. Przeszły jednak, nie zostawiając nawet echa po sobie. Dziś, rozumie każdy, iż nie Czackiego w tem wina ale tej nieszczęśliwej politycznej sytuacyi naszej, w której nikt nie jest pewny jutra; w której, podobni do rozbitków, wciąż sklejamy łódź naszą, a coraz sroższa nawalnica miota nią, tłucze i kruszy w kawały; sytuacya, w której jedyna przystoi nam dewiza: *Fais ce que dois, advienne ce que pourra.* — Dziś, po tylu latach ubiegłych, gdy sądy ochłodły, a smutnego doświadczenia i świadomości przybyło, z ręką na sercu w odpowiedź na te wyrzuty zapytać się godzi: a cóżby się było stało z ziemiami ruskiemi bez Czackiego? albo, czyż nie jemu winniśmy w znacznej części przechowanie w nich ducha polskiego w całej jego świeżości i uroku?

Dwóch głównie złożyło się na to ludzi, on i książe Adam Czartoryski; każdy w swojej sferze, choć pierwszy, stosunkowo, więcej, bo bezpośredniej na to wpłynął. Książe Adam, przez wychowanie, stanowisko społeczne, okoliczności i inklinacye osobiste, był bardziej politykiem i dyplomatą. Za-

kres wychowania publicznego nie mógł go wyłącznie zajmować. Protegował on, zachęcał, dopomagał. Czacki zaś sam z niczego tworzył; od najdrobniejszych szczegółów do najobszerniejszego planu, wszystko sam obmyśliwał, układał i w wykonanie wprowadzał. — Książe Adam musiał baczyć na ogólno-krajowe, polityczne cele, i w interesie ich zważać na swój osobisty stotunek do cesarza Aleksandra; Czacki miał na myśli i na sercu jedno tylko, rozwinięcie oświaty narodowej, i dla niej gotów był wszystko poświęcić. Ci dwaj ludzie, choć z tak różnemi usposobieniami, charakterami i stanowiskami, dopełniali się wzajemnie. Czacki, bez pomocy księcia Adama Czartoryskiego byłby wielu rzeczy nie przeprowadził, i kto wie czyby nie był upadł pod ciężarem napotykanych trudności; książe Adam zaś, pomimo piastowanej godności kuratora okręgu wileńskiego, bez Czackiego nigdyby nie był w stanie podnieść do tak wysokiego stopnia oświaty narodowej w prowincyach ruskich.

Wspólna gorąca chęć służenia krajowi i przyczynienia się do dobra ogólnego, zetknęła ich ze sobą, zbliżyła, wyrodziła wzajemny szacunek i zaufanie i wydała powyższe owoce.

Cześć więc im obu. —

Gdyśmy już tyle powiedzieli o wewnętrznych zaletach Czackiego i o zasługach, jakie położył w wybranej, przez siebie gałęzi, musimy dodać jeszcze choć słów parę o pociągającej i ujmującej wszystkich powierzchowności jego i wspomnieć o kilku szczegółach z jego powszedniego życia, aby mieć całkowity obraz tej historycznej naszej postaci.

Budowa ciała wysmukła, twarz blada i ściągła, rysy ostre, nos orli, oczy przymrużone, usta wązkie, niższa warga podniesiona, czoło wysokie, łysina znacznie rozszerzona, bruzdami zorana; przytem wszystkiem wielkie ożywienie i swoboda ruchów, połączona z naturalną powagą, oto jak mi Czacki został w pamięci.— Na pierwszy rzut oka, obok mimowolnej sympatyi, którą wzbudzał, robił jeszcze wrażenie człowieka przedsiębiorczego, śmiałych pomysłów i wytrwałej woli.

W codziennem życiu niezmiernie był łagodny, wesoły, dowcipny, i dla każdego przystępny. Obdarzony, w potocznej mowie, wielką łatwością wysłowienia się, w przemówieniach publicznych posiadał prawdziwy dar słowa, przejmujący, przekonywający i pociągający słuchaczów.

Zbytku, wystawy i okazałości nie lubił. Skromność cechowała go we wszystkiem. Pomimo ogromnej i wszechstronnej nauki, nie był wcale ani pedantem, ani zarozumiałym; przeciwnie — chętnie przyznawał się do tego, czego nie wiedział, szukał często rady doświadczeńszych i stosował się do niej, skoro ją za słuszną uznał. Najmilszem zajęciem jego pozostało zawsze czytanie książek, a w zbieraniu ich miał prawdziwe upodobanie. Nie można mu było większej zrobić przyjemności, jak ofiarując egzemplarz jakiejś zatraconej edycyi, lub dzieło, którego nie posiadał. Zajmowało go wszystko, bo też nic mu obcem nie było: traktaty matematyczne, zarówno jak z historyi naturalnej, medycyny lub astronomii, choć najwięcej miał wrodzonej skłonności do prawa, historyi i nauk ekonomicznych.

Zasadą jego było, nigdy nie robić „z iskierki wulkanu a z muchy wielbłąda“, jak się wyrażał, ale brać rzeczy tak, jak one są; gdy zaś na prawdziwą natrafiał zaporę, lub rzeczywiste groziło niebezpieczeństwo, podwajał i potrajał usiłowania, aby zwalczyć pierwszą, lub ostatnie odwrócić.

Obok wrodzonej mu łagodności, dobroci i wyrozumiałości, był niesłychanie drażliwym, gdy spotykał złą wiarę lub nieprawość; zmieniał się wtedy do niepoznania, stawał się cierpkim i gwałtownym. Razu jednego w Kijowie, podczas kontraktów, przyszedł złożyć mu wizytę pewien wysoko położony urzędnik, znany ze swych nadużyć i przedajności.

— „Masz pan, odezwał się do niego Czacki po chwili, w dobrach swoich dwa kościoły, trzeba więc, żebyś zrobił zapis na dwie parafialne szkoły“.

Zagadnięty tak gość, począł się wymawiac niemożnością, ubóstwem i ciężkiemi czasy. Oburzony Czacki wybuchnął gniewem.

— „Nikczemnym jesteś, zawołał: wiadome jest światu postępowanie twoje i źródło, z którego dobra te powstały; przez swoje nadużycia kompromitujesz rząd i godność jego urzędników, warto cię pod pręgierzem opinii publicznej postawić i zmusisz nas do tego“.

Przerażony urzędnik rzucił mu się do nóg, błagając o litość dla siebie i swych dzieci, a nazajutrz przysłał legalny zapis, przewyższający zwykły datek na takie szkoły.

Jedną jeszcze z właściwych cech Czackiego było przysłowiowe jego roztargnienie. Przy żywości charakteru i krótkim niezmiernie wzroku, da-

wało ono powód do tysiącznych, najkomiczniejszych wydarzeń, które z ust do ust przechodząc, obiegały wszystkie trzy prowincye.

Tak na przykład, raz dawał wielki proszony obiad u siebie, a że miał zwyczaj nie siadać wtedy do stołu, tylko chodząc w około, zabawiać gości, więc i tym razem tak się stało. Podano mu talerz z zupą; zajęty rozmową Czacki zjadł jej kilka łyżek, gdy w tem wydało mu się, iż widzi wyciągniętą ku sobie rękę służącego, okrytą białą serwetą; kładzie więc na niej swój talerz i dalej rozprawia. Jakież było zadziwienie wszystkich, gdy mniemana ręka okazała się być głową poważnej matrony, w biały czepiec przystrojonej. a talerz zsunąwszy się po niej i oblawszy ją pozostałą zupą, z brzękiem rozbił się o ziemię.

Kiedyś znów, podczas bytności biskupa Cieciszowskiego w Krzemieńcu, wziął Czacki jakąś damę w fioletowej sukni za tego dostojnika kościoła i uraczył ją stosowną przemową.

Innym razem dano mu znać, że słynny mecenas P. przyjechał go odwiedzić. Wysoko cenił i poważał Czacki sędziwego gościa, wybiegł więc na ganek na jego spotkanie. Mecenas, siedząc jeszcze w karecie, wysuwa przez okno swą łysą głowę, aby staroście za grzeczność podziękować. Czacki zaś sądząc, że to ręka, pospiesza ją uścisnąć i uderza poczciwego staruszka po łysinie.

Wypadków temu podobnych bywało bez liku. Nikt ich Czackiemu za złe nie brał, bo wiedział każdy, iż one nie ze złej woli pochodziły—śmiano się tylko z nich powszechnie, a starosta sam w wesołości ztąd powstałej — nie ostatni brał udział.

W WILNIE
od roku 1815 do 1821.

Czacki odwiedzając kiedyś moich rodziców, rzekł do mego starszego brata Adama: „Ty będziesz prawnikiem, a ty, zwracając się do mnie, pójdziesz do marynarki“. Słowa te głęboko w pamięci naszej i ojca naszego utkwiły, a choć się nie ziściły, miały to dobrego, że ani rodzice nasi, ani my sami nie myśleliśmy już poprzestawać na nauce w Krzemieńcu pobieranej, a pragnęliśmy gorąco oddać się jej dalej na uniwersytecie wileńskim.

Tak się też i stało. Brat mój Adam o rok mnie tam poprzedził, a ja, skończywszy gimnazyum wołyńskie, zaszczycony medalem, opatrzony błogosławieństwem ojca i matki, w tęż samą ruszyłem drogę latem 1815 roku.

Towarzyszami podróży mej byli Grzegorz Hreczyna, kolega szkolny, później profesor matematyki w liceum krzemienieckiem, i młodszy brat mój Michał, którego ojciec oddał mi w opiekę.

Obszerna krakowska buda pomieściła nas wygodnie z nielicznym zasobem ruchomości naszych, a cztery różnej barwy i wzrostu konie, ciągnęły ją dość raźno po Słonimskim trakcie. Taki

był powszechnie używany wówczas sposób peregrynacyj studenckich. Sternikiem tego korabiu na kołach, jak również właścicielem jego i bystrolotnych pegazów był słynny Jaś Katerburgski. Jednego prawie wieku z nami, a już miał ustaloną socyalną pozycyę, żonę i synka i własne gospodarstwo. Ojciec jego zamożny furman w Katerburgu pod Krzemieńcem, upatrując niezwykłe w nim z dziecinnych lat zdolności, dał mu był na własność tę czwórkę koni z krakowską budą. Jaś nietylko, że ją porządnie utrzymywał, że zarabiał więcej niż potrzeby domu i szczupłej rodziny wymagały, ale nadto doszedł do przeświadczenia, iż on jako w Krzemieńcu rezydujący, w pobliżu tak słynnej szkoły, mędrszym być musi od furmanów zamieszkałych w Katerburgu, w Kozinie a nawet w Łucku, i z tego powodu wyłącznie w towarzystwie studenckiem, jako najodpowiedniejszem dla siebie, gustował. Młodzież lubiła go także, bo był usłużnym, wesołym i żwawym, a do tego śpiewał z prawdziwem zamiłowaniem różne żydowskie i przez siebie po polsku skombinowane piosnki. A ile czepiało się go konceptów, jakich używał przemówień i zachęt do swych rumaków, nie dałoby się na wołowej spisać skórze.

— Ej wy, srokacze, smarkacze! Galopkiem na górę, bo dam wam w skórę.

— No wiu, do drogi, na wszystkie nogi.

— Dalej siwy, pókiś żywy.

— Nu galopem zawczasu do popasu. i t. p. sypały mu się jak z rękawa. Zwykle jeździł najczęściej między Krzemieńcem a Wilnem, znano więc go na tej drodze dobrze, na popasach i no-

clegach miał pełno przyjaciół, którzy go serdecznie witali, a choć młody i żywy, pilnym był bardzo w pełnieniu swego obowiązku, a przytem statecznym i uczciwym. Rodzice z całem zaufaniem powierzali mu swe dzieci, tak miał dobrze ustalona opinię, i on je zawsze najszczęśliwiej odwoził i przywoził ze szkół.

I nasza też podróż najpomyślniej wypadła. Urozmaicały ją mnie marzenia o marynarce, admiralstwie lub co najmniej kapitaństwie okrętowem: Hreczynie, o świetnej karyerze na polu matematyki, do której miał zawsze szczególne upodobanie, o dojściu do powagi Newtona lub do stanowiska Śniadeckiego, a Michasiowi różne gatunki owoców i bakalij, które mama na wszelki wypadek, do budy włożyć kazała. Tak więc ubiegały nam godziny i dnie, uroczo i wesoło, a choć podczas szabasu w jednej z karczem traktowych jarmułka Josia znalazła zdecydowanego amatora, choć strata ta dotknęła boleśnie serce prawego jej właściciela, bo był to ślubny podarek najdroższej jego Ryfki, niemniej przeto rozprószyła się wkrótce i ta chmurka na horyzoncie Josiowym i pełni otuchy, ufni w przyszłość, szczęśliwi, jak tylko w tym wieku być można, ujrzeliśmy niebawem przed sobą stare mury Jagiellońskiego grodu.

I.

W Wilnie, jakem już o tem wspomniał, przebywał od roku brat mój starszy Adam, do niego więc wprost zajechaliśmy. Zamiast prawo, jak chciał Czacki, obrał on sobie medycynę, a chcąc ulżyć rodzicom, wpisał się na koszt skarbu.

Na wydziale lekarskim tak zwanych funduszowych uczniów było wówczas pięćdziesięciu. Profesor Frank, z tytułem prefekta, miał nad nimi opiekę i zarząd. Od niego zależało przyjąć lub odmówić wpisu; on też później przedstawiał ministrowi oświaty kończących kursa, dając swoją opinię o każdym, do czego może być przydatnym. — Funduszowy uczeń, przez cały czas pobytu swego na uniwersytecie, pobierał utrzymanie kosztem skarbu, za to obowiązany był zdawać corocznie egzamina, celować w naukach, a po skończeniu pięcioletniego lekarskiego kursu iść do służby rządowej na lat 8, tam gdzie go rząd przeznaczy. — Najczęściej wysyłano do wojska, marynarki, lub do gubernij zauralskich, gdzie służba zdrowia dopiero organizować się zaczynała. Pensyę przy odsługiwaniu się tem, pobierał on jak każdy inny; nie mógł tylko podawać się do dymisyi przed upływem zakreślonego czasu, jak również zmieniać raz wyznaczonego sobie miejsca.

Utrzymanie rządowe redukowało się za moich

czasów do zwykłych, niezbędnych prawie, codziennych potrzeb. Koszar ani też bursy nie było, zastąpiono je w inny sposób. Każdy z klasztorów męskich, istniejących w mieście, obowiązany był przyjąć do siebie kilku funduszowych uczniów, i dać im po jednej celi z łóżkiem, stolikiem, parą krzeseł, pościelą, światłem i opałem. Za to budynki klasztorne, domy, kamienice i wszelka własność w obrębie miasta zostająca, wolną była od wojskowego kwaterunku. Księża i zakonnicy woleli mieć do czynienia z kształcącą się młodzieżą, jak z brutalnem żołdactwem, a młodzież, w klasztornem zaciszu, przywykała do porządku, spokoju i pracy. Dogadzało więc to obudwóm stronom, a choć zdarzały się czasem małe nieporozumienia, załatwiano je zazwyczaj w domu, nie odnosząc się nawet, chyba w nadzwyczajnych razach, do władzy szkolnej. Na inne zaś potrzeby, stołu, odzienia itd. wypłacał prof. Frank każdemu po 15 rubli miesięcznie.

Brat mój, z czterema innymi kolegami, stał u Dominikanów. Rozlokowałem się więc w jego celi wraz z Michasiem, a Hreczyna udał się wprost do pedagogicznego instytutu, gdzie też i pozostał.

Na wiadomość o naszem przybyciu zebrali się poczciwi Krzemieńczanie, obecni podówczas w Wilnie, dwaj bracia Chodorowicze, Marceli i Leopold, Wojtkowski, Strzałkowski, Józef Padura, Hilary Łukaszewski i kilku innych, a chcąc uczcić dzień ten na moją intencyę, ruszyliśmy całem gronem do pani Zienkiewiczowej na smaczną kawę ze śmietanką.

Kilka dni wystarczyły mi na to, aby się roz-

patrzeć w Wilnie i uniwersyteckiej młodzieży. To nie Krzemieniec, powiedziałem sobie. Tam, choć szczuplej i zaciszniej, ale jakoś jędrniej i serdeczniej było. Szkoła i miasto stanowiły jedną wielką rodzinę. Tutaj każdy pozostawiony sam sobie, o własnych siłach wygrzebywać się musi. Solidarności też nie zastałem wielkiej. Każde prawie gimnazyum trzymało się z osobna; Krzemieńczanie żyli głównie ze sobą, Żmudzini również itd ; biedniejsza młodzież pracowała i uczyła się pilnie, ale za to bogatsi pozwalali sobie, nieznanych nam w Krzemieńcu, cukiernianych i bilardowych rozrywek. Większe miasto, więcej też przedstawiało zasobów do zabawy, a dojrzalszy wiek, przy właściwej uniwersytetowi swobodzie i przy środkach materyalnych, umiał z nich do syta korzystać. My, Krzemieńczanie, najuporniej może trzymaliśmy się naszych szkolnych nawyknień, choć powoli przyszło do stopniowych ustępstw, pokazała się także między nami fajka, a za nią, od wielkiej uroczystości, i butelka wina lub piwa na stole. Słowem w Wilnie atmosfera wówczas wiała inna. Wśród młodzieży nie wykłóła się jeszcze była myśl wznioślejsza, pociągająca za sobą ogół, wprzęgająca wszystkich do jednego jarzma obowiązku społecznego i narodowego. Zaledwo świtała ona w kilku dojrzalszych i wytrawniejszych umysłach. W gronie zaś profesorów, poświęcających się, z małymi wyjątkami, rozwojowi i podniesieniu nauki, nie było takiego coby chciał i mógł, po za obrębem urzędownego swego stanowiska, oddać się z całym zapałem moralnemu kierownictwu uczęszczającej na uniwersytet młodzieży. Frank jeden może, robił

w tym względzie szczere próby, ale sfera działania jego ograniczała się tylko do fakultetu lekarskiego; zresztą, zajęty wykładami i bardzo liczną praktyką w mieście, miał on chwile swe policzone. Inni, albo obojętnie się na to zapatrywali, albo dobre ich chęci sparaliżowane były wewnętrzną współprofesorów zazdrością i niezgodą.

Tymczasem trzeba było coś o sobie postanowić. Marynarka przedstawiała mi się coraz mgliściej, brat mój namawiał mnie do medycyny, do której czułem więcej naturalnego pociągu, bo jeszcze w Krzemieńcu z prawdziwem zamiłowaniem przezierałem księgi anatomiczne, uczyłem się fizyologii roślin i chemii. Gdy więc prof. Frank, któremu brat mój przedstawił mnie zaraz po przybyciu do Wilna, tego samego był zdania, aby iść za własnym popędem, i przyrzekł zapisać mnie na listę funduszowych, umożebniając w ten sposób wspólne z bratem mieszkanie u Dominikanów, nie wahałem się więcej i za jego poszedłem radą.

Aby wejść na wydział lekarski, trzeba było w Wilnie przez rok cały uczęszczać wprzód na kursa fizyczno-matematyczne, jako przygotowawcze. Dziekanem fakultetu tego był ks. kanonik Mickiewicz, stryj poety. Wykładał on niegdyś fizykę na uniwersytecie, a że mu się to sprzykrzyło, i że nauka ciągłe robiła postępy, z którymi ks. kanonikowi nie chciało się iść w parze, wolał więc zaniechać wykładów, zdać je na swego pomocnika, a samemu oddać się wyłącznie obowiązkom urzędu dziekańskiego.

Pierwszą czynnością każdego studenta, gdy już obrał sobie kurs nauk, na który postanowił

chodzić, było wpisanie się do tak zwanego album fakultetowego. Przedstawiano przytem dziekanowi odpowiedniego wydziału dyploma i świadectwa ze szkół wprzód ukończonych, on je rozpatrywał i decydował, czy posiadacz takowych może lub nie może być przyjętym do liczby studentów. Przyszła też i na mnie kolej odbycia tej ceremonii, a że musiałem zaczynać od nauk fizyczno-matematycznych, musiałem więc stawać przed ks. kanonikiem Mickiewiczem.

Ufny w mój sążnisty krzemieniecki patent, w którym wielkiemi literami wypisanem było: zaszczycony medalem, i w cały szereg nagród, jakie corocznie w tej szkole odbierałem, sądziłem, że mi to pójdzie jak z płatka, i że najmniejszych nie doznam przeszkód w przyjęciu. — Uprzedzali mnie wprawdzie koledzy, że ksiądz kanonik jest bardzo wymagający, że na patent i na świadectwa nie spojrzy nawet, a ten co go nie pocałuje w łapę, chociażby był Salomonem, musi pójść za drzwi. Brałem to tylko za mistyfikacyę, żeby potem wyśmiać się z frycówki nowicyusza. Stało się jednak inaczej.

W dzień naznaczony do wpisu zebrało się kilkunastu nowowstępujących w kancelaryi dziekana. Ustawiono nas tam rzędem. Wkrótce wszedł poważny siwy starzec, ksiądz Mickiewicz, rozsiadł się wygodnie w poręczowem krześle, położył na stole ręce swe, pulchne jak zapustne pączki, i kazał sekretarzowi przywoływać po porządku. Zwykle układano spisy podług szkół, z jakich uczniowie przychodzą. Tym razem na początku była krzemieniecka, i ja tylko jeden tego dnia z niej sta-

nąłem. Na wezwanie więc: „Z gimnazyum wołyńskiego“, wysuwam się śmiało, niosąc przed sobą rozwinięty patent, składam go na stoliku przed ks. dziekanem, oddaję mu pełen uszanowania ukłon, a wymieniwszy wyraźnie i dobitnie imię moje i nazwisko, cofam się o parę kroków oczekując decyzyi.

Nastąpiła chwila milczenia, po której ksiądz dziekan, nie spojrzawszy nawet na mój patent, odtrącił go ze wstrętem, i gniewnym, szepleniącym zawołał głosem:

— Idź precz Waspan. Jeszczem takiego gbura, prostaka i dzieciucha nie przyjmował nigdy do Album. Ani się Waspan pokazuj, póki rozumu nie nabędziesz.

Łatwo sobie wyobrazić co się zemną działo. Ogłuchłem, oślepłem i oniemiałem odrazu. Nie wiem jak długo byłoby to trwało, gdyby ksiądz Dziekan zniecierpliwiony nie powtórzył był warażniej jeszcze:

— No, czegóż Waspan czekasz, mówię przecie abyś precz wyszedł.

Sekretarz oddał mi napowrót mój patent, i ja, jak niepyszny, musiałem się wynieść z kancelaryi, z rozpaczą w sercu, z przekleństwem dla Wilna — a nawet z myślą nie wpisywania się więcej na uniwersytet i udania się gdzie indziej.

Na szczęście wszystko to krótko trwało. Koledzy uśmieli się serdecznie z mojej przygody, uspokoili, że ona żadnych złych za sobą niepociągnie następstw i doradzili, abym nie zwlekając, zaraz nazajutrz z tymże patentem do księdza Dziekana powrócił, ale tym razem złożył mu go

z głośnym na całą salę całusem i z głośnem, a dobitnem przemówieniem:

— Mam honor złożyć J. W. Dziekanowi mój patent i prosić go, aby raczył łaskawie kazać wpisać mnie do Album.

Nie było innej rady, musiałem się do tego zastosować. Poszedłem więc, złożyłem mój dyplom, pocałowałem w rękę i wydeklamowałem tak jak mnie nauczono.

Ksiądz Dziekan przyjął mnie jakby nigdy nie widział, a co większa, rzuciwszy okiem na patent, łagodnie i z dobrocią powiedział:

— Dobrze kochanku! Jeszczem tak pięknego patentu nie widział; grzeczny jesteś kawaler, uczże się dobrze i spowiadaj się co miesiąc.

To ostatnie miało u księdza Dziekana szczególną wagę. Temu ze studentów, który każdego miesiąca kartki z odbytej spowiedzi mu nie przedstawił, nie podpisywał akademickiego świadectwa. — Żadne prośby i wstawiania się nic nie pomagały, niewzruszonym był ksiądz Dziekan jak skała — a bez świadectwa tego nie można było przystępować do egzaminów. Za to w innych rzeczach mniej był wymagającym. — Na egzaminach naprzykład, na których z urzędu prezesował, dość było płynnie i głośno mówić, aby uzyskać jego pochwałę. Ja sam tego, razu jednego doświadczyłem. Z mineralogii wypadło mi o klasyfikacyi kwarców. Nie mogłem jakoś porządnie i ściśle jej wyłożyć, a widząc, że tracę grunt pod nogami, przerzucam się śmiało ku granitom, od nich ku teoryi Buffona o tworzeniu się kuli ziemskiej, a w końcu do wulkanów. Wszystko to opo-

wiadam z całą pewnością siebie, wyraźnie i potoczyście. Profesor Drzewiński, który mnie lubił, zdziwiony z początku tak niestosowną odpowiedzią, oczy spuściwszy czekał z uśmiechem końca rozprawy. Koledzy także mnie nie zdradzili, a ksiądz Dziekan, po półgodzinnem wysłuchaniu z zajęciem, rzekł:

— Dobrze, dobrze, taka odpowiedź warta druku, bo jasna, czysta i uczona, jakby z najlepszego dzieła była wyjętą. Wszak prawda, panie profesorze? Napiszmy więc mu eminencyę.

Oprócz pewnych śmieszności, które studenci zwłaszcza lubili brać na fundusz ksiądz Kanonik był bardzo zacnym i uczciwym człowiekiem, powszechnie szanowanym dla swej prawości i nieskazitelnego charakteru. Dla tych zalet przebaczano mu chętnie zastój w naukach i godność dziekana fakultetu wciąż powierzano.

Kiedy mowa o stryju, wspomnieć też tu wypada i o synowcu. Z Adamem Mickiewiczem spotkałem się po raz pierwszy na ławkach wydziału fizyczno-matematycznego. Był on i dla niego przechodnim do innych studyów. Cały rok i prawie codziennie widywaliśmy się ze sobą, a gruntowniejsze i obszerniejsze wiadomości w matematyce, jakie ze szkoły krzemienieckiej wyniosłem, ułatwiając mi stosunek z wielą młodzieży potrzebującej objaśnień, zwłaszcza w rachunkach dotyczących nauki o własnościach ciał, o sile, o świetle i t. d. zbliżyły mnie też i z Adamem. Jednego prawie wieku, podobnego temperamentu, sympatyzowaliśmy ze sobą i lubiliśmy się nawzajem. Nikt z kolegów nie przepuszczał w nim jeszcze

tego wieszczego geniuszu, który miał wkrótce zajaśnieć cudnem swem światłem na naszym horyzoncie i nowe ciepło wlać w dusze swych rodaków. Był on podówczas dość przystojny, z czarnem okiem, z długiemi lekko zwijającemi się ciemnemi włosy, z rumieńcem na twarzy i łagodnym uśmiechem na ustach. Łatwy w koleżeńskich stosunkach, skromny w obejściu się, częściej zamyślony i rozmarzony niż wesoły, przyciągał do siebie wszystkich i wzbudzał ogólną sympatyę.

Po skończonym roku nauk fizyczno-matematycznych, rozeszliśmy się. Mickiewicz obrał sobie fakultet literacki i wstąpił do pedagogicznego Instytutu kształcić się na publicznego profesora, ja zaś ruszyłem dalej mą drogą medyczną. Spotkaliśmy się znowu dopiero w lat kilka później— ale o tem potem.

II.

Świat studencki zamyka się w szkole, co się poza nią dzieje, interesuje młodzież mało; wytwarza ona sobie odrębne życie w koleżeńskiem kółku, którego główne cechy pozostają na długo wyróżniając jedno pokolenie od drugiego. Wszystko się na nie składa; zasady zaszczepione w domu, tendencye i wyobrażenia wieku, sytuacya polityczna, opinie głoszone z katedry i przykład profesorów, a najbardziej może ta żywotność młodzieńcza nie znosząca zastoju i naśladowania, a rwąca się namiętnie do samodzielnego rozkwitu. — Ztąd też i warunki studenckiego życia inne, i krytyka tego

z czem się młodzież styka, jędrniejsza i dosadniejsza. Tej ostatniej najbardziej ulegają profesorowie; o nich najmilsza studencka gawęda, o nich też teraz mówić będę, jak się nam z ławki uniwersyteckiej wydawali.

Na wydziale lekarskim, za moich czasów, pierwsze bez zaprzeczenia miejsce zajmował Józef Frank, profesor terapii specyalnej i kliniki. Głośny z głębokiej nauki i doświadczenia, które pod kierownictwem również słynnego w sztuce lekarskiej ojca swego, Jana Piotra Franka, nabrał; przewyższał on wszystkich w fakultecie tak swą wyniosłą i objętą postawą, jako też niezmordowaną gorliwością w wykładach, w pracy i w ogóle w służbie publicznej. Ścisłość jego w pełnieniu swego obowiązku była prawdziwie wzorowa. Nie przypominam sobie, aby kiedy opuścił jaką wizytę kliniczną lub prelekcyę, a w nich starczył za wielu i wypełniał wszystkie próżnie z jakiemi z innych wykładów na czwarty kurs wchodziliśmy. — Stąd przy prędkim i dumnym charakterze wyrywały mu, się nieraz cierpkie słowa nie szczędzące profesorów wykładających niedbale swe przedmioty na niższych kursach, a ci znów obrażeni za to, odwetowywali mu nienawiścią i potwarzą, które w końcu zmusiły go podać się do dymisyi po 20-letniej świetnej, pracowitej i prawdziwie dla kraju pożytecznej służbie, i zamieszkać nad jeziorem Como, w cichem i spokojnem ustroniu.

Ten ciągły stan wojny wewnętrznej na wydziale lekarskim wyrodził we Franku przeświadczenie o jego wyższości moralnej i naukowej nad innymi współprofesorami i był powodem naprzód

wielu niemiłych przejść, a następnie zupełnego usunięcia się jego od towarzyskich z kolegami stosunków. Pomimo tego, przy ówczesnym składzie fakultetu, koniecznym on był i nieodzownie potrzebnym dla uczniów, bo gdy inni profesorowie zwalniając swym zatrudnieniom zwalniali też i studentom, a nauce nie dawali należytego rozwoju, Frank trzymał wszystkich w karbach i najmniejszego opuszczenia się nie przebaczał. Trzeba było chodzić regularnie na jego wykłady, dziennik chorego w klinice prowadzić z całą akuratnością i mieć zawsze przytomnem w umyśle to, co z katedry lub przy łóżku chorego powiedział; w przeciwnym razie nie szczędził nawet ostrych wymówek dla ucznia. Nie zmniejszyło to w nas jednak ani szacunku, ani sympatyi dla niego, bośmy wiedzieli, że jeśli wyniesiemy z Uniwersytetu gruntowne wiadomości medyczne, w znacznej części jemu to zawdzięczać powinniśmy.

Jako prefekt „funduszowych“ był Frank bardzo dbały o dobro powierzonych sobie przez rząd uczniów, opiekował się nimi prawdziwie po ojcowsku, wglądał w szczegóły nie ścieśniając nigdy swobody osobistej studenta, jeśli ta granic przyzwoitości nie przekraczała, a bezstronność była główną cechą jego postępowania. Większe zdolności i sumienniejsza praca zwracały zawsze na siebie uwagę jego, a nawet po za murami Uniwersytetu nie przestawał wspierać radą i protekcyą tych, co dobrze swe kursa ukończyli.

Po za obrębem urzędowych obowiązków był on towarzyski, przyjemny i łatwy w codziennych stosunkach. Znajomości miał pełno. Żona jego, najlepsza w świecie kobieta, oddana była cała nie-

sieniu pomocy ubogim, wspieraniu i protegowaniu takich, którym brak środków materyalnych tamował drogę do lepszego wykształcenia się. Jej to staraniem zawiązanem zostało w Wilnie Towarzystwo Dobroczynności i wzniósł się zakład na ten cel przeznaczony. Frank sam nie szczędził pieniędzy swej żonie na takie wydatki, przeciwnie, dopomagał jej we wszystkiem i nie jedna rodzina na Litwie zawdzięczała im wychowanie swych dzieci lub polepszenie swego bytu.

Dom prowadzili Frankowstwo otwarty. On i ona zamiłowani byli w sztukach pięknych, śpiewie i muzyce, które stanowiły najmilszą dla nich rozrywkę. Wiele znakomitych osób czy to pozycyą socyalną, czy fortuną, czy głośnem imieniem w świecie naukowym, czy też talentem, zapełniało ich salony, a niebyło cudzoziemca przejeżdżającego przez Wilno, coby ominął te gościnne progi. Zapraszał też do siebie Frank i młodzież uniwersytecką, która miała w ten sposób zręczność przypatrzeć się laurom na rozmaitych polach zdobytym i przekonać się: jakich to trzeba moralnych zasobów, jakiej pracy i poświęcenia się aby na ogólny szacunek i wdzięczność publiczną zasłużyć.

Na takich wieczorach, nieraz z bratem moim Adamem bywałem. Pamiętam, jak na jednym z nich w r. 1819, kiedy wybrany zostałem przez fakultet lekarski do premium, przedstawiając mnie Frank swoim gościom jako celującego ucznia, Z kolei zapoznał i z dwoma misyonarzami Francuzami, którzy do środkowej Azyi w religijnej misyi jechali. Wkrótce tak się jakoś złożyło, że oni dwaj, Frank i nas dwóch braci, znaleźliśmy się

razem w gabinecie Franka. Jeden z księży, średniego wieku, szczupłej ale kształtnej budowy ciała, oczu bystrych i czoła wyniosłego, mówił wiele o stanie nauk we Francyi, o olbrzymich postępach przemysłu w Anglii, o bogatej flocie w Brazylii, o pracach Humboldta, którego geniusz stawiał nad wszystkich, słowem, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, i wyczerpując każdy gruntownie, dawał dowody, że obok teologii głębokie posiadał jeszcze wiadomości w dziedzinie nauk przyrodniczych, matematycznych i lekarskich. Gdyśmy go z całem zajęciem słuchali, kolega jego, też średniego wzrostu, twarzy pociągłej i bladej, czoła wypukłego, okrytego gęstym włosem blond i oczu zawsze prawie spuszczonych, przechadzał się wzdłuż i wszerz po gabinecie, przypatrując się bibliotece lub rozwieszonym po ścianach obrazom, nie wdając się wcale w rozmowę. Frank kilka razy zwracał ją do niego, ale oprócz *oui* lub *non*, żadnej innej nie mógł otrzymać odpowiedzi. Zdziwiony tem mocniej, skorzystał z chwili, gdy małomowny misyonarz wyszedł do innego pokoju i zapytał uczonego księdza, czemu nie wybrał sobie mowniejszego towarzysza w tak dalekie kraje, wszak wymiana wspomnień ojczystych, myśli i wrażeń konieczną jest dla odświeżenia i pokrzepienia ducha, zwłaszcza w warunkach, w jakich się oni znajdą.

— Zapewne, odpowiedział misyonarz, wielce przyjemnem i pożądanem byłoby takie towarzystwo, ale to celowi naszemu nie potrafiłoby odpowiedzieć. — Tymczasem, tak jak pan nas widzisz, my się dopełniamy zupełnie. Pan Bóg mnie obda-

rzył darem słowa, abym z zapałem świętą Jego głosił naukę — ale przyjść może chwila, kiedy niedołęstwo ciała położy kres memu poświęceniu się, wtedy kolega mój mnie podtrzyma i prześcignie, o! bo on zawsze da się za prawdę bożą ukrzyżować. Bez niego możebym się był nie puścił w tę drogę, a co więcej, nie byłbym pewny pomyślnego rezultatu.

Na tem urwała się rozmowa. Koniec jej pogrążył nas wszystkich w zamyśleniu. Poznanie siebie samego i ocenienie sił swoich, to pierwszy krok w praktycznem wzięciu się do każdej pracy. Ciało nie zawsze bywa w równowadze z duszą, a cierpienie złamie nieraz najtęższy moralny organizm. Przewidzieć to i zapobiedz temu głęboka tylko mądrość potrafi.

Frankowstwo dzieci nie mieli. Wzięli oni byli na wychowanie małego Wiktorka, podrzuconego im wkrótce po ich pobraniu się, i wychowywali go bardzo starannie, naprzód u siebie, a później w Połocku w kolegium Jezuitów, których Frank wysoko cenił i poważał. Wiktorek umarł tam, po rocznym pobycie na skarlatynę, Śmierć ta tyle sprawiła smutku przybranym rodzicom, że więcej nikogo sobie przybrać nie chcieli. Sama Frankowa rzewnemi zalewała się łzami. Złe języki twierdziły, jakoby Wiktorek ów był przybocznym synem jej męża, mnie się jednak widzi, o ile młodem okiem patrzałem na ich stosunek, że w tem zgoła prawdy nie było, a dobroć serca i łatwość szczerego do sieroty przywiązania się u Frankowstwa, nasuwała tylko pozory, w gruncie niczem nieusprawiedliwione.

Na polu piśmiennictwa naukowego wydawał Frank wiele broszur i monografij o chorobach, które później zebrał w jedno spore dzieło i dopełnił pod tytułem: *Praxeos medicae universa praecepta.* Mnie i bratu memu Adamowi powierzał notaty swoje do porządnego układania ich w rozdziały, mające już iść do druku. W zbiorze tym praktykujący lekarz mógł zawsze znaleść skazówkę i doświadczoną radę, z tego też względu był on w swoim czasie nadzwyczaj ceniony. Zapewne, przy rozwoju fizyologii, anatomii patologicznej, mikrografii, przy auskultacyi, niezbędnej dziś do rozpoznawania niektórych chorób, i w ogóle przy olbrzymim postępie, jaki nauka lekarska w ostatnich czasach zrobiła, dzieło Franka nie da się porównać do nowszych prac obecnych patologów i terapeutów, zwłaszcza pod względem teoretycznego wyjaśnienia tworzenia się i przebiegu różnych chorobliwych zjawisk, zato co do praktycznej sztuki leczenia ich i niesienia choremu pomocy, zawiera plon długoletniego doświadczenia, który może jeszcze nie jednemu lekarzowi się przydać.

Nosił się Frank zawsze prawie jednakowo, wedle ówczesnej mody. Frak ciemnozielony ze złotemi guzikami, spodnie czarne w buty, kamizelka i chustka na szyi białe. Twarz miał poważną, wesołą, czerstwą i pełną, głowę wielką, prawie zupełnie łysą, czoło szerokie i bystry a surowy wyraz oka. Przy wyniosłej, wspaniałej i barczystej budowie ciała robił silne wrażenie na młodym umyśle i wzbudzał poszanowanie dla siebie, połączone z prawdziwą sympatyą. — Bliższe ze-

tknięcie się wzmagało ją bardziej jeszcze. — Wykłady miewał po łacinie, wedle ówczesnego zwyczaju, w domu mówił zwykle po francusku, i najbardziej język ten lubił; znał też dobrze i polską mowę, choć cudzoziemski akcent zawsze przebijał w niej.

Przy Franku najbliżej, pod względem nauki i sumiennego wykładu, stał Bojanus, profesor anatomii porównawczej i weterynaryi. Praktyką lekarską nie zajmował się wcale, towarzystwa licznego nie lubił, rozrywek unikał, ze studentami w bliższe stosunki nie wchodził. Za to cały czas swój poświęcał pracy, w gabinecie anatomii porównawczej, który sam stworzył i na wielka skalę rozwinął, Z dzieł jego, traktat o żółwiu *(de Testudine)*, kosztownie wydany z najdokładniejszemi rysunkami, pozyskał mu europejską sławę między naturalistami. Wykłady jego było bardzo systematyczne, wyczerpujące, a wysłowienie się płynne i gładkie. Dbał o to, aby słuchacze rozumieli co mówi i chętnie dawał objaśnienia na zapytania studentów.

Z tego powodu zdarzały się nawet nadużycia wesołej młodzieży, które go jednak nie zrażały. Pamiętam, jak razu jednego niejaki Sobolewski — słuchacz bardziej z amatorstwa jak z obowiązku, bo na wszystkie prawie uczęszczał kursa, a na żadnym wydziale, od lat wielu do egzaminu nie przystępował — na jednej z prelekcyj Bojanusa, gdy ten wykładał ze zwykłą sobie dokładnością o rogach zwierzęcych, podniósł się przy końcu i prosił o wyjaśnienie mu pewnej wątpliwości.

— Bardzo chętnie, odpowiedział profesor i pozostał w audytoryum.

— Oto, rzecze Sobolewski, nauczyłeś nas Pan o różnych gatunkach rogów u zwierząt, o żukach nawet niezapomniałeś, mówiłeś o rozmaitej ich budowie, wielkości i przeznaczeniu, raczże rozstrzygnąć teraz do jakiej kategoryi w powyższej klasyfikacyi zaliczyć, 1mo rogi Mojżesza, o których głosi podanie, a sztuka je przedstawia, i 2do rogi, w które nie jeden z mężów jest ustrojony, o czem codzienne naucza doświadczenie.

Zarumienił się nieco Bojanus, ale wysłuchawszy cierpliwie do końca, po krótkiej chwili namysłu, tak odpowiedział:

— Pytanie pańskie przekracza zakres naszej nauki, a wchodzi na pola zupełnie inne. Poprzestanę więc tylko na wskazaniu panu źródeł, gdzie znajdziesz najstosowniejszą odpowiedź. O rogach Mojżesza objaśni cię teologia, co się zaś tyczy mężowskich, to o tych najlepiej od żon dowiedzieć się można, choć ciekawość ta często połączoną bywa z niebezpieczeństwem osobistem, a w żadnym razie badaczowi chluby nie przynosi.

Skłonił się i wyszedł.

Bojanus miał postać ujmującą. Wzrostu był miernego, oczu czarnych z łagodnym wyrazem, a siwiejący włos, pudrem starannie obsypany, nadawał twarzy pewną świeżość. Usta jego układały się zawsze do uśmiechu. Czysto ubrany, dbający zawsze o swą powierzchowność, lubił ażeby na białej chustce odbijał order św. Anny, a u boku krzyż św. Włodzimierza, i często ozdoby te nosił.

Wplątany pomimo woli w zajścia polityczne,

które miały niebawem spokój Wilna zakłócić, zszedł z pola przed czasem, bo dotknięty ciężką w kolumnie pacierzowej chorobą, wyjechał za granicę, gdzie wkrótce życie zakończył.

O ile anatomia porównawcza ściśle i dobrze była wykładaną, o tyle anatomia człowieka wiele pozostawiała do życzenia. Profesorem jej, za moich czasów, był Lobenwein, krzepki i poważny staruszek, drobnej budowy ciała, za to nadrabiający wielką sztywnością i starannością w ubraniu. Prelekcye jego były pracowite i szczegółowe, ale się ograniczały do samej tylko teoryi. Miał on wstręt do dysekcyj, a wszystkie preparata do gabinetu, jako też w razach koniecznych, na lekcye, wypracowywał prosektor Kiersnowski. Temu ostatniemu bardziej zawdzięczaliśmy wiadomości nasze anatomiczne, niż samemu profesorowi. Pomimo tego, dzięki prawemu charakterowi i wypróbowanej uczciwości, Lobenwein posiadał ogólny szacunek, zarówno u profesorów jak i uczniów. Przez jedno triennium był rektorem, a przez cały czas mego pobytu w uniwersytecie pełnił obowiązki dziekana fakultetu lekarskiego. Dla młodzieży przychylny, zawsze jej chętnie poradził i dopomógł; doznał też od niej dowodów prawdziwego współczucia, podczas ciężkiej choroby żołądkowej, która go, na kilka miesięcy przed ukończeniem moich kursów, z tego świata zabrała. Pilnowaliśmy i doglądaliśmy go po kolei, otaczając najtroskliwszą pieczołowitością.

Słynął jeszcze Lobenwein w uniwersytecie ze swej wytrwałej a długoletniej przyjaźni ze Szpicnaglem, profesorem materyi medycznej; przy-

jaźni tej nic ani zachwiać, ani wzruszyć nie mogło. Szpicnagel był najstarszy wiekiem na wydziale lekarskim. Rumiany, uśmiechnięty, wzbudzał sympatyę przez swą prostotę i naturalność w obejściu się. Lubiliśmy go, aleśmy nie wielkie mieli wyobrażenie o jego naukowej powadze. Botanikę tylko znał rzeczywiście dobrze i w tej gałęzi miał wyborną pamięć; wszystko też ku niej skierowywał zaniedbując właściwej medycyny, bo od lat wielu nie szedł za postępem sztuki lekarskiej i obcemi mu były nowe pomocnicze środki, które poza obrębem botaniki, zoologii, mineralogii chemii medycyna wciąż sobie wyrabiała. Natomiast bawił nas p. profesor facecyjkami rubasznie z niemiecka po polsku opowiadanemi i śmieszył nadzwyczajnem zaniedbaniem się w ubiorze. Mówiąc naprzykład o jałowcu, który na Litwie obficie w wielu miejscach rośnie, a na Ukrainie wcale go niema, takie zrobił porównanie obu tych prowincyj: „że na Litwie jest czem kadzić, ale niema czem sm..., a na Ukrainie jest czem sm..., a niema czem kadzić“. W tym też rodzaju były wszystkie jego dowcipy.

Naturalnie, wykład podobny nie mógł nas zadowolić, a wiedząc, jak Frank jest wymagającym na klinice, i że z nim nie przelewki, postanowiliśmy w kilku sami dopełnić sobie ten niedostatek, robiąc wyciągi z dzieł nowszych, a szczególniej ze słynnego wówczas Aliberta. Notaty te poczęły wkrótce między kolegami kursować, i stały się powodem, że wielu z nich przestało uczęszczać na prelekcye Szpicnagla. Przerzedzone ławki zwróciły uwagę profesora; dowiedział się też o tem i

przyjaciel jego Lobenwein, dziekan wydziału, a nawet, niewiem jakim wypadkiem, parę seksterników przezemnie układanych, wpadło mu w rękę. Uważał więc za stosowne przywołać mnie do siebie.

— Powiedz mi pan, rzecze, czy układając te notaty, i puszczając je w obieg, miałeś na celu wykazać, że p. profesor o nowszych rzeczach nic wam nie mówi, a nim samem przekonać kolegów, że nie wiele stracą, gdy przestaną bywać na jego prelekcyach?

— Nie, panie dziekanie, odrzekłem, wcale nie o to mi chodziło. — Pan dziekan wie bardzo dobrze, że prelekcye p. profesora materyi medycznej nie są dziś dostateczne, że w klinikach żądać będą od nas czegoś więcej; woleliśmy więc ja i kilku moich kolegów, własną pracą ten niedostatek pokryć, i w tym wyłącznie celu zaczęliśmy układać powyższe notaty, nie przypuszczając nawet, aby się to dziać miało z obrazą p. profesora. Co zaś do uczęszczania na prelekcye, najregularniej na nich bywam, bo jestem tego zdania, że pomimo wiadomych usterków, zawsze z nich wielką korzyść odnieść można.

Odpowiedź ta trafiła widocznie do przekonania zacnego Lobenweina, bo tak się odezwał:

— Dziękuję panu za szczerość, jak również za to, że z mego starego a poczciwego przyjaciela sobie nie żartujesz, obawiałem się tego z powodu jego zaniedbania we wszystkiem. — Wierz mi jednak, że on ma naukę i rozum, a że przytem z gruntu jest uczciwym, chciałbym, żeby go młodzież kochała. Bądź pan zdrów, pracuj dalej, a twoi koledzy niech bywają na prelekcyach.

Napełniły się więc znowu ławki, i odtąd nie były próżne, a notaty szły swoją drogą.

Po śmierci Lobenweina dziekanem obrany został Mianowski, profesor położnictwa. Wykładał on poprzednio fizyologię, gdy jednak nieustanne doświadczenia uczonych francuskich i angielskich, na zwierzętach i ludziach robione, dawały powód do tworzenia się coraz nowych teoryj i do nieprzerwanego postępu tej nauki, — co znowu wymagało ciągłej i mozolnej pracy, do której najmniej miał usposobienia — wolał przejść na katedrę powolniejszej w rozwoju swoim akuszeryi.

Mianowski był to bez zaprzeczenia bardzo zdolny, rozumny i dowcipny człowiek, ale leniwy i ociężały jak mało. Teoretyczne jego wykłady przyciągały słuchaczów zwięzłością swoją, gruntownością i wymową, cóż kiedy profesor najczęściej je opuszczał, a w klinice nigdy prawie nie bywał; zastępowała go tam akuszerka z niewielkim dla uczniów pożytkiem. Ani ćwiczeń na fantomach ani operacyj nie bywało u nas zgoła. Co do mnie, w kilka lat dopiero później, gdym był w Berlinie, musiałem zapełnić ten brak, biorąc, — razem z dr. Gałęzowskim, który podróżował kosztem wileńskiego uniwersytetu, — prywatne lekcye u sławnego Siebolda.

Profesor dbający o dobro publiczne, często z miernemi nawet zdolnościami, przy sumiennem pełnieniu swego obowiązku, staje się nader pożytecznym dla uczniów. Otóż, i jednego i drugiego Mianowskiemu nie dostawało. Oddany zabawom, proszonym obiadom i wieczorom, słowem towarzyskim rozrywkom, gdzie był poszukiwany dla

swego wesołego i przycinkowego dowcipu i rozumu, przylgnął tam bardziej jak do katedry i tę ostatnią zupełnie zaniedbywał. — Uczniów nie lubił, nierad był do nich się zbliżać, a jeśli wypadła tego potrzeba, bez drwin i uszczypliwych żartów nieobeszło się nigdy. Unikaliśmy też wszelkich z nim stosunków, choć oddawaliśmy zawsze należny hołd jego nauce i zdolnościom. Na polu piśmiennictwa naukowego zdobył się na podręcznik dla nauki akuszerek. Dziełko niewielkie i dość pobieżne.

W parze z Mianowskim, jako przekładający zabawę nad pracę, choć pod każdym względem o wiele niżej od niego, stał Bekiu, jeden z najdawniejszych profesorów Wszechnicy wileńskiej. Widnej postawy, z twarzą rumianą, trędowatą nie co, zdradzającą pewne nawyknienia, tłómaczył się łatwo i gładko, ale gruntownych wiadomości mało posiadał. Prelekcye nie raz opuszczał, a wykładał ściśle wedle dzieła Hufelanda. Ze studentami starał się być na przyjacielskiej stopie, stąd znosiliśmy bez szemrania jego lenistwo i wynagradzaliśmy sobie własną pracą jego zastój w nauce. Przywykły do roskoszniejszego życia, Bekiu rad odwiedzał możniejsze domy, gdzie było wszystkiego podostatkiem. Mając do wyboru proszone śniadanie lub lekcyę, nigdy pierwszego nie odrzucił. Sybarytyzm cechował go we wszystkiem, a po tej drodze zaszedł za daleko, zwłaszcza w najsmutniejszych dla Wilna chwilach, które wykazały cały jego upadek moralny. W młodości nie był jednak bez zasług. Jemu głównie zawdzięcza Litwa wprowa-

dzenie i upowszechnienie szczepienia ospy, o czem też, w swoim czasie, wydał był broszurę.

Gdyśmy już o te przykre potrącili wspomnienia, pomimo woli staje nam przed oczami postać Pelikana, profesora chirurgii teoretycznej i praktycznej. Zwinny, elegancki i przystojny brunet, uczeń petersburskiej akademii medycznej, otrzymał świeżo powyższą katedrę, na konkursie, bardzo młodo, bo nie mając spełna lat 30. Wśród kolegów podeszłego wieku, a w zachowaniu się poważnych i pedanckich, wyróżnił się natychmiast. Począwszy od najmodniejszego kawalerskiego ekwipażu i od najwykwintniejszej toalety, aż do obejścia się pełnego światowości i ugrzecznienia, wszystko zwróciło na niego uwagę publiczną, a wielka zręczność w robieniu operacyj otworzyła mu drogę do obszernej i najzyskowniejszej praktyki, i utrwaliła jego reputacyę lekarską. Mało kto pod tak szczęśliwą gwiazdą rozpoczynał swą karyerę naukową.

Zdolności miał niezaprzeczone, wiadomości wiele, łatwość i zwięzłość wykładu zadziwiające. Zachwycaliśmy się na jego prelekcyach zawsze z pamięci mianych; do tego był bardzo akuratny w pełnieniu swoich obowiązków, pracowity i dokładny, zarówno na katedrze jak i w klinice. Przekonawszy się niebawem o wyższości systematu Franka, zaniechał metody przyjętej w akademii petersburskiej, a poszedł za szkołą wileńską, co też sprawiło zaraz mniejszą śmiertelność w klinice chirurgicznej, a uczniom ułatwiło wdrożenie się w naukę. Nadto, w zastępstwie za Lobenweina, przyjął na siebie wykład anato-

mii, i wypracował nawet bardzo dobre dzieło w tej gałęzi, traktujące o mięsniach — myologię.

Z Frankiem był Pelikan pierwszego roku w bardzo bliskich stosunkach. Później dopiero, gdy Mianowski, chcąc się pozbyć dokuczliwej dla siebie przewagi Franka, poróżnił ich, a w końcu postawił Pelikana na czele koalicyi przeciw niemu zawiązanej, wszczęły się sprzeczki, przycinki, kłótnie i otwarta nienawiść. Doszło do tego, że dla miłego spokoju uczniowie musieli zarówno obu tych profesorów unikać, gdyż bliższe stosunki z jednym, szkodziły u drugiego i nawzajem. Pod względem nauki, wypływały stąd straty niepowetowane.

W kilka lat, kosztem sumienia i dobrej sławy zdołał sobie Pelikan zdobyć nominacyę na dożywotniego rektora uniwersytetu z ramienia rządu. Widziałem go pełniącego już ten urząd, gdy zjeżdżał dwukrotnie do Krzemieńca, wizytować tamtejsze liceum. Następnie, pisał do mnie, proponując i nalegając, abym przyjął katedrę kliniki w Wilnie, po Śniadeckim, który dla wieku uwalniał się od usług publicznych, alem odmówił; wreszcie, i po raz ostatni, spotkałem się z nim w Warszawie, w roku 1830. Wówczas przejęty był na wskróś duchem Nowosilcowa, poprzestałem więc tylko na wymianie wzajemnych grzeczności.

Z kolei muszę tu wspomnieć i o zacnym Wolfgangu, profesorze farmacyi, i o poczciwym Homolickim, adjunkcie, wykładającym za moich czasów, prowizorycznie fizyologię.

Pierwszy z nich, niepokaźny, chorowity i wiecznie skrzywiony, gruntownie posiadał swą naukę

i nieszczędził pracy. Prelekcye jego były dość korzystne, ale że wykładał je nudnie i nadzwyczaj drobiazgowo. mało chętnych miał słuchaczy. Nadto, hypokondryk z natury, wciąż był Wolfgang nachmurzony i zrzędził byle o co, na przekor lubiliśmy mu płatać figle i psoty. Zdarzało się to najczęściej, gdy rozdawał do obejrzenia materyał apteczny, który rzadko kiedy wracał do niego w całości, a jeśli się nam udało wywołać w ten sposób gderanie nieposiadaliśmy się z uciechy.

Homolicki był najpilniejszym i najpierwszym uczniem na wszystkich kursach. Oceniając pracę i zdolności jego, chciał go Frank mieć przy sobie za adjunkta i przygotować go nadal na profesora terapii szczegółowej, tem bardziej że miał dobrą pamięć i pięknie się po łacinie tłómaczył. Brakowało mu tylko praktyki lekarskiej; do tej miał się naprzód przy Franku usposobić, a następnie wyjechać do zagranicznych szpitali. Tymczasem ciężko szła jakoś ta praktyka. Homolicki nie miał do niej najmniejszego usposobienia, choć sądził, że się w końcu przemoże. — Nareszcie pewnego razu zawezwano Franka o kilka mil na wieś, do pewnej damy cierpiącej na gwałtowne ataki nerwowe. Niemogąc sam pojechać, postanowił wyręczyć się swym przyszłym adjunktem. Opowiedział mu więc z jaką osobą będzie miał do czynienia, że tam gra nerwów przeważa nad innemi cierpieniami i że wreszcie choroba nie może być wielką, a tem mniej śmiertelną. Opatrzony w takie uwagi i instrukcye, wyruszył Homolicki na wieś.

Jakież było zdziwienie Franka, gdy naza-

jutrz rano widzi go z powrotem w swym gabinecie bladego i wylękłego.

— Co Waspanu jest? zawołał przestraszony.

— Ach, panie profesorze, odpowiada zmięszany Homolicki, uciekłem ztamtąd w nocy, bo chora w największych cierpieniach na mem ręku skonała.

— To być nie może, mówi Frank coraz bardziej zdziwiony. A wreszcie, dodaje po chwili, jeśli takie zaszło nieszczęście, to dlaczegoż pan dom porzuciłeś? Czyż lekarz jest zbójcą, aby uciekał, gdy śmierć chorego zabierze. Wszak obowiązek nasz, gdy się kończy z ostatnią chwilą umierającego, zaczyna się wnet przy żyjących pozostałych. Przykro mi bardzo, żeś pan sobie tak postąpił. Ale to być nie może żeby ona umarła. Rozpowiedzże mi pan, co cierpiała i jak się to stało?

— Oto, zaledwie począłem egzaminować chorą, i zaledwie mi opowiedziała co ucierpiała po ostatnim połogu przed dwoma laty, gdy nagle porwały ją konwulsye i nastąpiło skręcenie całego ciała. Nic nie pomogły nacierania i wąchania najmocniejszych trzeźwiących środków; oczy stanęły słupem, ślina się potoczyła, chrapliwy i przerywany oddech dał się słyszeć, słowem przyszło konanie. Ja uciekłem z pokoju, bo nie mogłem patrzeć na to, a w parę chwil usłyszałem za sobą łkania familii i służby, musiała więc wkrótce ducha wyzionąć. Szczęściem, znalazłem w stajni zaprzężone konie, wskoczyłem do powozu i kazałem pędzić co tchu do Wilna, nie oglądając się nawet po za siebie, taki mnie żal i przestrach ogarnęły;

tu zaś przyszedłem natychmiast zdać o tem sprawę panu profesorowi.

— Ależ ona żyje, zawołał rozpromieniony Frank. Głowę daję że żyje, a Waspan znalazłeś się jak dziecko.

Rzeczywiście, tegoż dnia jeszcze mąż owej pani przyjechał do Franka, aby go uwiadomić, że po silnym, nocnym ataku żona jego czuje się o wiele lepiej, a zarazem prosi go o innego, mniej wrażliwego lekarza, do prowadzenia systematycznej kuracyi.

Odtąd Homolicki wyrzekł się praktyki i samej tylko oddał się teoryi, a zwłaszcza fizyologii. Katedrę tej ostatniej objął po Mianowskim. Wykłady jego były bardzo piękne i zajmujące. Streszczał w nich wszystko, co najnowsze wykazywały doświadczenia, szedł sumiennie za postępem nauki, pracował wiele, a styl miał jędrny i jasny. Słuchaliśmy go wszyscy z uniesieniem, auditoryum zawsze było pełne. Cichy, potulny, skromny w ubraniu, nieśmiały w obejściu się, był to uosobiony kontrast Pelikana. Pomimo to zyskał sobie trwalszą, niż tamten, sympatyę u młodzieży. Kochaliśmy Homolickiego szczerze, uważaliśmy go bardziej za przyjaciela niż za profesora, a zdolności jego, pracę i uczciwość umieliśmy zawsze cenić i szanować. Co do mnie osobiście, w ostatnich miesiącach mego pobytu na uniwersytecie, zbliżyłem się z nim bardzo i przyjaźń zawiązana podówczas, przetrwała niezmiennie do końca.

Mówić o uniwersytecie wileńskim, a nie wspomnieć o Śniadeckich, byłoby występkiem. Popełniać go niechcę, choć z drugiej strony tak są już oni

ze swych zasług, nauki i nawet z prywatnego życia znani, że niewiele nowego da się o nich powiedzieć.

Obaj bracia, Jan i Jędrzej, małego byli wzrostu. Jan starszy, twarzy okrągłej z lekkiem rumieńcem, oczy gęstemi brwiami osłonione, czoło szerokie, wyniosłe, łysina obszerna, reszta siwych długich włosów po bokach i z tyłu na ramiona spadająca, wzrok żywy, uśmiech przyjemny, ruchy ciała żwawe, niecierpliwe nawet, w braku innego zajęcia ciągłe zażywanie tabaki, bardziej machinalne, a przytem głowa zawsze do góry podniesiona, wyraz jej rozkazujący, głos także. Oto jak się Jan przedstawiał w 80tym roku swego życia. Rzadko było widzieć starca w tak podeszłym wieku, a tak ożywionego na ciele i umyśle.—Jędrzej też łysy, z włosem w tył zaczesanym, upudrowanym, podobny był bardzo do brata, choć się wydawał nieco pulchniejszym i bardziej poważnym. Obaj, a zwłaszcza Jan, dumni i dla młodzieży zgoła prawie nieprzystępni byli.

Jana osobiście nie znałem, na kursa zaś Jędrzeja z całą akuratnością chodziłem. Wykładał on wtedy chemię i swą głęboko filozoficzną teoryę jestestw organicznych, a później, po wyjeździe Franka, objął katedrę kliniki terapeutycznej. O ile wymownym, poważnym i gruntownym był na swych prelekcyach, o tyle znów w gronie ściślejszych przyjaciół zachowywał wesołość i dowcip niewyczerpany. Zdradzały nieraz to jego usposobienie igrający na ustach uśmiech i bystrość czarnego, pełnego wyrazu, oka. Należał Jędrzej w swoim czasie do tak zwanego „Towarzystwa brukowych

szubrawców", które miało za organ humorystyczne pisemko p. t.: *Wiadomości brukowe*. Redaktorem jego był Dr. Szymkiewicz, a jednym z głównych współpracowników Jędrzej Śniadecki. Pisemko to wywierało bardzo korzystny wpływ na ogólną moralność, bo żadne nadużycie, żadne przekroczenie przyzwoitości, nawet w domowych stosunkach, nie uszło jego baczności i zasłużonej chłosty. — Wyrabiało opinię publiczną, karciło wady i śmieszności, a prawdziwym dowcipem i przewybornym humorem bawiło i rozweselało każdego.

Zjawiło się też było w Wilnie i drugie w tym rodzaju pisemko, pod tytułem Gębacz. Począł go był wydawać Grzymała, urażony na Szymkiewicza, za jakiś przycinek w Brukowych Wiadomościach, wprost przewiemu wymierzony, a że był przyjacielem tego ostatniego, położył więc za dewizę: *Amat me Simeon, Simeonem ego.* Drwi ze mnie Szymon, ja sto razy z niego. Pomimo jednak całego dowcipu, który rzeczywiście Grzymała posiadał, pomimo piękniejszego formatu i lepszego druku, nie mogło się ono utrzymać i po kilku numerach puszczonych na wabik, musiał Gębacz stulić uszy dla braku prenumeratorów. Konkurencya ze Śniadeckim i Szymkiewiczem okazała się niepodobną.

Wśród tysiąca fars Jędzeja Śniadeckiego, obiegających całe miasto, przypominam sobie jedną, która się za moich wydarzyła czasów, a wykazuje wieczną gotowość jego do żartu.

Był w Wilnie pewien chirurg, a raczej felczer, nazwiskiem Mariański, komicznej niezmiernie figury, przejęty cały ważnością swego społe-

cznego stanowiska, i mający pretensyę do nauki, a zwłaszcza do łaciny, której nie posiadał zgoła. Jędrzej Śniadecki polecał mu, od czasu do czasu, doglądanie chorych, potrzebujących chirurgicznej pomocy, a stale miał go przy sobie do operacyi golenia własnej brody. Mariański pysznił się z tego dowodu zaufania tak uczonego męża, i rósł niepomiernie w dumę. Podobneż funkcye spełniał on i przy drze Szymkiewiczu.

Pewnego razu zdawał Mariański drwi. Szymkiewiczowi raport o jakimś chorym bez nadziei. Wysłuchawszy go do końca, rzecze ten ostatni:

— Nic dziwnego, przecież nasz ojciec ś. p. Hipokrates wyraźnie twierdzi: *Neminem captivabimus nisi jure victum*, co znaczy: nic tam sztuka nie poradzi gdzie natura odmawia pomocy.

— Jak, jak panie konsyliarzu, z pośpiechem zapytał Mariański, jak się wyraził Hipokrates, to warto tak ważną sentencyę zapamiętać.

Szymkiewicz powtórzył mu po łacinie ów axiomat cywilnego prawa: nikogo więzić nie będziem, kto nie jest prawnie przekonanym.

Z ciepłemi jeszcze słowy wyruszył Mariański do Śniadeckiego, któremu właśnie miał brodę golić, a powiadając mu wśród tej operacyi o owej niebezpiecznej chorobie z westchnieniem zakonkludował:

— Cóż robić, neminem captivabimus nisi jure victum, jak powiada ś. p. Hipokrates.

Nie zdradziwszy ani na chwilę zadziwienia swego, „To pewnie Szymkiewicz nauczył ciebie, zapytał Śniadecki z powagą.

— Tak jest, panie profesorze, konsultowaliśmy razem nad tym wypadkiem, a że on wie, jak ja łacinę chciwie do głowy biorę, szczególniej, gdy się do mojej nauki stosuje, przytoczył więc, co w takim razie ojciec Hipokrates trzyma.

— Kiedyż bo ten Szymkiewicz, z niecierpliwością odpowie Śniadecki, jak się wczyta w jednę kartę, to dalej nie idzie, a przecież tamże, trochę dalej, jak wół wypisane stoi: *concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur*, t. j.: w najgorszych wypadkach wezykatorya położona na karku oddala niebezpieczeństwo.

Trafiło to do przekonania Mariańskiego, zapisał sobie w pugilaresie sentencyą, i złatwiwszy się ze Śniadeckim, ruszył napowrót do Szymkiewicza.

— Cóż tu robisz, zapytał ten ostatni, czy masz co nowego?

— Bynajmniej, panie konsyliarzu, ale gdy mi ten biedak nie wychodzi z głowy, o którym p. konsyliarz zawyrokował: neminem captivabimus nisi jure victum, to pozwolę sobie, bo tu idzie o życie człowieka, przypomnieć panu drugą radę nieboszczyka Hipokratesa: concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur. Możeby się jeszcze ją dało ze skutkiem zaaplikować.

— A cóż to znaczy po polsku?

— W najgorszych razach wezykatorya na karku, oddala niepezpieczeństwo, odrzekł z uczuciem wewnętrznego zadowolenia Mariański.

— Pewnie ci Śniadecki przypomniał ten aforyzm Hipokratesa. Szalona pamięć u tego czło-

wieka. Rzeczywiście, zapomniałem o nim, ale w tym wypadku na nic się to nieprzyda, bo twój chory, pewnie już Bogu ducha oddał.

Sam Mariański rozniósł to po mieście, twierdząc, iż medycyna nie tylko nauki, ale i wielkiej przytomności umysłu wymaga. „Gdyby był Szymkiewicz, powiada on, nie zapomniał o tej radzie Hipokratesa, bylibyśmy chorego uratowali. Poczciwy to człowiek, uczony nawet, przyjemnie z nim pomówić o fachowych rzeczach, ale cóż, kiedy wczytawszy się w jedną kartkę, nie widzi, co na drugiej stoi. Śniadecki, to co innego, wszystko umie na pamięć, a po łacinie mówi, jakby z książki czytał.

Młodzież podchwyciła te zwierzenia się Mariańskiego, i żartom końca nie było.

III.

Młodzież, za moich czasów, liczna, z rozmaitych przybywająca stron, różne przynosiła ze sobą pojęcia i nawyknienia. W ogóle więcej była butną niż skromną, więcej swawolną i rozrzutną niż cichą i umiarkowaną, bardziej płochą i niespokojną jak rozważną i pracowitą. Przywileje akademickie sprzyjały temu. Uczeń, czyli jak nazywano podówczas „akademik“, żadnej innej, prócz uniwersyteckiej władzy nie podlegał; ta ostatnia wyłączne prawo nadzoru i opieki nad nim posiadała, akademik drwił więc sobie z policyi, a wojskowym nigdy kroku nie ustępował. Wedle raz przyjętego zwyczaju, każdy z nas nosił zawsze w zanadrzu świadectwo akademickie, wykazujące, z jakiego jest

wydziału i z którego kursu, a ufny w ten dokument, nie obawiał się niczego. Było też to potrzebnem, gdy noszenie munduru nie obowiązywało koniecznie, a zdarzały się sprzeczki, zajścia, nawet bójki, zwłaszcza z wojskowymi, w które policya z obowiązku wdawać się musiała, świadetwo to broniło od ujęcia i aresztu i dość go było okazać, aby urzędnikowi policyjnemu nosa utrzeć. Przywileje te miały też i dobrą stronę; wyrabiały bowiem poczucie solidarności w młodzieży i poświadczenie o godności samej szkoły. Nigdy się też nie przytrafiło, aby ktoś obcy świadectwo takie ku swej obronie sfałszował, lub żeby komuś niemającemu do tego prawa, akademik swoje pożyczył; w pierwszym razie młodzież byłaby się ostro ujęła za nadużycie jej tylko przysługującego prawa i każdy tego się lękał, w drugim zaś byłaby okryła pogardą kolęgę za lekceważenie i zniewagę wyrządzoną tytułowi akademika. Tytuł ten miał niezaprzeczone znaczenie i powagę, do utrwalenia których najbardziej się przyczynił Jan Śniadecki za swego rektorstwa. Słynny z uczynności, mający niezależną w świecie pozycyę, śmiały w postępowaniu z wyższemi władzami, energiczny, Śniadecki wlał we wszystkich, którym przewodniczył, przekonanie o wyższem stanowisku, jakie w społeczeństwie zajmują, i takowe w publiczność wpoił.

Był to grunt, na którym, prędzej czy później, pomyślne oddziaływanie wśród młodzieży nastąpić musiało, tembardziej, że swawola, hulanka i buta nie licowały z wyobrażeniem, jakie akademicy sami o sobie mieli, i z opinią, jakiej używali. Poważniejsze wśród nich umysły, pierwsze tę dyshar-

monię spostrzegły, a im więcej je raziła, tem rychlej starały się wejść na właściwsze tory, pociągając przykładem swoim innych.

Największa w tym względzie zasługa należy się bez zaprzeczenia Zanowi i Jeżowskiemu. Oni to poważniejsi wiekiem i usposobieniami, stali się tym punktem, około którego wszystkie cichsze a pracowitsze żywioły grupować się poczęły; oni też ujęli je w pewną formę, związali pomiędzy sobą i stworzyli całość pod nazwą „Promienistych".

Stało się to na wiosnę r. 1819, choć właściwie ważyło się i przygotowywało jeszcze w ciągu poprzedniego roku. Celem towarzystwa były: praca, pilne i sumienne pełnienie swych obowiązków, moralne prowadzenie się i wzajemna baczność na siebie, wreszcie ciągłe pielęgnowanie ojczystego języka, literatury i historyi i w ogóle wszystkich nauk o ile się da po polsku, i współdziałanie do najobszerniejszego rozwinięcia oświaty w kraju. Bodźcem zaś do wytrwania i cementem spajającym jednostki miały być solidarność członków towarzystwa i poza obrębem szkolnych ławek, pomoc wzajemna pod każdym względem, tak naukowa jak i materyalna w razie potrzeby, nakoniec obcowanie nieustanne, pociągające za sobą wymianę obowiązkową wszelkich prac, postępów, poglądów i odkryć zdobytych na polu wiedzy.

Polityka wykluczoną była zupełnie z programu. W czasach owych sąd i wyobrażenia o bieżących wypadkach inaczej się urabiały. Znużenie po wojnach napoleońskich było wielkie, a równało się mu chyba ogólne rozczarowanie, naturalny wynik nieudanych wysileń. To też gdy na kongresie

wiedeńskim, z inicyatywy (?) cesarza Aleksandra I. stanęło Królestwo polskie, nadzieje i sympatye wszystkich skierowały się ku niemu. Sądzono i wierzono, że gdy część kraju odbudował, nie zatrzyma się w pół drogi i całą Polskę, w jej dawnych granicach, do politycznego bytu powoła. Stała przyjaźń z księciem Adamem Czartoryskim, szanowanie polskich tradycyj i polskiego języka, w którym cesarz często się odzywał, oraz oddanie Litwy pod zarząd wielkiego księcia Konstantego, będącego jednocześnie namiestnikiem w Warszawie, zdawały się nadzieje te uzasadniać. — W Wilnie zarówno obywatele jak i wszechnica, dzieliły je zgodnie i nikomu nie mogło przyjść na myśl, aby spiskować dla obalenia rządu, od którego tyle się spodziewano.

Przeciwnie, młodzież łącząca się pod hasłem pracy, naukowego doskonalenia się i moralności, sądziła, że trafia w myśl panującego, któremu Wilno zawdzięczało swój uniwersytet, Krzemieniec swe liceum, a którego powszechnie rozkrzewicielem oświaty nazywano. Stąd i okrywanie związku tego ścisłą tajemnicą, wydało się jej zbytecznem. Nie głoszono o nim prawda w dziennikach, nie trąbiono na rogach ulic, nie przechwalano się publicznie, bo było to wręcz przeciwne jego naturze i charakterowi składających go osób, ale nie ma wątpliwości, że całe miasto o istnieniu jego wiedziało, zwłaszcza też profesorowie i władze szkolne.

Jakżeż mogło być inaczej, skoro przerzedzone poprzednio ławki zwolna zapełniać się zaczynały, gdy zamiast roztargnionych i roztrzepanych

słuchaczów, większa ich część notowała każde słowo wypowiedziane z katedry, gdy wzrastająca pilność i obyczajność młodzieży wszystkich uwagę na siebie zwróciły, gdy nawet Franciszek Malewski, syn ówczesnego rektora, znany dawniej latawiec i miłośnik zabaw, stał się wzorem pracy i akuratności, a zarazem jednym z najczynniejszych członków Stowarzyszenia. Tak, bez zaprzeczenia, wiedziano i tolerowano nawet te schadzki młodzieży, których dobre skutki z każdym dniem stawały się widoczniejsze.

Stosunki moje z Promienistymi datowały oddawna. Znałem ich prawie wszystkich, a z niektórymi ścisła nawet mnie łączyła przyjaźń. — Wszedłem jednak urzędownie do ich grona, dopiero w Październiku 1819 r. wprowadzony przez Piaseckiego i Łukaszewskiego. Działo się to pewnego wieczora w mieszkaniu Zana. Zastałem tam zgromadzenie niezbyt liczne, dwudziestu kilku zaledwie członków. Zan był prezesem, a Jeżowski wice-prezesem, siadywali więc zwykle obok siebie, a tuż koło nich mieścił się Malewski, sekretarz towarzystwa, ze swą księgą *in folio* i innemi papierami. Tak też i tym razem było. Tomasz Zan zagaił posiedzenie, zwracając się do mnie. — Oświadczył, że Promieniści radziby mnie mieć w swem gronie, pyta więc w ich imieniu, czy mam ochotę wspólną pracą dopomagać dążeniom towarzystwa? Poczem, rozwarłszy księgę, przeczytał, jakie sobie zakładano cele; znałem je już wprzódy, a przekonałem się jeszcze dowodniej, że nie było w nich żadnej myśli, żadnego zwrotu, dotyczącego rządu lub polityki. To chyba patryo-

tycznem dążeniem nazwać było można, że mowę ojczystą, że uprawę jej literatury, że materyalną nawet ku temu pomoc, do pierwszych zaliczano obowiązków.

Po twierdzącej odpowiedzi z mej strony, że chcę należeć do Towarzystwa i cele jego uważać będę za obowiązujące, bez składania przysięgi i żadnej innej formalności, wpisany zostałem w długi już szereg członków Towarzystwa. Przytem złożyłem trzy ruble składki na książki i na ubogich uczniów. Utrzymywali ich wtedy kilku Promieniści swym kosztem, nadto skupowali klasyczne polskie dzieła, jak Krasickiego, Naruszewicza, Niemcewicza Sniadeckiego, Kniaźnina, Piramowicza i innych, i takowe rozsyłali po szkołach i szkółkach litewskich, gdzie młodzi pedagogowie, należący do Towarzystwa, obowiązani byli na pożytek swych uczniów je obracać.

Na posiedzeniach (Tow. Promienistych) czytywano zwykle naukowe rozprawy, przez którego z członków opracowane. Bywały one z dziedziny nauk przyrodniczych i matematycznych, a także z filologii, filozofii prawa i historyi, czasem też beletrystyka i poezya zjawiały się z kolei. Tego wieczora, kiedy byłem wprowadzony, czytał Jeżowski swój rozbiór greckiego autora, jeśli dobrze pamiętam, Sofoklesa. Odemnie zażądano także ułożenia popularnej hygieny, dla użytku szkolnej młodzieży. Choć byłem wówczas bardzo zajęty, bom miał końcowe egzamina, a następnie doktoryzacyę, wziąłem się jednak ochoczo do tej pracy, a odkładając wykończenie jej na później, streściłem tylko dość obszerny „Plan lekcyj hygieny,

czyli nauki zachowania zdrowia, mającej się wykładać po szkołach publicznych", i takowy na ręce Zana złożyłem. Była tam naprzód wykazana potrzeba obeznania się z własną organizacyą, gdy utrzymania jej w stanie zdrowia uczyć się mamy; następnie, konieczność zdania sobie sprawy z przeznaczenia różnych części ciała, jego organów i ich naturalnych funkcyj; dalej, o usposobieniach do chorób, jakie w sobie posiadamy, już to z rodziców, już z płci, wieku, temperamentu, lub też stanu i powołania pochodzących. Potem wytłómaczonem było, jak nieodzowną jest dokładna znajomość wszystkich zewnętrznych wpływów na zdrowie ludzkie działających, jako to: powietrza, wody, ciepła, światła, elektryczności, pokarmów roślinnych i zwierzęcych, napojów, a stad wykazaną była cała ważność fizyki i chemii; potrzebna dla utrzymania zdrowia użyteczność szczepienia ospy, kąpieli wodnych i parowych, gimnastycznych ćwiczeń, przechadzki, jazdy konnej, fechtowania się, tańców, pływania i t. d.; wreszcie wyjaśnioną została korzyść obeznania się ze sposobem zachowania w dobrym stanie wyłącznych organów, jak wzroku, słuchu, smaku, dotykania i powonienia. Plan ten rozwinąłem dość jasno i szczegółowo, tak, że na kilko-arkuszową broszurę zakrawał. Odczytaliśmy go na jednem z posiedzeń. Podobał się bardzo Zanowi, z tego zwłaszcza względu, że hygienę do rzędu koniecznej dla wszystkich nauki, podnosił.

— Trzeba tę gałęź wiedzy rozwinąć i spopularyzować, powiedział, korzyść stąd będzie niechybna, bo nic tak nie trafi do przekonania mło-

dzieży, jak gdy jej się wykaże, na podstawie prawd naukowych, korzyści wypływające ze wstrzemięźliwości, z czystości obyczajów, z dobrego utrzymania ciała i t. d. Chcąc, abyśmy odżyli i zdolni byli do czegoś, powinniśmy być nietylko uczciwi i wykształceni, ale też i zdrowi. Pracujmy więc każdy na swem polu, jak kto umie, a Bóg nam dopomoże, dodał ściskając mnie serdecznie.

Słowa Zana i uznanie kolegów stały się dla mnie prawdziwą zachętą. Niedługo potem ośm lat mego życia — od 1822 do 1830 r., poświęciłem w Krzemieńcu wykładom publicznym hygieny, a plan ów, na posiedzeniu promienistych czytany, stał się rzeczywiście ich podstawą i programem.

Zawiązana z Zanem przyjaźń wzmagała się z dniem każdym, a umocniła ją bardziej jeszcze choroba, którą pod koniec mego pobytu w uniwersytecie, w roku 1820, z niebezpieczeństwem życia przebył. Była to gorączka, zwana naprzód gastryczną, później zapaleniem żołądkowo-kiszkowem *(gastro-entereitis)*, a dziś tyfusem brzusznym *(typhus abdominalis)*. Chciałem przy jego łóżku wezwać poważniejszej i doświadczeńszej rady, ale nie zezwolił na to; sam więc musiałem go leczyć i doglądać, przepędzając przy nim całe noce, zwłaszcza w dniach krytycznych. Po miesiącu, począł wracać do zdrowia, choć długo jeszcze od cięższych zatrudnień musiałem go odrywać. W tym to czasie pisywał swe powiastki i ulotne poezye, z których zawsze zdawał mi sprawę.

Obejście Zana było przyjemne, otwarte, wzbudzające zaufanie, humor wesoły, często żartobliwy. Kochaliśmy go wszyscy, bo tak zacnego serca nie

można było niekochać, a dla jego w sprawie ogólnej gorliwości, szanowaliśmy go wielce. Chwile konwalescencyjne na długich pogadankach często u niego spędzałem. Układaliśmy wtedy wspólnie wielką przyszłość dla naszego Towarzystwa, spodziewaliśmy się po niem świetnych dla kraju rezultatów i aniśmy przeczuwali, że wkrótce zionie na nas swym jadem hydra nienawiści, rozprzęgając i do gruntu niszcząc ten związek chcącej kształcić się młodzieży.

Wówczas dowiedziałem się od Zana o chorobie Adama Mickiewicza i byłem proszony o radę lekarską.

Adam Mickiewicz skończył pierwej swoje kursa uniwersyteckie i już rozpoczął publiczny zawód w szkole kowieńskiej, gdzie wykładał literaturę polską. Ulotne poezye jego zaczęły już zwracać na siebie uwagę publiczną. Młodzież zwłaszcza rozchwytywała je skwapliwie, uczyła się ich na pamięć i zachwycała się niemi. Nieraz na koleżeńskich schadzkach deklamowano je z zapałem, a „Oda do młodości“ stała się już była prawdziwą arką przymierza młodego pokolenia, na niej kończyły się zwykle posiedzenia Promienistych. Wziąwszy się za ręce i splotłszy jedno koło, wypowiadaliśmy ją chórem, a każda zwrotka elektryzowała nas do głębi, wyradzając wiarę w potęgę wspólnej pracy, w siłę postępu ludzkości i w nieodzowność lepszych na przyszłość losów.

W Kownie miejscowe okoliczności, o ile wpłynęły na wyrobienie w Mickiewiczu romantycznego i sercowego kierunku, o tyle znów wywołały zupełny rozstrój w słabym i zbytnie wrażliwym or-

ganizmie. Ciężki, miłosny zawód, jaki go tam spotkał, przechorował naprzód obłóżnie, a potem, choć się podniósł, zostało mu powolne, trawiące duszę i ciało cierpienie. Dowiedziano się o tem w Wilnie i obeznano mnie otwarcie ze stanem choroby i z jej przyczyną, którą chciano mieć w tajemnicy. Radziłem wyrwać go co prędzej stamtąd, gdzie na każdym kroku świeże wspomnienia jątrzyły głęboką ranę serca. Sam Mickiewicz czuł potrzebę tej zmiany i dał się słyszeć, że radby na łonie dawnych przyjaciół odpocząć i rozerwać się nieco. Poczciwa młodzież wysłała wnet po niego jednego z kolegów i w kilka dni jużeśmy go mieli wśród siebie.

Posępny, wychudzony, blady, to znów z chorobliwym rumieńcem na twarzy, przeraził nas wszystkich. Byłem jego lekarzem. Trawiła go powolna gorączka, ale ta żadnej jeszcze nie miała lokalizacyi. System nerwowy dziwnie był rozdrażniony, na tem więc polu odgrywała się cała walka duszy z ciałem, rozumu i geniuszu z fizycznym rozstrojem. Objawy jej były uderzające. Czasem jaśniał Mickiewicz potężną siłą myśli, to znów zapadał w bezwładną apatyę; czasem improwizował lub pisał z zadziwiającą łatwością, to znów potocznej nawet niemógł znieść rozmowy. Zwolna stan ten ustępował. Zmiana miejsca, towarzystwo szkolnych przyjaciół, staranie jakiem go otoczyli, rozrywka, wszystko to razem poczęło wywierać wpływ zbawienny i kiedym opuszczał Wilno, wracając na stałe mieszkanie do Krzemieńca, zostawiłem już Mickiewicza powracającego do sił i do pewnej równowagi w organizmie. Któż

mógł wówczas przewidzieć, że niebawem miałem się z nim spotkać znów, ale w zupełnie innych warunkach.

Szybkie rozwijanie się Promienistych i stanowisko moralne, jakie zajęli w mieście i w uniwersytecie, różne dla nich budziły uczucia. O ile ci, co w skład Towarzystwa wchodzili, oddawali mu się całkowicie, poświęcając indywidualność swoją na rzecz zbiorowej pracy i dążności, o tyle znów, stojący poza niem patrzyli na nie z niechęcią, uprzedzeniem lub obawą. Profesorowie nie mieli także ustalonej w tym względzie opinii. Jedni, jak Frank, Śniadeccy, cieszyli się z tego objawu życia w młodzieży, aprobowali jego kierunek, choć otwarcie wypowiedzieć tego nie chcieli. Inni, jak zacny Stanisław Jundził i w ogóle cała kategorya starych weteranów, pełnych zasług ale pedantów i zwolenników raz przyjętej rutyny, nie mogli pojąć, jak młodzież, bez ich opieki i kierownictwa, sama sobie radzić może i upatrywali w tem pewne uchybienie dla siebie, lekceważenie tyloletniej swej pracy i wyraźny dowód nieufności. Niechęć ich dla Towarzystwa, choć tajona, bo nic mu zarzucić nie mogli, przebijała jednak we wszystkiem a najwięcej w drobnostkach codziennych stosunków, i coraz bardziej Promienistych od nich odstręczała. Byli też i tacy, co trwożliwie spoglądali na to co się dzieje, raz dla tego, że im się wydawało, iż skupieni w naukowym celu akademicy, rozciągną z czasem pewną kontrolę nad wykładami, i zechcą sami sobie zapełniać rażące u niektórych braki; to znowu, że się lękali, aby stąd nie wy-

niknęły posądzenia o tajemne spiski w uniwersytecie i wszystkie przykre tego konsekwencye.

W mieście rozmaite także krążyły zdania. Większość statecznych a rozważnych była, bez zaprzeczenia, przychylną wynurzającym się tendencyom Promienistych. Hulaszcza młodzież drwiła z nich i nazywała „mnichami". Inni znów, oddając całą sprawiedliwość poczciwym chęciom, zarzucali zbytnie zamknięcie się w sobie, pewną wyłączność tak pod względem pomocy materyalnej, jako też korzystania z istniejących stosunków i zdobywania sobie nowych, jedynie na rzecz stowarzyszonych. Zapewne, że zarzuty te nie były bez podstawy, ale czyż inaczej być mogło? Rozszerzając się, przestawało Towarzystwo być tem, czem być chciało, schodziło do rzędu dobroczynnej instytucyi, bez określonego celu i jasno wytkniętego dążenia. Przeciwnie, ścieśnione ramy nadawały mu większą solidarność, wprowadzały ściślejszą kontrolę, związywały jednostkę z całością pod każdym względem, zapewniały jej w zamian za pracę i poświęcenie się dla Towarzystwa wszystkie korzyści materyalne i moralne, jakie były w jego mocy. W innych warunkach stowarzyszenie istnieć i założeniu swemu zadość czynić nie mogło. Częstośmy z Zanem o tem rozprawiali i zawsze musieliśmy wrócić do pierwotnej formy, jako potrzebie chwili najlepiej odpowiadającej.

Te krzyżujące się opinie, zdania i różne sposoby widzenia rzeczy, jak węzeł gordyjski przeciął jednem słowem generał-gubernator litewski, Korsakow. Nie wchodząc w szczegóły, uznał Towarzystwo Promienistych za arcyniebezpieczne dla rządu

i państwa. Trwożliwa część rady uniwersyteckiej wzięła wówczas górę i nikt nie miał odwagi ani chęci stanąć w obronie posądzonych. Rektor Malewski, ulegając namowie, w porę zażegnał niebezpieczeństwo; uprzedzając wdanie się rządu, przybył sam na zgromadzenie młodzieży w Maju 1821 roku, kazał się jej rozejść, Towarzystwo rozwiązać i nadal zgoła się nie zbierać.

Stało się to w kilka miesięcy po wyjeździe moim z Wilna, alem miał o tem najbardziej szczegółowe sprawozdania od kolegów uniwersyteckich, spędzających wakacye w Krzemieńcu.

Fakt ten, wręcz przeciwne jak myślano u góry, wywołał następstwa. Młodzież nie poczuwająca się do żadnej winy, nie knująca żadnych przeciw rządowi spisków, owszem skupiająca się otwarcie w przekonaniu, że z czasem uzyska uznanie i poparcie władzy, boleśnie rozczarowaną została. Urzędowe rozwiązanie Promienistych wydało się jej aktem krzyczącej niesprawiedliwości i samowoli, a że nie było do kogo się odwołać, z drugiej zaś strony, gdy nie tak łatwo było wyrzec się pięknie rojonej przyszłości i oczekiwanych bogatych z pracy plonów, młodzież wybrała pośrednią drogę, ścisnęła bardziej jeszcze ramy Towarzystwa, okryła je grubą zasłoną tajemnicy, wprowadziła przysięgę i dawne filantropijno-naukowe Stowarzyszenie w prawdziwy spisek zamieniła. Tak przestali istnieć Promieniści, ustępując miejsce Filaretom.

Droga była za śliska, bo któż przewidzieć i odgadnąć zdoła, dokąd się w końcu manowcami zajdzie. Trzeba było wiele ostrożności, ciągłego ukrywania się, zaparcia się swoich myśli, zamiarów,

przekonań i pracy, wobec najbliższych a nie wtajemniczonych; a choć cele Filaretów zostały te same, co Promienistych, środki różniły się niezmiernie, stawiając na ryzyko niedyskrecyi, płochości, lub prostego wypadku los Towarzystwa, jego członków, rodzin ich i przyjaciół. Wyboru jednak nie było, a cechująca młody wiek pewność siebie, nie obliczała prawdopodobnych następstw tego przeobrażenia, do którego powyższe okoliczności popchnęły stowarzyszonych pomimo woli. Gdyby się był znalazł wówczas w uniwersytecie który z profesorów, pojmujący zadanie swoje wyżej, jak odczyt lekcyi obowiązkowej; gdyby zdołał się stać sympatycznym dla młodzieży i potrafił zjednoczyć około siebie rwące się do pracy żywioły, byłby mógł nadać im właściwy kierunek, ochronić uniwersytet, Litwę i ruskie prowincye od tylu ofiar i prześladowania i pod każdym względem prawdziwy krajowi przynieść pożytek. Niestety, takiego w czasach owych w Wilnie nie było, a obojętne traktowanie poczciwych zachceń młodzieży, to znów krytykowanie ich z przekąsem, lub uwydatniająca się z dniem każdym niechęć dla nich odstraszały tylko uczniów od profesorów, dając pierwszym *carte blanche* do kroczenia własnemi tory, jakie im niedoświadczenie z jednej, a chęć do pracy z drugiej strony wskazywały.

W pierwszych chwilach wszystko się dobrze i pomyślnie układało. Władza uniwersytecka uspokojona rozwiązaniem Promienistych, nie zwracała więcej na tę stronę uwagi, w mieście przestano mówić o stowarzyszeniu młodzieży, zaliczając je do niepowrotnie minionej przeszłości, a tymcza-

sem Filareci mogli się bezpiecznie organizować i dalej rozpoczęte prowadzić zadanie. Tak upłynęły dwa lata, gdy mały na pozór wypadek wysnuł z siebie całe pasmo coraz znaczniejszych i boleśniejszych dla Litwy i Rusi zdarzeń.

Jakiś uczeń w piątej klasie wileńskiego gimnazyum, wypisał na tablicy wielkiemi literami „Wiwat konstytucya 4 Maja“, a przypadło to właśnie w r. 1823, w rocznicę tego wiekopomnego aktu narodowego. Zamiast uważać wybryk ów za zwykłą płochość młodzieży, generał-gubernator Korsakow, niechętny osobie księcia Adama Czartoryskiego, ówczesnego kuratora okręgu naukowego i w ogóle wszystkim władzom szkolnym, a uwiadomiony o wszystkiem podobno przez Ostrowskiego, nauczyciela języka rossyjskiego, nadał całemu zdarzeniu charakter groźnego politycznego przestępstwa i przedstawił w księciu Konstantemu, jako objaw istniejącego w Wilnie spisku patryotycznego, który nie tylko szkoły niższe ale i uniwersytet do gruntu nurtuje. Natychmiast aresztowano z rozkazu wielkiego księcia Rektora uniwersytetu Twardowskiego[1]), prefekta gimnazyalnego Józefa Skoczkowskiego i dwóch nauczycieli,

---

*) Twardowski był niegdyś uczniem tegoż uniwersytetu, później obywatelem we własnym majątku na Litwie mieszkającym. Zajmował się zawsze naukami matematycznemi tak dalece, że przez konkurs został wezwany na profesora wyższej matematyki w wileńskiej wszechnicy. Zarzucano mu, że był słabego charakteru, że w ważniejszych sprawach nie umiał sobie dawać rady, ale tak zawsze bywa, gdy sprawy niepomyślny obrót biorą.

Aleksandra Żylińskiego i Jana Waszkiewicza, a w gimnazyum srogie zarządzono śledztwo. Wkrótce też nadjechał do Wilna i senator Nowosilcow, z ramienia samego cesarza wysłany, aby wykryć sprawców tego napisu i istnienie Towarzystwa wzmiankowanego w raporcie Korsakowa.

Ofiarą płochości swej padli: Jan Czechowicz, Michał Plater, Benedykt Kościałkowski i Józef Kułakowski, którzy po długiej indagacyi i zadawanych im męczarniach, przyznali się do owego napisu, a nadto Kajetan Maksiewicz, cenzor klasy piątej. Wszystkich skazano na prostych żołnierzy i do pułków niebawem wcielono. W uniwersytecie zaś, nie mając żadnych danych, ani punktu wyjścia, poprzestano tylko na ściślejszym dozorze policyjnym i na zabronieniu wyjeżdżania z miasta na wakacye, a rektora i towarzyszy jego aresztu wypuszczono na wolność.

Działo się to wszystko poza plecami ks. Adama Czartoryskiego, którego nawet urzędownie o tem nie uwiadomiono, choć właściwie wedle prawa, on jeden tylko bezpośrednią, jako kurator miał władzę nad szkołami. Książe dowiedział się o zaszłych wypadkach dopiero z raportu rektora, gdy tego z więzenia uwolniono i słusznie zatrwożony zjechał sam do Wilna, pod koniec Sierpnia. Tu, chcąc sprawę na właściwą wprowadzić drogę i stosując się ściśle do przepisów, wydelegował ze swego ramienia komisyę złożoną z profesorów: Bojanusa, Łobojki i Kłągiewicza, z poleceniem, aby po należytem zbadaniu, komisya zdała mu sprawę z istniejącego jakoby w uniwersytecie Towarzystwa. Komisya ta zawezwała przed siebie Zana,

Jeżowskiego i Czeczota, którzy wyznali otwarcie wszystkie szczegóły dotyczące Promienistych, rozwiązanych od dwóch lat z nakazu rektora; o Filaretach zaś i Filomatach zupełnie zamilczeli. Przeświadczeni o prawdzie tych zeznań delegowani, złożyli odpowiedni raport księciu Czartoryskiemu, zapewniając go, że wspomniane przez Korsakowa Towarzystwo, dawno już pomiędzy młodzieżą nie istnieje. W tymże czasie zjechał do Wilna cesarz Aleksander, wracający z zagranicy. Już pierwsze jego spotkanie z ks. Adamem Czartoryskim, nie rokowało dobrych dla Uniwersytetu nadziei. Na ogólnem przyjęciu wysokich władz i urzędników, zamiast przywitać księcia uprzejmie, nazywając *mon vieil ami*, jak to zwykł był czynić, cesarz zwrócił się do niego dość cierpko, wymawiając mu, że w Wileńskim naukowym okręgu jest tajne Towarzystwo pomiędzy młodzieżą, a jednak nie od księcia o niem się dowiedział. Księże zmilczał na razie, a nazajutrz zażądał prywatnej audyencyi. Na niej prawdopodobnie przedstawił raport wydelegowanej przez siebie komisyi. Z członków jej cesarz znał osobiście Bojanusa, profesora anatomii porównawczej i weterynaryi, jeszcze z czasu pobytu jego w Petesburgu i dość go lubił, kazał go więc przywołać do siebie.

— Wiem, powiedział mu, żeście nic nie wykryli, choć Towarzystwo tajne w uniwersytecie waszym istnieje. Chcę więc, abyś się tem na nowo zajął, dokładnie wyśledził i za kilka dni zdał mi o tem raport szczegółowy.

Wewnętrzne przeświadczenie cesarza Aleksandra o istnieniu spisku, nie opierało się jedynie na

doniesieniu Korsakowa, owszem wiele na to złożyło się okoliczności. Po kongresie wiedeńskim objawy niezadowolenia dawały się spostrzegać wszędzie, a rosły w miarę uwydatniającej się reakcyi rządów. We Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech tajne stowarzyszenia wyrastały jedne po drugich, mając na celu obalenie narzuconego tym krajom politycznego porządku. Głównem siedliskiem ich były uniwersytety, a przeważnym żywiołem, gorąca młodzież. Widmo ogólnej europejskiej rewolucyi, przy świeżych zwłaszcza wspomnieniach z roku 1789, przerażało wszystkie rządy i popychało je do tem ściślejszego łączenia się w obronie zagrożonych swych praw i egzystencyj. Trwoga ta stała się najulubieńszym tematem księcia Meternicha; rozkładał go na różne instrumenta i tony i w końcu stworzył koncert, któremu przewodniczył. Cesarz Aleksander, z natury swej niedowierzający nikomu, chciał sam sprawdzić, o ile obawy te są uzasadnione i w tym celu wysłał był sekretnie za granicę Sturdzę i Kotzebuego, z poleceniem wyśledzenia doniosłości i zamiarów owej rewolucyjnej roboty. Czy ta na prawdę wydała się im groźną, czy też chcieli tylko podnieść swą zasługę i wykazać gorliwość w spełnieniu powierzonej sobie misyi, czyli nareszcie zetknęli się z agentami księcia Meternicha, dość, że od owego czasu cesarz podzielać zaczął ogólny niepokój i pierwszy nalegał o przedsiębranie kroków zaradczych. Za jego to wpływem prześladowano w Niemczech odkrywane stowarzyszenia, ograniczono wolność druku, zwiększono i obostrzono wszędzie policyjny nadzór. W takiem też usposobieniu umysłu otrzymał za granicą,

przesłane mu przez w. księcia Konstantego, doniesienie Korsakowa o istnieniu tajnego Towarzystwa w Wilnie. Uwierzył mu święcie, zaokrąglało to w jego wyobraźni całość ogólno europejskiej konspiracyi, postanowił więc i wziął sobie za punkt honoru, wykryć i przykładnie ukarać ten demagogiczny zawiązek u siebie.

Dalej, w Wilnie już samem, wszystko zdawało się układać, aby cesarza w tem przeświadczeniu utwierdzić. Konstanty miał też przybyć do stolicy Litwy na powitanie swego brata; rektor Twardowski obawiając się, aby mu w czem młodzież nie uchybiła, wydał obwieszczenie przybite na tablicy w uniwersytecie, nakazujące studentom aby o 30 kroków przed nim czapki zdejmowali. Rozkaz ten wręcz przeciwny wywołał skutek. Rozdrażnieni, śmielsi a mniej rozważni z akademików, postanowili wcale się doń nie stosować i oprócz cesarza, przed nikim głowy nie odkrywać.

Tak więc na samym wstępie w Wilnie, w. ks. Konstanty natrafił na lekceważenie swej osoby przez młodzież szkolną, a może nawet przez sekretną policyę o postanowieniu jej został uwiadomionym. Dość, że raz spotkawszy studenta, który rzeczywiście dla krótkiego tylko wzroku go nie dojrzał, skarcił go najsurowiej i przed cesarzem wraz z całą uniwersytecką młodzieżą oskarżył. W. ks. Mikołaj, znajdujący się także podówczas w Wilnie, przyłączył się również do tych obwinień.

W tymże samym czasie zdarzyła się w mieście awantura, o której wnet cesarza uwiadomiono. W dzień słotny, jakiś sztabsoficer gwardyi, należący do dworskiej świty, hardy do niegrze-

czności i pewny siebie, spotkał się na bulwarze, koło katedralnego kościoła, z jakimś słusznym i barczystym młodzieńcem. Szli oni naprzeciw siebie, obwinięci w płaszcze, a że trotuar był wązki a błoto dokoła, stanąwszy oko w oko, jeden drugiemu ustąpić nie chciał. Zniecierpliwiony oficer zawołał: precz z drogi! Na te słowa młody ów człowiek chwyta go za kołnierz i rzuca do obok będącej kałuży. Obmotany w płaszcz, nie mógł się z niej tak łatwo wydostać, a tymczasem zebrała się dość licznie ciekawa i drwiąca z niego publiczność. Wreszcie młody ów człowiek, chcąc rozwiązać scenę, tę niby po rycersku, donośnie zawołał do przeciwnika:

— Jeśliś skrzywdzony, masz prawo wyzwać mnie na pojedynek. Jestem gotów do jakiej chcesz broni, nazywam się szewc Orłowski...

Poczem znikł w tłumie. Tejże nocy aresztowano wszystkich Orłowskich w mieście, było ich kilku ze stanu kupieckiego i obywatelskiego, ale ani szewc, ani akademik tego nazwiska się nie znalazł. Pomimo, że tamten był po cywilnemu odziany, a młodzież szkolna, przez cały czas pobytu dworu w Wilnie, powinna była chodzić w mundurach, ogólnie rozszerzyło się przekonanie, że mniemany Orłowski nie mógł być kim innym, jak studentem. Cesarz nakazał najściślejsze śledztwo, powyznaczał nagrody za wykrycie winnego, wszystko na nic się nie przydało, i tajemnica została tajemnicą, co Aleksandra bardziej jeszcze rozdrażniło.

Gdy się to działo, Bojanusa dręczyła misya, jaką cesarz nań włożył. Nie wykryć stowarzyszenia tajnego w uniwersytecie, było to postradać na

zawsze wysokie względy i zwichnąć całą swą karyerę; z drugiej strony czyż nie rzucał przez to młodzieży w otchłań prześladowania i męczarni, czyż nie zagrażał bytowi samej wszechnicy? Zresztą, gdyby nawet Towarzystwo takie istniało wśród akademików, jakież miał środki i drogi, aby dojść do niego? Wszystko to przerażało go i napawało wstrętem do powierzonego sobie zlecenia, tembardziej, że wewnętrznie był przeświadczony o niesłuszności owych podejrzeń. Poczciwe serce i prawość charakteru jedną mu tylko wskazywały drogę i tą poszedł. — Pomiędzy młodzieżą znajdował się zdolny bardzo, ulubiony uczeń jego, którego na adjunkta przy sobie sposobił, nazwiskiem Jurewicz. Należał on do Promienistych, a u Filaretów zajmował posadę sekretarza wydziałowego w naukach fizyczno-naturalnych. O pierwszem wiedział Bojanus, drugiego przypuszczać nie mógł, choć domyślał się, że urzędowe rozwiązanie Promienistych, pracy ich nie przerwało, ale ta, w zakresie ściśle naukowym, pod żadnym względem rządowi szkodliwą i niebezpieczną być nie mogła. — Profesor przywołał do siebie Jurewicza i rzekł doń z całą otwartością:

— Źle się dzieje; burza wisi nad nami, a są ludzie i wypadki, co ją na nas zapalczywie sprowadzają. Cesarz jest mocno uprzedzony o istnieniu tajnego towarzystwa w uniwersytecie, kazał mi je wyśledzić. Spełnić rozkaz ten muszę. Nie żądam od pana żadnych tłómaczeń ani wyjaśnień, ale proszę, abyś się udał zaraz do swoich i powiedział im, że jutro ja i ktoś jeszcze z ramienia imperatora, zwiedzimy i przejrzymy mieszkanie Zana.

Koło niego jednego, jako dawnego prezesa Promienistych, krążą obecnie podejrzenia, niech się więc ma na ostrożności. Powierzam to panu z całem zaufaniem i w nadziei, że dopomagając sobie wzajemnie, może się nam jeszcze uda grożącą klęskę odwrócić.

Jurewicz w tejże chwili uprzedził Zana. Przejrzano wszystkie papiery, a protokoły i listę członków spalono. Nazajutrz przyjechał Bojanus w asystencyi jakiegoś generała. Przetrząśnięto bardzo ściśle książki, listy i w ogóle schowki, jakie się w mieszkaniu znajdowały, a co znaleziono zabrano ze sobą. Były tam naukowe rozprawy i ćwiczenia, ulotne poezyjki bez politycznego znaczenia i niewinna korespondencya z rodziną. Ucieszony Bojanus zaniósł o tem szczegółowy raport cesarzowi. Aleksander przyjął go bardzo oziębłe i rzekł z rozdrażnieniem:

— Wiem co mi piszesz i co mi powiesz. Przekonany jestem wszakże, że tak nie jest. Oszukują was, drwią z władz i z policyi, tak dalej być nie może.

Bojanus pełen rozpaczy wrócił do siebie, gdzie zastał już czekającego nań Jurewicza.

— Źle, bardzo źle, były pierwsze jego słowa. Sądziłem, że będę mógł w obszerniejszem ustnem tłómaczeniu, wykazać niewinność waszą, tymczasem cesarz nie dał mi się nawet odezwać; zagniewany i nieufny, jak nigdy, podejrzewa nas wszystkich, a otoczenie jego utrzymuje go jeszcze w tem usposobieniu. W raporcie streściłem kilka usprawiedliwiających uwag, ale czy go przeczyta, bardzo wątpię. Bądź co bądź niemam sobie nic do

wyrzucenia. Utratę łaski monarszej przeboleję zwichnięciem przyszłości mojej, ale za to spokój sumienia wynagrodzi mi to cierpienie. Zresztą miejmy jeszcze nadzieję, może się ta burza odwróci i zażegna.

Szczegóły te opowiadał mi sam Adam Jurewicz, gdy przejazdem bawił u mnie całą dobę w Krzemieńcu. Biedny chłopiec, wśród ciężkich przejść późniejszych, stracił rozum i jako waryat zabiegł gdzieś za Wilno i w Wilii się utopił. Bojanus także przypłacił wkrótce zdrowiem i życiem.

Choć nic za bytności cesarza nie odkryto w Wilnie, coraz cięższa jednak stawała się tam atmosfera, a gromy niełaski monarszej wyczekiwały tylko odpowiedniej chwili, aby spaść na starą litewską wszechnicę i ogarnąć zabrane kraje. Okoliczność ta przytrafiła się niebawem.

Z powodu jakiegoś wybryku młodzieży szkolnej w Świsłoczy, policya, upatrująca we wszystkiem cele i dążności polityczne, zrobiła rewizyę w mieszkaniu studenta Jankowskiego, niegdyś ucznia powyższego gimnazyum, i w papierach jego wynalazła ślady istnienia Filaretów. Zdarzyło się to pod niebytność Jankowskiego w mieście, który chorej swej matki doglądał na wsi. Aresztowano go tam natychmiast, a korzystając z pierwszego przerażenia, obietnicami i nadzieją szybkiego uwolnienia, wyłudzono zeznania, stwierdzające egzystencyę towarzystwa i wymienienie główniejszych jego członków.

Była to nitka, po której spodziewano się dojść do kłębka. Zjechał natychmiast do Wilna powtórnie Nowosilcow, złożył specyalną komisyę

z Bajkowa, Ławrynowicza, Andersona, policmajstra Szłykowa i innych, zarządził liczne aresztowania, nietylko w mieście samem, ale i na całej Litwie, Podolu, Wołyniu i Ukrainie, i rozpoczął badania z przeświadczeniem o istniejącej zbrodni stanu. Klasztory, zamienione w więzienia, przepełniły się; smutek i rozpacz ogarnęły kraj cały; nie było rodziny prawie, któraby nie została dotkniętą. Dziwnem zrządzeniem losu działo się to wtedy właśnie, gdy Litwa i Ruś szczerze lgnąć poczęły do tronu, gdy na nim wszystkie swoje opierały nadzieje, gdy osoba cesarza Aleksandra coraz więcej sympatyi i uroku u publiczności sobie zdobywała.

Nie będę wchodził w szczegóły prześladowań Nowosilcowa, zadawanych więźniom męczarni i całego przebiegu śledztwa. Zdala tylko dochodziły nas o tem w Krzemieńcu okropne wieści, a nić bezpośrednich moich stosunków z Wilnem, zerwaną została. Ostatecznie, pomimo tak nieludzkich środków, po siedmiomiesięcznych badaniach, komisya nic więcej nie wykryła jak to, co było istotnem zadaniem Filaretów: cele naukowe, rozszerzenie oświaty i dążność do utrzymania i rozwinięcia polskiego języka i narodowości — to właśnie poczytano im za zbrodnię. Tomasza Zana, po roku fortecy, wywieziono w Uralskie góry; Czeczota, Suzina, Jeżowskiego i Łukaszewskiego, po półrocznem więzieniu, wysłano w głąb Rossyi; Malewskiemu i Mickiewiczowi kazano siedzić w Petersburgu do dalszego rozporządzenia; Stanisława Makowieckiego, Domejkę, Kazimierza Piaseckiego i wielu innych odesłano do rodziców i pozostawiono tam pod ścisłym nadzorem miejscowej policyi — wszystkim pra-

wie zwichnięto przyszłość i zagrodzono drogę do dalszego kształcenia się.

W zarządzie naukowego okręgu i w składzie uniwersytetu nastąpiły także najniekorzystniejsze zmiany. Ks. Adam Czartoryski nie mógł obojętnie patrzeć na to, co się działo w Wilnie. Stanowisko jego, nietylko urzędowe, jako kuratora, którego ostentacyjnie wbrew prawu omijano, ale i osobiste wobec cesarza i współobywateli mocno zachwianem zostało. Poczęły się odzywać, pokątne zrazu, a później głośne nawet przeciw niemu niechęci i żale. W czasie wojen napoleońskich uosobistniał on w kraju kierunek zgody z rządem rossyjskim i nieograniczonego zaufania do osoby Aleksandra Igo, był dla ogółu rękojmią dobrych chęci i przyjaznych usposobień cesarza dla Polaków. Po kongresie wiedeńskim, gdy sympatye i nadzieje wszystkich skierowały się w stronę, którą książę wytrwale przez lat kilkanaście wskazywał, imię jego związało się ściśle z nowemi drogami, na które kraj wkraczał i każdy w pojęciu swojem solidaryzował je z rządem i jego dążnościami. Srogie rozczarowanie, wywołane wypadkami wileńskiemi, jakżeż mogło nie dotknąć choć pośrednio osoby księcia, nie wzbudzić żalu, że łudząc się, innych także w błąd wprowadzał; jakże miało nie spowodować acz niesłusznych zarzekań, że zaufania, jakiem go monarcha zaszczyca, nie używa ku obronie młodzieży niewinnie prześladowanej, a zostającej pod jego wyłączną opieką.

Sytuacya taka stawała się dlań nadal niemożliwą, postanowił więc książę Czartoryski albo zmienić bieg rzeczy otwartem rozmówieniem się

z cesarzem, albo zgoła się usunąć. Sposobność potemu rychło się nastręczyła. W przejeździe do Krymu Aleksander zatrzymał się w Wołosowie, pod Międzyborzem, należącym do dóbr księcia, który zjechał tam dla odpowiedniego przyjęcia dostojnego gościa. Korzystając z poobiedniej chwili, książę doręczył cesarzowi wymotywowane podanie, w którem prosił dla siebie o uwolnienie od zarządu kuratora wileńskiego okręgu naukowego. Kończył je następujący ustęp—który przy lepszem usposobieniu cesarza mógł wywołać szczegółowe ustne tłómaczenie, tak dla księcia pożądane. — „Skoro W. c. mość uważa, że nie odpowiadam Jego zaufaniu, ze smutkiem przychodzi mi podać najpokorniej niniejszą prośbę o dymisyę".

Cesarz przeczytał z uwagą podanie, ścisnął mocno księcia za rękę, a papier w milczeniu do kieszeni schował. Tak, wedle kursujących podówczas pogłosek, miał się zakończyć przyjacielski stosunek kięcia Czartoryskiego z cesarzem Aleksandrem. W parę tygodni potem senator Nowosilcow został zamianowany wileńskim kuratorem, a w ślad za tem odebrano uniwersytetowi prawo wyboru rektora, nadając godność tę dożywotnio Pelikanowi, profesorowi chirurgii; wydalono z katedr bez najmniejszego powodu, biorąc za pretekst jakieś tajne doniesienie, jakoby byli nieprzychylnymi zwierzchności: Lelewela, Daniłowicza, Gołuchowskiego i księdza Bobrowskiego; zakazano wydawania *Wiadomości brukowych* i zabroniono w szkołach używania klasycznych polskich pisarzy, a nawet gramatyki Kopczyńskiego. — Słowem, nowy system rozwinął się w całej pełni, a

bracia Kukolniki, sprowadzeni z Petersburga, Nosko i tym podobni zaczęli wodzić rej w uniwersytecie.

Dla mnie osobiście czas ten przeszedł w ciągłem oczekiwaniu, że zostanę, równie jak inni, aresztowany i do Wilna wywieziony. Ostrzeżono mnie o tem naprzód, zaraz po uwięzieniu Jankowskiego; później jakiś student, w przejeździe przez Krzemieniec, przesłał mi liścik bezimienny, donoszący, że będę zapytywany, czym należał do Towarzystwa Filaretów, i abym wytrwale wszystkiemu zaprzeczał: wreszcie podobało się ks. Adamowi Czartoryskiemu dać mi poufnie znać z Międzyborza, abym, nie lękając się następstw, gotował się do wyjazdu. Książę, aczkolwiek nie był już kuratorem, miewał jednak ciągle szczegółowe wiadomości o tem, co się w Wilnie działo, i o ile mógł dopomagał młodzieży Był on tego przekonania, że pomimo całej zawziętości Nowosilcowa i jego komisyi, prędzej czy później prawda musi wyjść na wierzch i naturalnie na korzyść oskarżonych. Pomimo tylu ostrzeżeń, dosiedziałem wszakże bezpiecznie w Krzemieńcu; nikt się mnie o nic nie pytał; mimo to nie byłem spokojny! Dopiero później, szczególnym trafem dowiedziałem się o przebiegu mej sprawy i o powodach, dla których zostawiono mnie w spokoju.

Kiedyś, będąc w Odessie, poszedłem na włoską operę. Grano Normę. Krzesło tuż obok było próżne, a zajęty muzyką i śpiewem, anim zważał kto je zajął. Dopiero rzęsiste brawa, sypane z tej strony dla primadonny i tenora Mariniego, zwróciły moją uwagę na sąsiada, w którym poznałem

Franciszka Malewskiego. Uścisnęliśmy się serdecznie. — Opodal, w loży parterowej, siedział Mickiewicz. Trzeba było zachować całą ostrożność, aby im i sobie nie narobić kłopotu. Pozwolono im bowiem na parę miesięcy wyjechać z Petersburga do Odessy i Krymu, dla zdrowia, ale zarazem oddano obu pod ścisłą straż policyi. Po skończonem przedstawieniu wyszliśmy razem, a Mickiewicz czekał na nas w przedsionku teatralnym. — Nie mogliśmy iść ani do nich, ani do mnie, korzystając więc z pięknej księżycowej nocy, udaliśmy się na brzeg morza, gdzie dziś jest wspaniały bulwar, a wówczas jeszcze pełno było gruzów i śmiecia, i tu parę godzin przespacerowaliśmy razem. Teraz opowiedzieli mi, jak komisya śledcza wileńska znalazła gdzieś, niebacznie schowaną, dawną listę członków Towarzystwa Promienistych, gdzie oczywiście moje nazwisko figurowało. Już to jedno było dostatecznem, aby mnie w poczet mocno podejrzanych zapisać. Nadto, przy rewizyi zrobionej u Zana, zabrano z papierami zeszyt ulotnych jego poezyj, pod tytułem: *Godziny życia mojego*, a na pierwszej karcie dedykacyę: „Karolowi Kaczkowskiemu, przyjacielowi memu, w darze“. Zan, przy indagacyi, przyznał się do przewodnictwa w Towarzystwie Filaretów przez siebie założonem, chcąc w ten sposób całą odpowiedzialność ściągnąć na siebie; uznawał też za członków owego stowarzyszenia tych, którzy rozprawami przez komisyę znalezionemi, lub własnem zeznaniem, stwierdzili uczestnictwo swe w tej sprawie, ale zataił wszystkich innych, aby jak najmniej było ofiar. Mając w ręku dedykacyę

ową, zapytała go zaraz komisya: „Dla czego w liczbie Filaretów nie wymienia Kaczkowskiego, gdy samo ofiarowanie mu jego poezyi, świadczy o ścisłym między nimi stosunku?“ — Zan odpowiedział: „Komuż przyzwoiciej mogłem ofiarować *Godziny życia mojego*, jeśli nie temu, który mi życie wrócił, wydźwignąwszy mnie z śmiertelnej choroby? Ale z tego jeszcze wnioskować nie można, aby Kaczkowski był członkiem Towarzystwa. Życzyłem sobie tego, ale jego nieobecność w Wilnie nie pozwoliła mi nawet zrobić mu tej propozycyi“. Tłómaczenie to nie zaspokoiłoby komisyi, ale wiele mogący podówczas Pelikan uważał sobie za punkt honoru osłaniać wszystkich uczniów medycyny, a więc i ja, jako lekarz, bezwiednie doznałem jego względów. Zresztą nikt inny z uwięzionych o mnie nie wspomniał, skończyło się więc na tem, że komisya w braku dowodów zostawiła mnie tylko pod zarzutem i oddała pod dozór policyi, o czem dotychczas nawet nie wiedziałem.

Mickiewicz z Malewskim przesiedzieli miesiąc prawie w Odessie, a drugi miesiąc podróżowali po Krymie pod osłoną i opieką generała Witta. Widzieliśmy się jeszcze razy kilka, najczęściej ukradkiem, bojac się abyśmy sobie wzajemnie biedy nie narobili, albo też znowu w licznem towarzystwie, w domach wspólnie nam znanych. Mickiewicza znalazłem wówczas bardzo zmienionym. Ostry klimat Petersburga nie służył mu. Bole reumatyzmowo-nerwowe dokuczały mu na całem ciele; twarz, niedawno mająca rumieńce, zmieniła się na śniadą, zżółkłą, zwiędłą, jakby wysuszoną; wpadał często w zamyślania się głę-

bokie, chorowite, ekstatyczne, a do tego tak ciężki smutek wciąż go ugniatał, że zaledwie chwilowy uśmiech przelatywał mu czasem po ustach. Ożywiał się tylko nadzwyczajnie, rozżarzał, rozpłomieniał przy wdziękach płci nadobnej i przy harmonii muzycznej, ale potem w tem głębsze wpadał obezwładnienie. Radziłem mu wyjazd za granicę. do ciepłego klimatu. bez czego nigdyby był do równowagi w organiźmie swym nie doszedł. Cóż kiedy z Krymu musiał napowrót do Petersburga wracać.

W tymże czasie bawił w Odessie słynny Puszkin. Zetknęły się ze sobą te dwa słowiańskie orły. Czarny, szerokiemi i silnemi skrzydły bił po górach Kaukazu i Uralu; całą piersią śpiewał, daleko zapuszczał bystre oko, swobodnie oddychał powietrzem i lśnił się pogodą i weselem. Nasz zaś biały, z nastraszonemi siedział pióry, bo je burza rozwiała; z przytłoczonych jego piersi tęskne wyrywały się pienia, a łzawe oko wciąż patrzało ku Litwie, której już podobno nie miał ujrzeć więcej. Widać było, że to wygnaniec — niewolnik.

Mickiewicz i Puszkin szanowali się wzajem; czuli dobrze, że świta im jutrzenka sławy do której ich zawiedzie nowa droga, jaką obrali. Puszkin oryginalną miał fizyognomię: rysy twarzy murzyna, włosy nawet na głowie czarno-hebanowe i kręcące się. — Wzrostu był średniego, ruchawy i wesoły. Spotykałem go czasem w towarzystwie. — Opowiadano wtedy o nim i o Mickiewiczu następną anegdotkę, świadczącą o przytomności umysłu tego ostatniego. Szedł Puszkin

ulicą, naraz ujrzał szybko idących naprzeciwko Mickiewicza z Malewskim, żywą zajętych rozmową; równając się z nimi i chcąc ich zatrzymać woła: „*Stoj dwojka, as idiot!*“ Na co Mickiewicz, nie zatrzymując się wcale, bo mu było pilno, miał odpowiedzieć: „*Kozyrnaja dwojka asa bijot!*“

IV.

Było we zwyczaju w Wilnie, że każda rozprawa łacińska, zanim poszła do druku, przechodziła wprzód przez czyszczący ogień sławnego filologa Grodka, profesora literatury łacińskiej i greckiej, który gdy ją przejrzał i wygładził, rozprawa mogła już śmiało cały świat uczony obiegać. I ja więc, stosując się do tego, gdy przyszła kolej na moją doktoryzacyjną rozprawę, ruszyłem do Grodka ze zwitkiem papierów i z niemałym zapasem filologicznych błędów. Profesor przyjął mnie uprzejmie, a ja znów nie wiele robiłem ceremonij, bo położywszy na stoliku dziesięć dukatów, prosiłem o wyznaczenie godzin, w których pracą zająć się mamy. Było to w niemieckim duchu: nagroda i określenie czasu; podobało się mu zatem i zaraz w pewną weszliśmy zażyłość. Poprowadził mnie do swego salonu, dwom córkom przedstawił, a następnie, przeszedłszy do biblioteki, ułożyliśmy cały program naszego zajęcia. Codzień z rana od 10tej do 11tej mieliśmy

razem u niego pracować i przez dni dziesięć wszystko ukończyć. Tak się też i stało.

Grodek z zadziwienia godną sumiennością spełniał swe zobowiązanie. Czytaliśmy najściślej wiersz po wierszu, powtarzając nieraz peryod jeden po kilkakrotnie. Rozprawę moją znalazł należycie wypracowaną, nawet pod względem łaciny. Cieszył się i uśmiechał, jak dziecię, gdy natrafił na frazes jaki dobitnie i w porę położony, z upodobaniem przysłuchiwał się mu, a pomimo tak głębokiej znajomości łaciny nieraz jeszcze niedowierzał sobie i chciwie przewracał Tacyta, Salustyusza, Kwintyliana, Cycerona i innych klasyków, aby sprawdzić, czy poprawiając od ducha języka nieodstąpił. Zdaje mi się, że tylko Niemiec potrafi być tak sumiennym filologiem.

Dziesięć dni, a więc dziesięć sesyj, wystarczyło na ogładzenie rozprawy mojej — ale na tem nie skończyły się moje wizyty u profesora. Grodek polubił mnie i chciał, abym do niego w tych samych godzinach i nadal przychodził. Potrzebował stary wygadać się przed kim, mnie zaś pochlebiało, że uczony profesor na fajeczkę i pogakankę zapraszał; zachodziłem więc do niego, jeśli nie codzień, to parę razy w tygodniu. Rozpowiadał mi o swoich pracach, planach, rad był mówić oPo dolu, gdzie przebywał czas jakiś w domu Bernatowiczów w Jaśkowcach, jako spokrewniony z nimi przez żonę, a najwięcej rozprawiał o Wileńskim Uniwersytecie, o ciągłych zatargach ze Śniadeckimi,

których nie cierpiał, o ich jakoby szkodliwym wpływie na oświatę, co szczególniej stosował do nienawistnego sobie Jana, o którym bez uniesienia nigdy wspomnieć niemógł.

Razu jednego, gdym z Grodkiem siedział przy oknie, a on mi właśnie coś o Śniadeckich prawił, zerwał się nagle i chwyciwszy mnie za rękę, począł chrapliwie krzyczeć:

— Patrz, patrz, ot tam idzie ten mały, ten krzykacz, ten brutal, ten niegodziwiec, który chce zdeptać wszystkie rozumy, aby ze swem głupstwem mógł jaśnieć.

Wyglądam i widzę Jana Śniadeckiego, jak obwinięty w sobolowe futerko, szybko przez podwórze Uniwersytetu biegnie do miasta. Przykro mi było słuchać przezwisk tak prostych i tak płaskich, jakie uczony uczonemu dawał, zwłaszcza, że się stosowały do tak zasłużonego ze wszech miar męża. Wolałem jednak zmilczeć, bo wszelka opozycya większą tylko namiętność w Grodku obudzała.

— Otóż słuchaj mój kochanku, — mówił dalej z gniewem, buchając kłębami dymu i usta straszliwie na bok wykrzywiając, słuchaj, ten malec, ten krzykacz (Grodek także był małego wzrostu i wcale nie cicho opowiadał swe sprawy), ten awanturnik, co po gwiazdach szuka, czy jakiego Śniadeckiego tam nie znajdzie, bo ziemia dla nich za szczupła, chciał, będąc rektorem, literaturę wszystkich języków, a nawet grecką i łacińską, z Uniwersytetu wypędzić; chciał zdeptać

filozofię dla tego, że sam Kanta nierozumiał. Napadał na nią to na sesyach, to w pismach publicznych; szło mu o to. aby rozwinąć tylko matematykę i nauki fizyczne, bo sądził, że wtedy rachunkowy jego rozum wszyscy podziwiać będą. Zapewne, nauki te wyjaśniają prawa, którym świat mechanicznie ulega, ale czyż na tem tylko prawdziwa mądrość zależy? Czyż rozbiór mowy, zgłębianie jej, aż do ogólnych praw gramatyki powszechnej, do której wszystkie stosują się języki i z niej dopiero na różne, różnym narodom właściwe przerabiają się kształty, nie wykazuje siły rozumu ludzkiego? Kto potępia takie prace, ten prawdziwy bluźnierca, ten jest wyrodkiem szkodliwym w społeczeństwie.

Wiele a wiele wydeklamował Grodek dowodów potępiających wyłączność matematycznego kierunku, podnoszących zaś prace filologów i filozofów niemieckich, a zaprawiał je namiętnemi przeciw Śniadeckiemu wykrzyknikami. Nas młodych gorszyła ta nienawiść i nieustanna waśń tak uczonych mężów. Przybierała ona nie raz kształty najpospolitszej kłótni, która przez młodzież, chciwie wyszukującą śmieszności u starszych, z ironią i lekceważeniem powtarzaną bywała. Tak np. na jednej z sesyj rady Uniwersyteckiej, odezwał się był Jan Śniadecki z zapałem sobie właściwym:

— Panowie, mam w ręku dowody, bo pismo ministra, że jest między nami jakaś

żaba, jakaś jaszczurka, co nas przed nim plugawi, co na nas jadem pryska.

Na to zrywa się nagle Grodek i w najwyższem uniesieniu woła:

— To ty sam żaba, ty sam jaszczurka, bo nas ciągle przed ministrem czernisz.

Musiał się wdać pomiędzy zajątrzonych rektor Malewski, aby sesyę na przyzwoitszą zwrócić drogę.

Takie sceny powtarzały się nieraz i były przedmiotem ogólnych gawęd między młodzieżą i w mieście.

Grodek był wzrostu małego, chudy, twarzy podłużnej, bladożółtawej, pomarszczonej. Głowę miał wielką, łysą, siwą, między podniesionemi ramionami osadzoną. Gdy dodamy de tego spory garb z tyłu, usta krzywe, zęby duże, nos potężny, ukaże się nam cała jego figura arcy-niepowabna, ale głęboko uczona. Gruntowna znajomość wielu języków była specyalnością Grodka. Po polsku starał się mówić wykwintnie, ale go niemiecka wymowa wciąż zdradzała i tej nigdy pozbyć się nie mógł. Uwielbiał nasz język, jego siłę i bogactwo i chciał go mieć jeszcze dobitniejszym, co nawet do śmieszności posuwał. I tak, gniewał się na wyraz złodziej, że oznacza osobę czynną w kradzieży, kiedy raczej powinienby być mianem każdego źle czyniącego, i chciał go zastąpić wyrazem kradziej. To znów, tłómacząc Wirgiliusza z katedry po polsku, w miejscu, gdzie jest mowa, jak troski w ślad idą za

człowiekiem, gdziekolwiek się obróci, Grodek uważał, że wyraz troska niedostatecznie oddaje łacińskie znaczenie *cura sequitur hominem.*

— Nie moi panowie, wołał na prelekcyi, co *cura* to nie troska, co *cura* to nie męka, co *cura* to nie klęska, co *cura* to nie bieda. Inny zupełnie duch tego wielkiego wyrazu *cura.* Lepiejby było przyswoić go sobie w jego łacińskiem brzmieniu, niż źle i niedokładnie zastępować innym choć własnym. Lepiej więc powiedzieć: człowiek na morze, *cura* za nim, człowiek na ląd, *cura* za nim.

Ale to były drobne śmieszności, które na włos zasługom i uczoności Grodka ujmy nie czyniły. Wizyty moje u niego powtarzały się chronicznie; wciąż mnie zapraszał i gniewał się, gdym długo nie przychodził. W rozmowach dotykaliśmy przeróżnych kwestyj; domyśliłem się z nich, że wiedział o istnieniu Promienistych. Łączność młodzieży w pracy, jako nowe zjawisko w uniwersytecie, uderzyła go; bardzo pochwalał źródło, skąd początek wzięła i do wytrwałości zachęcał. Gdy tak we wspólnych pogadankach wolne spędzaliśmy chwile, razu jednego, przybrawszy solenną i poważną minę, rzekł do mnie uroczyście Grodek:

— Mój kochanku, mam ci jedną rzecz bardzo ważną do zaproponowania, ale wymagam prawdy i stanowczej, szczerej odpowiedzi, bez żadnego względu na moją osobę.

W tej chwili, lotem błyskawicy, przemknęła mi po głowie myśl, że profesor chce mnie swatać z jedną ze swych córek. Struchlałem, zimny pot wystąpił mi na czoło. Miał ich dwie, a że piękniejsza, jak mówiono, kochała się w rotmistrzu Pinablu i już z nim była zaręczoną, pomyślałem więc, że chyba drugą mi przeznaczał. Ta zaś podobna do papy, jak dwie krople wody, z dodatkiem ospy, co ją szkaradnie naznaczyła, pod żadnym względem nęcić mnie nie mogła. Siedziałem jak delikwent oczekujący wyroku śmierci. Grodek tymczasem, przeszedł się parę razy po pokoju, w głębokiem zamyśleniu i stanąwszy przedemną, tak prawić począł:

— Chcę, żebyś został Franmasonem. Dla mego Towarzystwa dobry zrobię nabytek, bo mu dam głowę, chcącą się uczyć i doskonalić, a zarazem serce rwące się do dobrych i szlachetnych celów. Tobie zaś, mój kochanku, otworzę świat szeroki, po którym nie będziesz chodził jak błędny, ale wszędzie znajdziesz brata, który cię podtrzyma i dopomoże. Będziesz miał w ten sposób pamiątkę serdecznej dla ciebie życzliwości od starego przyjaciela. Mów więc otwarcie, chcesz czy nie? Musisz mieć jakieś bezwzględne przekonanie, jakiś sąd o tem Towarzystwie, podług tego działaj. Otwartość nikogo nie obraża.

Odetchnąłem. Krew spokojniej we mnie krążyć poczęła. Niebezpieczeństwo, któregom

się lękał nie nadeszło. Wesoło tedy przyjąłem zrobioną mi propozycyę, i powiedziałem, że choć nie mam dobrze sformułowanego pojęcia o wolnem mularstwie, skoro jednak tak zacni ludzie, jak szanowny profesor należą do niego, jest to już dla mnie dostateczną rękojmią uczciwych jego celów, do urzeczywistnienia których, w miarę możności, gotów jestem z mej strony się przyłączyć. Podał mi rękę Grodek i kościstemi palcami silniej niż kiedykolwiek uścisnąwszy, wyrzekł poważnie:

— Miły mój bracie, tak cię już nazywam, bo cię za takiego przyjmujemy, wejdziesz w ogniwa łańcucha, cały świat opasującego. Każda twa czynność, zła czy dobra, policzona ci będzie. Wszyscy bracia pilnują się nawzajem, ażeby im nikt, nigdy i nigdzie, nic zarzucić nie mógł. W złych więc skłonnościach poprawiać się musimy, a dobre zalety, jakiemi Bóg kogo obdarzył, w jedną masę dla ludzkości zlewamy. To przekonanie i te obowiązki głęboko są wpojone w serca wszystkich braci; jest to podstawa wielkiej świątyni do której wejdziesz. Ale, mój bracie, żeby wejść do niej, nie dość mego przedstawienia, trzeba na to woli większej części braci, a wola ta wyniknie dopiero po głębokim zbadaniu twego życia, twych postępków, twych myśli nawet, inaczej sąd o tobie mógłby być fałszywym. Jeden z nas poda ciebie za kandydata, wypiszą nazwisko twe na tablicy, dla ogólnej wiadomości. Każdy

z braci obowiązany jest przez cały miesiąc dopytywać się i śledzić u wszystkich źródeł, jakim byłeś, jakim jesteś i czem być możesz. Nastąpi ścisły przegląd wszystkich twych czynności i po czterech niedzielach cichemi wotami o tobie zawyrokują, czy możesz być naszym. O ile znam ciebie, miły bracie, pewny prawie jestem, że zostaniesz przyjętym. A jeśliby inaczej się stało, znaczyć będzie, że chcą jeszcze w czemś twojej poprawy. Wtedy wniknij w siebie ściślej, spotkasz się z wadą jakąś, przełam ją — a przyjdzie do ciebie wówczas jeden z braci i powie: „Już pora, abym cię wśród nas do naszej wprowadził świątyni.“ Nastąpi to w chwili i w miejscu, kiedy się najmniej tego spodziewać będziesz. Od zapisania cię na tablicy, będziesz pod ciągłą strażą braci; kto cię poda na kandydata, dowiesz się później od tego, kto ci imieniem mojem powie, że przyjęty jesteś do naszej loży i że w niej przejść masz przez próby, statutem nakazane. A teraz, skończył Grodek, bądź zdrów, przestaniesz nawet bywać u mnie, dopóki się ta rzecz nie rozstrzygnie.

Wyszedłem od Grodka rozmarzony, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego co zaszło. Tajemniczość wolnego mularstwa, przyznaję, zaciekawiała mnie bardzo, rad byłem dotknąć się bliżej tego stowarzyszenia, o którem tak różne, a wręcz sobie przeciwne kursowały zdania; ale z drugiej strony, pytałem sam siebie: po co mi nowe zaciągać

obowiązki których doniosłości nie znam, po co krępować siebie przepisami i formami, może rozumnie obmyślanemi, w każdym jednak razie dziwacznemi i ściągającemi na siebie uwagę powszechną? Wszak jeśli idzie o to, aby się stać pożytecznym dla społeczeństwa i dla jego dobra czas swój, wiedzę i zdolności poświęcić, każdy posiada w sobie dostateczny zapas energii i woli, aby prostą drogą i otwarcie do tego celu zdążać. Cóżkolwiekbądź refleksye te były po niewczasie — słowo się dało, a konsekwencye jego same z siebie wypływać musiały.

Minęło kilka tygodni. Zajęty przygotowaniami do bronienia rozprawy mojej, zapomniałem zupełnie o Grodku i o jego obietnicy, gdy pewnego wieczora przyjeżdża do mnie jeden z dobrych moich znajomych i żąda, abym się natychmiast przebrał w czarne suknie, bo jestem przyjęty do loży masońskiej i on właśnie otrzymał polecenie wprowadzić mnie tam bez zwłoki. Sądziłem zrazu, że żartuje. Okazanie kartki ręką Grodka pisanej, przekonało mnie, że się mylę. W półgodziny byliśmy już u wrót tego przybytku. W drodze towarzysz uprzedził mnie, iż będę musiał przechodzić przez różne próby regulaminem przepisane, że jest to formalność, której każdy ulega, że Grodek chciał mnie od niej zwolnić ale się inni członkowie stowarzyszenia oparli, aby niewprowadzać innowacij i nie naruszać karności.

Po obszernych, dobrze oświetlonych schodach, weszliśmy na pierwsze piętro. W przedsionku zdjęto z nas futra i przewodnik podszedłszy pod główne drzwi, trzykrotnie w nie zapukał.

— Kto tam, zapytano ze środka.

— Nowy uczeń, chcący wejść do świątyni Salomona, odrzekł przewodnik.

— Niech się wprzód skupi w duchu i dobrze namyśli — była odpowiedź.

Skupienie to miało nastąpić w małym pokoiku, do którego mnie wnet wprowadzono i na klucz zamknięto. Ledwo tlejąca lampka rzucała mdłe światełko w około siebie, pozostawiając resztę pokoju w grubym półcieniu. Potrzebowałem parę chwil, aby się oko z tą ciemnością ozwyczaiło; wtedy dopiero spostrzegłem prosty dębowy stolik po środku, koło niego takież krzesełko, na ścianach napisy łacińskie z pisma świętego, a w kącie duży szkielet ludzki, nad którym wyczytałem: *memento mori*. Podszedłem do niego, jak do starego znajomego i zacząłem mu się z anatomiczną przyglądać ciekawością. Trwało to czas jakiś, gdy obrót klucza w zamku zwrócił uwagę moją w inną stronę. Jakaś figura zamaskowana, z puginałem w ręku, weszła do pokoju, a zatrzymawszy się na środku, zapytała mnie stanowczo, czy nie zachwiałem się w mem postanowieniu?

— Jeszcze pora się cofnąć, dodała, później zbiegostwo śmiercią się przypłaca.

Odpowiedziałem, że trwam zawsze w pierwotnym zamiarze.

— W takim razie, rzekła, masz tu trzy pytania, odpowiesz na nie zaraz na piśmie z całą otwartością.

Po głosie zdawało mi się, iż mam przed sobą znajomego, przywitałem więc go po nazwisku.

— Ty mnie jako brata nie znasz, odparł szybko, milcz więc, póki nie zostaniesz bratem, taka jest reguła naszego towarzystwa. — Położył na stole papier z pytaniami i wyszedł.

Po chwili rozsunęło się ukryte w ścianie okienko i jakaś ręka podała mi arkusz papieru, kałamarz i pióro. Tajemniczość, te formy dziwne, wszy-tko to zainteresowało mnie bardzo i poczęło wzbudzać coraz większą ciekawość.

Pytania były następujące: 1) Coś słyszał o naszem Towarzystwie wolnych mularzy i o jego celach? 2) Dla czego chcesz wejść do niego, czy nie dla własnego interesu? 3) Jak myślisz rozrządzić osobą swą i mieniem, jeśli go posiadasz? — a u dołu *post-scriptum*: „Najsumienniejszej wymagamy prawdy, własnym podpisem stwierdzonej“. Po krótkim namyśle tak odpowiedziałem: 1) Słyszałem, że wolne mularstwo jest stowarzyszeniem osób prawych i dobroczynnych, że w szczególne i dziwaczne obleka się formy, którym fantazya ludzka, większą jeszcze niż być musi w istocie, przypisuje nadzwy-

czajność, że wreszcie wiadome sprawy jego zasługują ze wszech miar na ogólne uznanie. Są wprawdzie i tacy, co mu zarzucają bezbożne i antyreligijne dążenia, ale to pochodzić może z tego, że dalsze ukryte przed publicznością cele Towarzystwa, nie mogą być należycie przez nią ocenione. 2) Podzielając pierwsze z tych przekonań, pragnę zespolić się z ludźmi, którzy życie swoje dla dobra ogólnego poświęcają. Mam nadzieję wśród nich znaleść przykład i podnietę do stania się coraz lepszym i pożyteczniejszym. Jeśli więc można nazwać to własnym interesem, ten mam największy. Powołanie zaś moje i ufność w me własne siły, służyć mogą za rękojmię, iż ciężarem nikomu nie będę. 3) Obecnie nic nie posiadam, osobą więc tylko moją rozporządzać mogę i tę oddaję na pracę, trudy i poświęcenia dla celów skierowanych ku moralności i ogólnemu dobru. — Podpisałem się.

Niebawem pokazała się znów ręka w tajemniczem okienku, której oddałem pismo moje wraz z zapytaniami, a w kwandrans wszedł mój przewodnik i zabrał mnie ze sobą.

— Przejdziesz teraz, rzecze, przez próby. Mistrz kazał mieć wzgląd na ciebie, nie będziesz ich odbywał w zimnej, nieopalonej sali, ale wśród nas wszystkich. Twoja odpowiedź podobała się, chciano nawet uwolnić ciebie od innych formalności, ale ścisłość reguł nie pozwala na to.

Zawiązał mi oczy szeroką i gęstą

chustką i po trzykrotnem zapukaniu do drzwi głównych, wziąwszy mnie pod ramię wprowadził do ogrzanego pokoju, pełnego gwaru. Gdyśmy przekroczyli próg świątyni masońskiej, uczułem, że mię ktoś pod drugie wziął ramię i usłyszałem jakby zdala, dobrze mi znany głos Grodka:

— Niech się teraz odbędą próby krwi, ognia, wody i miecza.

Jak się one odbywały, naprawdę ściśle określić nie mogę, mając przez cały ten czas zawiązane oczy, to wiem tylko, iż oprowadzano mnie na około sali, że w tej podróży uderzałem o jakieś zawady, że mi nagle rażące światło zabłysnęło, to znów lała się po mojej twarzy woda, a nademną brzęczały jakieś zbroje. Przewodnik mój przy każdej próbie, tłómaczył mi alegoryczne jej znaczenie, na sile woli, na harcie duszy oparte. Przyznam się, iż przy zawiązanych oczach, wszystko to dość fantastycznie się wydawało i przybierało jakieś olbrzymie kształty. Nareszcie rozległ się dźwięczny śpiew psalmowy, przy wtórze fortepianu, a smętne echo jego, odbijające się od wysokiego sklepienia sali, nadawało mu dziwnie czarujący powab.

Gdy mi zdjęto z oczu zasłonę, ujrzałem się naraz w obszernym, dobrze oświeconym pokoju; w odległości przedemną, na podwyższeniu o kilku stopniach, siedział mój szanowny Grodek, przyodziany w różne insygnia dygnitarstwa swego, a koło mnie

stało kilkadziesiąt, różnego wieku i stanu osób. Wśród nich, z podziwieniem, spostrzegałem znajomych, to znów wybitnych w świecie godnością, nauką lub majątkiem, a również kupców i rzemieślników, wszystkich używających opinii zacnych i uczciwych ludzi. Z podziwieniem, mówię, oglądałem się w około, bo świat inną a najfałszywszą przyjąwszy klasyfikacyę, nie przypuszcza takiej towarzyskiej w jednym salonie, mięszaniny. Podobało mi się to bardzo. Uczułem iż jestem wśród garstki ludzi, co prawo boskie w swej pierwszej świętości i czystości zachowywać pragną, co osobistą, wewnętrzną wartość człowieka stawią po nad wszelkie przesądy i urojenia społeczne. Takie przynajmniej zrobiło to na mnie pierwsze wrażenie.

Nie mogłem dłużej snuć mych spostrzeżeń. Mistrz, a był nim Grodek, kazał mi przystąpić do siebie. Gdym stanął przed nim na podniesieniu, tak się do mnie odezwał:

— Cieszymy się z twego do nas przybycia. Ale nie dość twej dobrej woli, abyś szedł jedną z nami nadal drogą, ściślejszego potrzeba między nami węzła, a tym będzie przysięga, którą zaraz złożysz.

Jeden z braci podszedł do mnie i przeczytał mi jej rotę. Zobowiązywała ona do wszystkich czynności jakich dobro ludzkości wymaga, z zaparciem się własnego interesu, i do sekretu, tak pod względem osób należących do towarzystwa, jako też jego spe-

cyalnych zadań i celów. Podpisałem ją. Wtedy mistrz powstał i przypiąwszy mi krzyż bronzowy na piersiach i dawszy w ręce biały irchowy fartuszek i parę białych irchowych rękawiczek, ucałował mnie po dwakroć, i tak przemówił:

— Jesteś już naszym bratem i w pierwszym stopniu, czyli uczniem w wielkiej świątyni Salomona. Wiele masz jeszcze przed sobą innych stopni, a te nabywają się ciągłą pracą i nieustannym postępem w sprawie ludzkości. Obeznają cię dziś z symbolami odpowiadającemi twemu stanowisku w towarzystwie, czas i wytrwałość odkryją ci resztę. Czuwaj nad sobą, bracie, bo i my cię z oka nie spuścimy. Masz oto jeszcze parę żeńskich białych rękawiczek, oddasz je kiedyś wybranej przez siebie kobiecie, która, dzieląc z tobą uczucia serca i zupełnego zaufania, niech wszakże nie podziela tajemnic, jakie towarzystwo w sobie zawrzeć postanawia. A teraz, całując mnie znowu, dodał, — idź bracie do świątyni Salomona — oby Bóg dobry czuwał nad tobą i wspierał najlepsze nasze chęci!

Przyszła wtedy kolej na brata mówcę. Ten, wziąwszy mnie za rękę, odprowadził na bok, gdzie leżał duży kobierzec, robotą gobelinową w różne wizerunki strojny. Na nim, laseczką wskazał mi naprzód po środku jasnemi barwy wyhaftowaną świątynię, jako przybytek mądrości, w którym odtąd wspólnie pracować mamy. Dalej po

rogach wyszyte: kielnię, węgielnicę, grund wagę, sznurwagę i wiele innych drobiazgów. Tłómaczył mi on te symbola przez alegoryczne porównania, jak rozważnie trzeba w życiu postępować, jak budowa towarzyska potrzebuje węgielnicy, aby z założonego kształtu nie wyszła, jak mularz. z kielnią tylko w ręku wiele nią przyczynić się może do silnej budowy tego, co mędrsi zakładają, a lepsi majstrowie podnoszą i t. p.

Potem przyjęli mnie inni bracia wśród siebie, to uściśnieniem ręki, to pocałunkiem. Brat kasyer odczytał rachunki przychodu i rozchodu. Pierwszy składał się z danin i ofiar bratnich, a drugi mieścił w sobie rubrykę szpitali, pomocy podupadłym braciom, wdowom ich i sierotom. Nareszcie, przyjął odemnie rubli 15cie do kasy towarzystwa i rozeszliśmy się o godzinie 10ej.

Byłem jeszcze raz jeden na sesyi, a raz na braterskiej uczcie. Opuściwszy wkrótce Wilno i częstsze z towarzystwem stosunki ustać musiały. W parę lat potem rozwiązało się ono. Rząd zmienił swe przyjazne dla niego usposobienia i z woli cesarza Aleksandra postanowił zwinąć wszystkie loże masońskie w państwie istniejące. Kazano nam wówczas składać podpisy, iż nadal żaden do towarzystwa tego należeć nie będzie. W podróżach zaś moich za granicą, nigdziem w bliższe z masonami nie wszedł stosunki, słyszałem tylko, iż tam ulegali oni podówczas jakiemuś przeistoczeniu, że kilku śmiałych

reformatorów rozsyłało w tym celu misye w różne strony, z namowami i przekonywaniami o potrzebie przekształcenia towarzystwa. Czy zaś takowe nastąpiło i w jaki sposób, nic zgoła nie wiem.

Zapewne, powierzchowniem się tylko do tej sprawy dotknął, w głąb jej nie zajrzałem, nie mogę więc mieć wyczerpującego o niej sądu. Com widział, usunąwszy na bok dziwaczne formy, podobało mi się, zbudowało nawet; dobroczynność, postęp ludzkości, praca około dobra publicznego, oto są zadania, jakie mi na wstępie odkryto. Któż ich sercem całem nie będzie podzielał? Ależ w takim razie, pytałem i pytam siebie jeszcze, na cóż sekret i tak ścisła tajemniczość, jeśli się jedynie te cele ma na widoku?

V.

Przyszła nareszcie pora na moją doktoryzacyę, wyznaczono mi ją wspólnie z kolegą Czermińskim. Ponieważ szło w tym razie o honor doktoryzującego się, aby ten ostatni naukowy obrzęd jego odbył się o ile można uroczyście i ludno, zapraszałem nań moich profesorów, prywatnych doktorów i znajomych, domagałem się, aby wszystkie 10 tez rozebrano do opozycyi, a nadto, wedle zwyczaju, wielkie afisze po rogach ulic poprzylepiane, ogłosiły publiczności, że Karol Kaczkowski, magister medycyny, będzie bronił rozprawy swej dnia 22go Stycznia roku

1821, o godzinie 11ej przed południem, dla osiągnienia stopnia doktora. Już się zaczęto zbierać, już większa połowa sali była napełnioną, a krzesła oponentów, stały wciąż próżne. Wyczekiwanie to wydało się wszystkim za długie, poszedłem więc do kancelaryi uniwersyteckiej, gdzie się zawsze uprzednio profesorowie zbierali dla przywdziania ceremonialnego stroju, zobaczyć co się też tam dzieje.

Zastałem ich tam wszystkich, ale strasznie zaperzonych, głośno dysputujących, słowem w żwawej kłótni. Za mojem ukazaniem się ucichli wprawdzie, ale Frank w uniesieniu począł ściągać togę i rzuciwszy ją na krzesło, z temi słowy obrócił się do mnie:

— Podziękuj pan tym panom — wskazując na Mianowskiego i Pelikana — że ja na twej doktoryzacyi być nie mogą. Zresztą chory jestem, dodał wychodząc spiesznie.

Zmięszałem się okropnie, raz żem trafił ną scenę, której wolałbym był nie widzieć, a następnie, żem tracił najważniejszego oponenta. Pelikan zauważył to, i upewnił mnie, że doktoryzacya swoim pójdzie porządkiem, że tezę o kurpie on bierze na siebie, a Mianowski, ówczesny dziekan, z sarkastycznym uśmiechem zakończył:

— Trudnoż go było i niebezpiecznie za poły trzymać, kiedy się na brzuch rozchorował.

Wróciłem do sali, czyli tak zwanej auli akademickiej, w której wszystkie publiczne

odbywały się obrzędy. Natłok publiczności coraz był większy, samo opóźnienie pozwalało się jej nagromadzić, był bowiem zwyczaj, że skoro profesorowie zasiądą i zaczną się rozprawy, już Szwajcar nie wpuszczał nikogo. Sala wyglądała wspaniale. Na stopniowej estradzie stały dwa krzesła dla dwóch doktoryzujących się, to jest, dla Czermińskiego i dla mnie. Przed nami stolik, suknem nakryty, na którym leżały w stosach ułożone rozprawy nasze, koledzy rozdawali je gościom. Na samym przodzie, nieco z boku, fotele dla profesorów, a dalej krzesła i ławki dla publiczności, zapełnione tak, że ani jednego wolnego nie było miejsca.

Otworzono na oścież drzwi główne, Czermiński i ja weszliśmy na estradę, dano znać, że nadciąga szereg profesorów.

Wszedł naprzód sekretarz rady uniwersyteckiej, trzymając w ręku berło akademickie w kształcie srebrno-złotej buławy z pogonią na wierzchu; za nim najmłodszy z profesorów Homolicki, dalej Pelikan, Wolfgang, Bojanus, Becu, Szpicnagel, a na końcu dziekan Mianowski. Wszyscy byli ubrani w paradne togi, długie i szerokie, z lekkiej wełnianej materyi ponsowego koloru, na niej mieli tak zwane mucety, nakładające się przez głowę, z ponsowego aksamitu z czterema szerokiemi pasami złotego galonu, na piersiach ukośnie przyszytemi i każdy trzymał w ręku biret, również z ponsowego aksamitu. Zasiedli swe miejsca w tym po-

rządku jak wchodzili, dziekan tylko siadł na ozdobniejszem krześle, nieco oddalonem. Wtedy, na stole nakrytym ponsowym aksamitem, a stojącym obok dziekana, urzędnik uniwersytecki ustawił krucyfiks i ewangelię, dwa mucety, dwa birety, dwie grube książki, dwa sygnety i po kilka egzemplarzy naszych rozpraw. Gdy się to już skończyło, złożył sekretarz berło i odczytał głośno naprzód afisz Czermińskiego, poczem dziekan odezwał się po łacinie:

— Każdy z panów profesorów lub z panów doktorów jakiegokolwiek wydziału, ma prawo oponować panu magistrowi, tak co do rozprawy, jako też i co do tez do niej dołączonych. Raczcie więc zaczynać.

Wszczęta dyskusya szła gładko. Pytania i odpowiedzi szybko następowały po sobie; nie pamiętam jednak o co w nich chodziło, tak byłem oddany cały skupieniu myśli ku obronie mej własnej dysertacyi. Głos sekretarza, który moje nazwisko z afisza przeczytał, wyrwał mnie dopiero z tego stanu. Homolicki, Pelikan, Mianowski i adjunkt Franka, Wróblewski, byli mymi oponentami. Broniłem się śmiało, przytomnie i dokładnie; czułem to sam i wszyscy mi to później przyznawali. Wynikało to stąd może, iż nie pierwszy raz przed licznie zebraną publicznością występowałem. Czacki nas z tem oswoił. Dobroczynne skutki takiego oswojenia zbierają się potem z pożytkiem. Młodzieniec obyty z ludzkiem okiem co nań ciekawie pa-

trzy, przyzwyczaja się do niego, staje się bacznym, przytomnym i umiejącym sobie radzić.

Po ukończonej obronie zapytał dziekan profesorów, czy obu magistrów znajdują być godnymi stopnia doktora. Każdy z nich odpowiedział: *libenter sentio*, chętnie się zgadzam. Wtedy powstał on razem z profesorami, a przyzwawszy nas, abyśmy się doń zbliżyli, w te odezwał się słowa:

— Uznani jesteście oba za godnych zaszczytu doktora medycyny. Szczegółową przysięgę złożycie później, a teraz na tę św. ewangelię i przy tym św. krucyfiksie przysięgnijcie, że będziecie bogobojnie, moralnie i szlachetnie wasze spełniać powołanie.

Odpowiedzieliśmy: przysięgamy. Dał nam dziekan ewangelię i krzyż do pocałowania.

— Przyjmijcież — mówił dalej — oznaki dostojeństwa, na jakie przez pracę i naukę zasłużyliście. Weźcie te sygnety, jako znak godności nowej. Włożył nam je na wskazujące palce. Pochodziły one z funduszu zrobionego jeszcze przez króla Stefana Batorego, a który służył wyłącznie na to, aby doktoryzujących się obdarzać złotym pierścieniem z dużym ametystem.

— Przywdziejcie te mucety, na znak powagi, do jakiej nowa ta godność daje wam prawo. — Włożono je na nas.

— Weźcie te księgi, jako oznakę pracy,

tak przeszłej, jak i tej, co was czeka.—Dano nam w ręce po jakimeś dużym woluminie.

— Kładę też na głowy wasze birety, niech oznaczają mądrość, o którą zawsze starać się powinniście. — Włożył nam je.

— Gdy więc — dodał — wy, magistrowie, zasłużyliście na wysoki stopień doktora i otrzymaliście go dzisiaj, miło nam, profesorom waszym i doktorom, przyjąć was w pośród siebie, na znak czego odbierzcie od nas ten pocałunek bratni. Pocałował nas w oba policzki naprzód dziekan a potem każdy z profesorów.

Po skończonej ceremonii wyszli ordynkiem, tak jak wchodzili, oprócz sekretarza Rady uniwersyteckiej, który w auli pozostał. Publiczność otoczyła nas kołem, nastąpiły powinszowania, życzenia, uściski, aż obejrzawszy się na mego kolegę i na siebie i spostrzegłszy jak dysharmonijnie wyglądały w pół ponsowe figury nasze, przy połach czarnego fraka, poczęliśmy się rozbierać z uczonego stroju, składając go na ręce sekretarza Rady akademickiej.

Tak się cały ten obrząd, pamiętny dla mnie, odbył.

Był to ostatni dzień mojego studenckiego życia, przepędziłem więc resztę jego w gronie najściślejszych uniwersyteckich przyjaciół. Zebrało się nas do dziesięciu, poszliśmy razem na obiad do traktyerni w kapitulnej kamienicy. Nie była ona z pierwszych, ale jakoś przypadała nam do gustu przez

swą schludność, uprzejmość gospodarzy i brak zgiełku. W ustronnym pokoiku odbyła się zaimprowizowana uczta, przy Kowieńskim miodku i Szczorszewieckiem piwie, wystarczającem dla naszych skromnych przyzwyczajeń. Za to serdeczna pogadanka szła raźno, przeniosła się ona do mego mieszkania i do późnej przeciągnęła się nocy.

Gdym sam został, świeże wrażenie tylko co odbytej ceremonii, ogarnęło mnie całkiem, najdrobniejsze szczegóły jej przesuwały się w myśli i kształtowały w ukoronowanie tylu trudów, pracy i obaw, ugniatających wprzódy nielitościwie młodzieńczą miłość własną. Zaprawdę nie wiem, czy wódz po wzięciu szturmem miasta, gdy mu składają honory jako zwycięscy, szczęśliwszym i dumniejszym być mógł odemnie, w chwili gdym sam do siebie wyrzekł, a więc już jestem doktorem, już mam biret, już coś w uczonym świecie znaczę. Bezzaprzeczenia, wielki wpływ na to samo zadowolnienie, na tę wysoką cenę naukowego stopnia, wywiera uroczystość obrzędu, jaka towarzyszy nadawaniu jego. Wyróżnia go ona z rzędu zwykłych codziennych wypadków, podnosi do wysokości publicznego, interesującego społeczność całą, aktu, a przez to, jeśli sowicie wynagradza pracę i trudy jednych, innym służy za bodziec i za zachętę do nich. Doświadczywszy sam, jak wielki urok miała dla młodzieży owa ceremonia doktoryzacyi, jakiem napawała szczęściem spracowanego ucznia, nigdybym się nie

odważył niszczyć ją, owszem, dałbym zawsze mój głos za przywróceniem tego obrzędu, choćby w większej jeszcze świetności. Praktyczni Anglicy rozumieją dobrze jego wartość, skoro w dwóch słynnych swych uniwersytetach oksfordskim i kembrydskim, przechowują z taką ścisłością pierwotne ich tradycye i formy.

Nazajutrz, przyjęty zwyczaj nakazywał składać osobiście podziękowania wszystkim profesorom i dostojniejszym, obecnym przy doktoryzacyi, gościom. Tu dopiero dowiaduje się praktycznie młody doktor, iż jego świat studencki, szczupły, cichy i skromny, rozsunął się nagle w obszerną przestrzeń nowych społecznych stosunków, o jakich, przed dwudziestu czterma godzinami, zaledwie z nieśmiałością myślał. Każdy z profesorów przyjmuje go już jak kolegę, nie jak ucznia, i żegna ze wszelkiemi formami równego w świecie obywatelstwa. Co do mnie, tegoż dnia zaproszony zostałem przez Franka na obiad. Współgośćmi byli: Romer, marszałek gubernski wileński, hrabia Tyzenhaus, generał Kossakowski i śpiewak Tarquini. Wychylony toast za zdrowie nowego doktora oblekł mnie rumieńcem i kilkanaście silnych uderzeń serca wywołał. Na drugi dzień obiad u dziekana Mianowskiego, herbata u Becu, trzecie go dnia herbata u Pelikana, czwartego obiad u Wolfganga, piątego u Grodka itd. Zaledwie pojąć można tak gwałtowną przemianę społecznego stanowiska i stosunków; z razu

z nieśmiałością, ale z pewnem uczuciem rozkoszy przyjmuje się ją, a potem stopniowo oswaja się z tem i przywyka.

Tak minął tydzień na owych przyjęciach i ucztach, tymczasém patent mój na doktora medycyny nie był jeszcze gotów a wypadało mi się wynieść z klasztornego mieszkania, które zajmowałem. Mało już nas tam zostało, ja jeden z powodu doktoryzacyi najdłużej się zatrzymałem, inni pojedynczo opuszczali Wilno w dalekie udając się strony, to do Kostromskiej, to do Permskiej, to do Orenburgskiej gubernii. I mnie ten los miał spotkać, czekałem tylko jak mną minister oświaty rozrządzić zechce.

Szczerze powiem, iż opuszczając klasztorne mury serce mi się z żalu ścisnęło i zabolało. Pozostawiałem tam za sobą najmilszą epokę młodzieńczego życia, lat pięć spędzonych wśród kolegów kochających i kochanych, bez troski o jutro, wśród ciszy, którą chyba weselsza rozmowa i śmiech szczery przerywały. Wiedziałem com zostawiał, a któż mógł odgadnąć, co mnie czeka w tym nowym świecie, do którego każdy krok od klasztoru coraz głębiej mnie wprowadzał. Może walki i burze, zawiści i wymagania, którym nie podołam, może zawody i dolegliwości, zdolne złamać najhartowniejszą duszę, obezwładnić najlepsze chęci.

W takiem usposobieniu oddałem rzeczy moje służącemu, aby je zaniósł na ulicę kapitulną do domu deputata Rewkowskiego,

gdziem najął sobie pokoik, a sam pożegnawszy poczciwych księży i ich sług, dalej ubogich w kruchcie siedzących, a dobrych i starych znajomych, zaszedłem do kościoła, aby na kolanach i z głową ku ziemi pochyloną podziękować Bogu za łaskę, jaką na mnie przez te lata zlewał i z rozrzewnieniem oddać pod opiekę Jego rodziców moich i siebie, wśród niepewnych losów, jakie mnie czekały. Było południe, zgiełk i wrzawa miasta nie odpowiadały nastrojowi memu, a że słońce świeciło pięknie, puściłem się więc ku katedrze, na bulwar, zdążając ku Willii. Mało kto tamtędy o tej porze chodził, mogłem więc być pewnym, że sam ze smutkiem moim i z myślami memi zostanę.

Gdy tak w tęsknej zadumie ze schyloną głową nad brzegiem rzeki szedłem, zobaczyłem tuż obok starego rybaka, który więcierz swój w wyrąbaną na lodzie płonkę zapuścił. Dopomagała mu w pracy stara niewiasta, pewnie żona. Na licach obojga malowały się zwątpienie i troska. Biedni ludziska, pomyślałem sobie, wszak tu jest wola i praca, dwa niezbędne warunki do dobrego bytu, a przecież cierpią oni widocznie niedostatek a może i nędzę.

— Pomagaj Boże — odezwałem się do nich.

— Dziękujemy panu — odpowiedział stary.— Oh kieby to Boh pomog. Pracujemy panie od ranka a nie mohli na targowicu

nic wynieść, paru tylko sztuczek dla dzieci złowili. Oh zwykle bieda.

— A no, ja u was kupię tę łówkę ryb, co teraz będzie, chcecie? — zapytałem dając dwa złote.

— Dobrze paniczu, odrzekła sama czyściejszą już polszczyzną, ale czyż my możemy wziąć jak nie będzie za co?

— Czy wiele, czy mało, czy nic we więcierzu, to już mój zysk i strata. Zgoda?

— Ta zgoda, pospieszył stary, kieby panu Boh dał zdrowie, bo widzisz Marya, zwracając się do żony dodał, choć paru złotych zarobim, bude za szczo dzieciom chleba kupić.

Jęli się więc oboje przyciągać więcierz, a ja sobie pomyślałem, że łówka ta będzie moją kabałą, jakiego też w świecie spodziewać się mam powodzenia i jakich losów.

Wyprostowały się oba sznury więcierza, natężyły, z trudnością się sunie, silą się oboje, aż wreszcie na lód wyciągają. Rybek wprawdzie drobnych ale pełno — kilka garncy! Wszyscyśmy się z początku ucieszyli, dopiero gdy stary całą zdobycz ręką rozgarnął i obliczał wiele jej jest, poskrobał się biedak w głowę i posmutniał.

— A co panie, rzecze, gdzie tu wam zabierać tyla, może wam Marya odniesie, tylko niedaleko.

— Dobrze mój paniczu, podchwyciła ona, zaniosę za wami co wam Bóg dał, może nam także lepiej teraz pójdzie, bo w łów-

ce, jak na świecie, byle raz dobrze zacząć, to potem idzie.

Wsypała rybę w duży kosz, ustawiła go na głowie, rybak jej dopomógł, mówiąc:

— No idź, ta Pan dziesiatku tobie nie pożałuje, za rybu co za rubla nie kupić.

— Postaw matko ten kosz na ziemi, odezwałem się wesoło, mnie ryba nie potrzebna, kuchni nie mam swojej — co mi dają, to jadam. Ot ja wam, moi kochani, daruję waszą pracę; dziś piątek, targ na rybę wielki, to ją sobie dobrze sprzedacie.

— Ach paniczu, jakżeście dobrzy! Oddajemy wam z podziękowaniem wasze dwa złote.

— Nie matko, ja kupiłem łówkę i daruję wam moją rybę; gdybym przyjął dwa złote napowrót, jużbym nie miał przyjemności moją własną rzecz wam ofiarować. Bądźcie zdrowi.

Odprowadzili mnie biedacy kilkanaście kroków, dziękując i życząc pomyślności, jak gdybym hojną ręką bogate sypał im dobrodziejstwo. Tak to często małą pomocą przynieść można ludzkiej biedzie wielkie wsparcie, a ten prawdziwie wiele robi, kto choć mało ale w porę daje. Mnie Bóg pozwolił na podobną trafić chwilę. Weselszy już, szedłem brzegiem rzeki ku miastu, kierując się ku memu nowemu mieszkaniu. Kosz pełen ryby, przychylne życzenia serc wdzięcznych, słowem całe to zdarzenie, drobne samo przez się, napełniło mnie otuchą i nadzieją; zda-

wało mi się, iż rokuje mi ono przyszłość lepszą, że znajdzie się w niej niwa, na której wolą i pracą, przy Boskiej pomocy, będę mógł zasiewać i plony zbierać.

Szedłem więc, godząc się z mym losem, czy on mnie zaniesie ku granicom Persyi, czy ku Chinom, czy też pod biegun północy; jakaś pociecha wewnętrzna wstąpiła we mnie, nie wyrozumowana, na niczem nie oparta, instynktownie tylko poczuta, a że obiadowa zbliżała się pora i młody żołądek dopominał się o swe prawa, przyspieszyłem więc kroku i stanąłem rychło u siebie. Zastałem tam kilku kolegów, oczekujących mego powrotu. Na samym wstępie, jeden z nich, Maryan Piasecki, doręczył mi opieczętowany pieczęcią rektora pakiet pod moim adresem, mówiąc, iż to zapewne rozporządzenie ministra oświaty, dotyczące mojej osoby. —

Rozerwałem go skwapliwie, czytam i własnym oczom nie wierzę. Tak brzmiał dokument ów:

„Uwiadamia Wpana rektor uniwersytetu, iż po złożeniu cesarskich kosztów i przyjęciu onych przez ministra oświecenia, uwolniony Wpan jesteś zupełnie od wszelkich obowiązków rządowej służby.“ — Podpisano: Mierzejewski, sekretarz rady uniwersyteckiej. Przytem dołączony był w kopii list z ministeryum w tych słowach:

„Stosownie do własnoręcznej prośby Karola Kaczkowskiego, magistra medycyny

uniwersytetu wileńskiego, będącego w instytucie medycznym wileńskim na koszcie lekarskim przez lat pięć, od 1go Września 1820 r., złożone przez niego pieniądze w sumie rs. 900, J. O. książe minister przyjął i od wszelkich obowiązków rządowej wysługi uwalnia go zupełnie, o czem uniwersytet lekarski wileński, Kaczkowskiego ze swej strony uwiadomi.“ —

Stałem jak piorunem rażony, nogi podemną drżały, włos się najeżył, nie mogłem sobie zdać sprawy z tego, co mnie spotyka. Wszak nigdym takiego podania do ministra nie podpisywał, wszak pieniędzy nie składałem, trudnoby mi było nawet to zrobić, a rodziny nie chciałbym na taki wydatek narazić. Cóż to ma znaczyć, pytałem sam siebie, a nie zwykłe wzruszenie Piaseckiego i zakłopotanie innych kolegów obecnych, świadczyły, że się coś święci między nimi.

Cichość zapanowała grobowa, Piasecki pierwszy ją przerwał, rzucając się mi na szyję i obejmując oburącz.

— Nie gniewaj się na nas, kochany Karolu, mówił on wśród łez, myśmy chcieli mieć ciebie wśród nas, na naszej ziemi, dla naszych rodaków, dla naszej ukochanej strony — słowem dla Krzemieńca. Czyż nam możesz to mieć za złe, czyż pogardzisz naszem uczuciem i środkami, jakich użyliśmy. Wszak to nie ofiara, nie stać nas na nią i tybyś jej nie przyjął — to tylko pożyczka. Zarobisz, oddasz każdemu co należy. Już

Krzemieniec cieszy się, że swoje dziecko, wyrosłe na pożytecznego człowieka, wśród siebie powita. Patrz, co piszą o tem do mnie, czytaj listy, tak są one przyjacielskie, tak ujmujące, tak z serca płynące, że z pewnością nie odmówisz pójść pomiędzy ludzi, którzy cię już tak gorąco kochają.

— Więc wam mam to zawdzięczać? zapytałem na wpół rozrzewniony a na wpół upokorzony, że się mną bezemnie rozporządzono, że na samym wstępie spotkała mnie, choć od najbliższych kolegów, łaska, kamienną bryła cisnąca moją miłość własną.

— Nikomu nic nie masz do zawdzięczania, przerwał spiesznie Piasecki, przeciwnie, my ci jesteśmy wdzięczni, bo dajesz nam możność choć w części odwdzięczyć się szkole która nas, jak troskliwa matka wychowała, młodzieży tamtejszej, z którą braterskie łączy nas serce, mieszkańcom wreszcie, z którymi, jak z krewnymi tyle przeżyliśmy latek.

— Dobrze, rzekłem, wprzód jednak nim stanowczo odpowiem, wiedzieć muszę, jakie mi stawiacie warunki, komu mi każecie służyć?

— Nie rozkaz a prośbę mamy do ciebie, odparł Piasecki, abyś wprost do Krzemieńca jechał na praktykującego lekarza. Nie narzucamy ci tego za obowiązek, bynajmniej — jestto powtarzam, prośba tylko do twego serca. Rządź się, jak ci przeczucie, jak własna twa wola ci wskaże.

— Zgoda, odpowiedziałem. Z rozkoszą pracę moją poświęcę tam, gdzie cienie Czackiego będą mi strażą, a przyjaźń wasza hasłem i zachętą. Macie słowo moje, rękę moją na to. Ale gdy ja warunek wasz przyjmuję i wy powinniście przyjąć mój także. Oto żądam i od tego nie odstąpię, abyście mi wykazali zaraz kto i w jakiej ilości przyczynił się do zwrotu cesarskiego kosztu za mnie, a następnie aby każdy z nich przyjął odemnie zobowiązanie, iż z pierwszych wpływów, jakie mieć będę, zwrócę mu zaawansowany pieniądz.

— Niech i tak będzie, zawołał Piasęcki, zgoda powtórzyli chórem obecni. Podaliśmy sobie ręce, a serdeczny pocałunek zamknął ostatecznie tę naszą ugodę.

Do składki owej należeli: Maryan Piasecki dał swoich w guwernerce zarobionych 300 rs., Ludwik Bernatowicz, obywatel z Podola, Krzemieńczanin a wówczas Wileńczyk 300 rs., Hilary Łukaszewski, Krzemieńczanin, oszczędzonych też z guwernerki 150 rs. Józef Mikulski, w Krzemieńcu zostający, wprzód guwerner a później licealny nauczyciel 150 rs., Michał Tryczyński też z Krzemieńca, zrazu guwerner a potem profesor 150 rs. Jan Wyżewski, profesor krzemienieckiego liceum 100 rs. i Józef Szalewicz, obywatel litewski mój przyjaciel 150 rs. Tak więc, prócz dwóch dość zamożnych obywateli, reszta hojni byli sercem choć ubodzy kieszenią. Tem cenniejszym stał się dla mnie

udział ich w tej sprawie. Suma cała zebranych pieniędzy wynosiła 1300 rs. Z tych 900 rs. zwrócono rządowi, a 400 rs. pozostawiono na koszta podróży mojej do Krzemieńca i na pierwsze tam zainstalowanie się. Co się tyczy prośby do ministra, zredagowano ją w mojem imieniu i podpisano za mnie, zachowując najściślejszą tajemnicę, choć mam pewne powody sądzić, że władza uniwersytecka wiedziała o tem, co się święci, a przynajmniej rektor ówczesny Malewski, nie był temu obcym. Gdym bowiem nazajutrz zaszedł do niego dla złożenia podpiski w odebraniu powyższego zawiadomienia, objął mnie starzec drżącemi rękoma i kilkakrotnie w twarz pocałował. Milczeliśmy czas jakiś oba, aż nareszcie on się odezwał:

— Wiem, wiem o wszystkiem, mój moci dobrodzieju. To waćpanu i waćpana przyjaciołom zaszczyt robi. Rozumiem, że ofiara ta z czystego i koleżeńskiego serca płynąca, ugniotła cię od razu, chciałbyś się pan bez niej obejść — ale miarkuj się w swych uczuciach, nie trzeba ranić serc, co do ciebie przylgnęły, a zresztą moci dobrodzieju, to pożyczka tylko, jaką uczący się i przyjaciele dają nauce i przyjaźni. Bóg pozwoli, że się z niej uiścisz i miłe ci tylko zostanie po tym wypadku wspomnienie.

Zacny to był starzec, rektor Malewski; lubił on szczególnie uboższą młodzież, gdyż sam pochodził z podupadłej rodziny z Krakowa i doświadczył wszystkich kolców, ja-

kiemi niedostatek bodzie chcącego się uczyć młodzieńca. To też umiał dodawać hartu upadającym w przeciwnościach, podzielał z nieudaną wesołością wszelką ku lepszemu zmianę losu ubogiego ucznia, a w każdym razie do wytrwałości i pracy gorąco zachęcał.

Ale wróćmy do toku naszego opowiadania. Ledwiem skończył rozmowę z kolegami, proponując im abyśmy razem wyszli na obiad do miasta, gdy wszedł do mnie gruby Bartłomiej, sługa Franka, którego ten ostatni zawsze Baltromem nazywał, — i powiedział że pan jego prosi, abym się z nim, koniecznie widział, co rychlej, że mnie czekać będzie jutro o 9tej z rana u siebie, bo ma bardzo ważny do mnie interes.

Nazajutrz, o naznaczonej godzinie stanąłem u niego. Sam Frank otworzył mi drzwi od swego gabinetu i wesoło powitawszy dodał:

— Chodź, chodź mój kochanku, mam z tobą sam na sam do pogadania.

Przeszliśmy do biblioteki, usadowił mnie na kanapce tuż obok siebie i tak dalej mówił:

— Wiesz w jakiej byłem nieprzyjaźni z Willie, przydwornym lekarzem, dopiekaliśmy sobie nawzajem, gdzieśmy mogli. Otóż, przeszłej jesieni, wracając z Wiednia na Warszawę, gdzie bawił podówczas cesarz Aleksander, a z nim jak zawsze, nieodstępny jego doradca. Widzieliśmy się ze sobą, a nawet więcej, bośmy sobie podali ręce, przyrzekliśmy otwartość i szczerość wzajemną we wszystkiem, słowem, z nienawiści zawiązała się

pomiędzy nami przyjaźń. Już parę razy pisał do mnie Willie, a oto wczoraj nowy list jego odebrałem, w którym żąda odemnie zakładnika, mogącego utrwalić tak dobrze rozpoczęte stosunki nasze. Chce on, abym mu wybrał jednego z funduszowych, posiadającego moje zaufanie, on go weźmie do siebie na sekretarza, zaliczy do służby lekarskiej przy dworze i pokieruje dalej. Rozumiesz, jak mi do smaku propozycya ta przypada. Wilie jest mi potrzebny, przez niego najbliższa droga do cesarza, mając ją w ręku można i dla naszej szkoły, o której nikt nie myśli, wiele rzeczy zrobić. Nadto i on i ja jesteśmy bardzo zatrudnieni, częste bezpośrednie znoszenie się jest dla nas za ciężkiem, on nie zna tutejszych stosunków i potrzeb, trzeba mu je obszernie wykładać, tłómaczyć, to zabiera wiele czasu i dla niego i dla mnie, ja również nieobeznany jestem z tem co można, a czego nie można w Petersburgu żądać, taka więc osoba z mojego wyboru przy nim zostająca, byłaby pośrednikiem, regulatorem naszego stosunku, a że jej będzie dobrze, że karyerę będzie miała otwartą, w tem Willie i ja dostateczną służymy rękojmią. Ciebie, mój kochanku, wybrałem na tę posadę. Wydoktoryzowałeś się, ruszysz więc do Petersburga i to prędko, bo Cesarz ma zamiar za granicę jechać, a z nim naturalnie i jego nadworny lekarz i ty, Dziś zaraz odpisuję Williemu, że ciebie wysyłam, aby się zniósł z Ministrem oświaty

i zmienił jego rozporządzenie, jeżeli już jakie dotyczące twej przyszłej służby, wydał.

— No, sadzę, żeś kontent, dodał Frank rozpromieniony, trzeba tylko uwijać się prędko i w drogę.

Siedziałem przez ten cały czas jak na mękach. Rozczarować Franka, który przez ciąg mego pobytu w uniwersytecie był dla mnie tak dobrym, tak po ojcowsku mną się opiekował, takiem zaszczycił mnie zaufaniem — bolało mnie srodze. Czułem, że mimowoli stać się mogę niewdzięcznym, że o to przynajmniej gotów mnie posądzić, ale z drugiej strony wszelkie wahanie się ubliżałoby mnie samemu, zdecydowałem się więc wypowiedzieć mu odrazu jak rzeczy stoją.

— Bardzo wdzięczny jestem i będę, p. prefektowi za tyle dla mnie dobroci i łaski, rzekłem, ale teraz korzystać z nich nie mogę. Oto jest papier, co wytłómaczy stan mój obecny, a ja ustnie objaśnię resztę. Podałem mu zawiadomienie otrzymane wczoraj z uniwersytetu, a które, chcąc iść tegoż dnia do rektora, miałem przy sobie.

Przeczytał je Frank i mocno poczerwieniał, a potem zadumawszy się, zapytał:

— Jakżeż to się stało?

— Opowiedziałem mu ze wszystkimi szczegółami, dodając wczorajsze moje zobowiązanie.

— Szkoda, wielka szkoda — rzekł on wysłuchawszy do końca.—Roiłem sobie wiele dobrego. Pospieszyłeś się pan, czyż nie mo-

głeś przed daniem stanowczej odpowiedzi pomówić ze mną? Wszak uprzedzałem pana, że o nim myślę, że mu coś gotuję. Wielkąś mi przez to zrobił przykrość, choć wczoraj trudno już było temu zaradzić—dodał Frank po chwili namysłu. — Willie za konieczny postawił warunek, aby wybór był z uczniów funduszowych. Lekarz bez służby obowiązkowej opuszcza ją kiedy mu kaprys przyjdzie, a przez to nieporządek się wkrada. Jest on nawet w intencyi nie dawania miejsc wyższych lekarzom, co na własnym koszcie ukończyli nauki, proponowałem mu, aby, jeśli tak być ma, powiększyć liczbę funduszowych u nas do stu, a tu mi pan właśnie z funduszu wychodzisz. Szkoda, wielka szkoda, i dla pana i dla mnie i dla przyszłości szkoły naszej.

Duch wstąpił we mnie słysząc o tym niezbędnym warunku, postawionym przez Willie'go, aby sekretarz jego był z liczby funduszowych, bałem się bowiem, żeby Frank nie nalegał na mnie, sądząc, że można jeszcze zmienić postanowienie moje. Doprowadziłoby to niechybnie, przy gwałtownym charakterze jego, do nieporozumienia między nami, które dla mnie byłoby przykrem. Tymczasem klamka zapadła, pomyślałem sobie, niech i tak będzie.

Widocznie, rozważywszy lepiej nową sytuacyę moją, i Frank dał pierwotnemu projektowi swemu za wygraną, bo przeszedłszy się parę razy po bibliotece, uspokoił

się nieco, a gdym wstał go pożegnać, ściskając mnie za rękę, powiedział:

— Tak, tak, cofać swego słowa nie możesz, rozumiem to, zresztą na nicby się nie zdało, decyzya ministra i żądanie Willie są wyraźne. Tobie i tak dobrze będzie, jestem tego pewny, bo jesteś lubiony a niczyjej nie zawiedziesz nadziei. Dla tego i ja chciałem ciebie na tem stanowisku postawić. Szkoda, wielka szkoda, piękne rzeczy układałem sobie przez ciebie spełnić — ale stało się. Zatrzymaj całą naszą rozmowę przy sobie. Adieu.

Nie wiem, czy się poczciwy Frank co do owych pięknych rzeczy nie łudził, bo słyszałem później o Willie, jako o człowieku cierpkim, dumnym i nadzwyczaj kapryśnym, był to splinowaty Anglik w całem znaczeniu tego słowa. Miał on wprawdzie na dworze wpływ wielki, cesarz Aleksander lubił go i ufał mu, ale wpływu tego rzadko kiedy używał, kierując się i w tym razie najwięcej ekscentrycznem widzimisiem. Zresztą ze śmiercią cesarza Aleksandra, która w parę lat nastąpiła, miejsce jego zastąpił kto inny. Co do mnie, gdyby się było nawet stało wedle życzeń Franka, to wątpię, czybym mógł długo pozostać pod kierownictwem fantazyi i chorobliwej śledziony.

Tak to przepowiednia więzienna ziściła mi się. Bóg wszechwiedzący zasmuca i pociesza, a kto całem sercem ufa w łaskę i opatrzność Jego, tego wśród najcięższej drogi

życia nie zostawi własnym niepewnym losom, a łódź wędrówca niewidomie tak skieruje, że zamiast bujać po rozhukanych falach morza, do pewnego zawinie portu. I przedemną port ten stanął otworem, trzeba było zdążać doń co rychlej, aby pracą wypłacić się z zaciągniętego długu przyjaźni, a życiem całem dowieść, że go się było godnym.

VI.

Nim opuszczę Wilno, aby do niego czasem wspomnieniem tylko wrócić, muszę tu jeszcze powiedzieć słów parę o miejscu, dokąd się zawsze młodzież gromadnie garnęła, znajdując tam rozrywkę i najmilsze przepędzenie czasu.

Teatr wileński pociągał nas do siebie. Zrazu stał on dość dobrze, występowały na deskach jego talenta takie jak Rogowski, Kuczyński, Niedzielski, Anczyc, Fiszer, komik Skibiński, a z kobiet Anczycowa i Ledochowska. Dramata, tragedye, komedye, opery nawet przedstawiane w nim były z sukcessem. Ten stan kwitnący sceny wileńskiej zawdzięczano protekcyi i szczególnej opiece jakiemi ją otaczał generał-gubernator litewski Kutuzow-Goleniszczew, późniejszy książę smoleński. Umiejąc sam dobrze po polsku, i sprzyjając narodowości naszej, z sympatyi jaką czuł dla niej, interesował się żywo

sceną polską, i wchodził w drobne nawet szczegóły zakulisowego życia. Rządy Kutuzowa trwały krótko, bo od 3 Lipca 1809 r., do Marca 1811 r., został on wtedy mianowany naczelnym wodzem armii działającej nad Dunajem, ale nominalne zwierzchnictwo nad Litwą utrzymał do Kwiet. 1812 r., wyręczając się w zarządzie temi prowincyami przez generała Guryew'a. Dopiero wojna Napoleońska zmusiła go rozstać się na zawsze z Wilnem, ustępując je generałowi Korsakow.

Pomimo tego raz dobrze obsadzona scena kwitnęła, zamiłowanie do niej publiczności wzrastało, ceny były dostępne, krzesła po rublu, a parter po złp. cztery, teatr więc zawsze był przepełniony. W takim stanie zastałem go gdym do Wilna przyjechał. Wkrótce przybycie Wojciecha Bogusławskiego ożywiło go, bardziej jeszcze, publiczności i scenie nowego dodało uroku. Zjechał on był w r. 1817 jako gość, i dał przez miesiąc Maj dwanaście przedstawień. Pierwszy raz występował Bogusławski w roli Saula; gdy się tylko na scenie pokazał, wszyscy widzowie, nawet panie w lożach powstały dla uczczenia patryarchy narodowej dramatycznej sztuki. Na benefis jego odegraną była opera: „Familia szwajcarska". Natłok był tak wielki, że publiczność żadną miarą pomieścić się nie mogła i wielu z niczem do domu wróciło. Pomimo podniesionej ceny biletów, sypano do kasy pieniądze byle dokupić się la-

da jakiego miejsca. Byłem na trzech przedstawieniach, w których Bogusławski występował. Na tragedyi „Horacyusze“, na jakiejś komedyi „Goldoniego“ i na „Krakowiakach i Góralach“. Docisnąłem się na galeryę, bo wszystko inne było zajęte, a przytem i funduszów nie starczyło na opłacenie lepszego miejsca.

Jakaż to była naturalna gra tego artysty! jaka w nim siła uczucia i moc wyrazów! I w tragedyi i w komedyi był wybornym, chociaż w tej ostatniej sam wiek stawał mu na przeszkodzie. W Krakowiakach np. w roli studenta, czuł i mówił jak młody, ale ruszał się i biegał jak stary. Nie mogliśmy się dość napatrzeć, dość wydziwić jego talentowi, a praca i narodowa zasługa tego męża przejmowała wszystkich uszanowaniem i czcią dla niego. Bo też on, w epoce ogólnego prawie scudzoziemczenia, gdy nawet ojczystą wzgardzono mową, wszystkie łożył starania, nieszczędził trudów, znosił prześladowanie, aby stworzeniem polskiej sceny nowy, pomyślniejszy zwrot w społeczeństwie naszem wywołać. Zmuszony opuścić Warszawę w r. 1795, przeniósł się do Lwowa, chcąc małej trupie Morawskiego dodać blasku i zapewnić powodzenie, a gdy i tam podejrzliwe władze zmusiły go do zwinięcia polskiej sceny, zaimprowizował im w „Krakowiakach i Góralach“, po raz ostatni dawanych, aryetkę na pożegnanie:

Oj bieda nam Mazury,
Jakiej nigdy nie było,
Niemcy drą nas ze skóry,
O czem nam się nie śniło.

i ruszył napowrót do Warszawy w r. 1799 Pogodniejszy nieco horyzont polityczny w dawnej stolicy Polski pozwolił już Bogusławskiemu rozwinąć się w niej lepiej, a łamiąc przeszkody, zwalczając niechęci i uprzedzenia, wytrwałością i pracą doszedł w końcu do postawienia pierwszych trwałych fundamentów polskiego narodowego teatru.

Całe towarzystwo ówczesne wileńskie, umiało uszanować ten trud publiczny, i tę patryotyczną zasługę, a młodzież, gdzie mogła, siwego starca czcią otaczała. Po skończonych dwunastu przedstawieniach, znakomitsi i majętniejsi obywatele i mieszkańcy miasta wyprawili Bogusławskiemu wspaniałą ucztę w pięknych Werkach nad Wilią, o 8 wiorst od Wilna, w pałacu dawniej biskupa Massalskiego, a wówczas majętności marszałka Jasińskiego. Frank należał do niej także i był jednym z głównych motorów.

Dopiero gdy Maciej Każyński objął dyrekcyę teatru Wileńskiego i został jego antreprenerem, a było to podobno w 1818, począł on się powoli chylić ku upadkowi. Każyński przebył poprzednio parę lat w Petersburgu i w Moskwie, gdzie wielkiej używać miał wziętości. Sam doskonałym był aktorem, zwłaszcza w tragedyach. Teatr

brzmiał dla niego oklaskami na przedstawieniach Saula i króla Leara, ale przywykły do wystawnego życia w stolicach, chciał je także i w Wilnie prowadzić, na co środków nie starczyło. Wyczerpywał się więc zwolna fundusz, później brakować go zaczęło, a lepsi aktorowie lub zaniedbywali swych obowiązków, lub też, co najczęściej zdarzało się, opuszczali scenę, szukając gdzie indziej korzystniejszych warunków. Doszło do tego, że śpiewu zwłaszcza słuchać było w teatrze niepodobna. Kobiety wszystkie śpiewały okropnie, a z mężczyzn jeden Zieliński przyjemny miał tenor, ale za to gra jego była nędzna i bez życia.

Z opuszczeniem się trupy upadły też dekoracye, maszynerye i w ogóle teatralne urządzenia, nie odnawiane wcale, stąd też nie brak było śmiesznych na scenie wypadków. Widziałem sam, jak spuszczający się z nieba Archanioł, zleciał na łeb jednemu z aktorów i tak go przydusił, że ten gwałtu wrzeszczał. Widziałem też, jak dyabli nie mogli się zapaść w piekło, tylko do połowy, i pomimo sykania, tupania i śmiechu publiczności, musieli przez scenę uciekać za kulisy. Kiedyś znów jakiś geniuszek, przelatujący w powietrzu, zastrzągł na środku sceny pod belkami tak, że go musiano ratować, ściągając biedne dziecko za nogi, a potem płaczące i przelękłe, wynosić na ręku. Innym razem przytrafiło się, że z wałów obronnej Maurytańskiej twierdzy, potoczyła się raptem

na dół cała załoga, waląc się jeden na drugiego, ratowali się żołnierze owi kułakiem i pięścią, a moskiewskie narodowe wykrzykniki, jakie temu towarzyszyły, zdradzały wyraźnie, że nie z krwi Maurów pochodzą.

Pomimo tych krzyczących usterek, młodzież lubiła teatr i uczęszczała nań; był on najprzyjemniejszą dla nas rozrywką i wypoczynkiem po pracy. Sądzę, że wszędzie tak się dzieje, w każdym zaś razie zabawa ta jest stokroć odpowiedniejszą dla młodego wieku, jak gra bilardowa, karty lub hulanka. Należy tylko dbać o umoralnienie teatru, aby obok zabawy, przynosił on jeszcze korzyść, podnosił ducha, uszlachetniał uczucie, wpajał zasady. W ostatnich czasach za mało zwracają na to uwagi, większa część sztuk tłómaczonych z francuzkiego, jest szkołą nierządu i zepsucia, choć w dowcipne i śmieszne oprawioną ramki. Młodzież potrzebuje zabawy i rozmaitości, chętnie lgnie ona do teatru, jak to wiem z własnego doświadczenia, jeśli więc nie z innego, to choć z tego względu, zwrot na lepsze kierunku literatury naszej dramatycznej byłby bardzo pożądanym.

Oby to co rychlej nastąpiło!

W WARSZAWIE

Rok 1830.

Pod koniec mojego pobytu w Krzemieńcu różne zaczęto mi robić propozycye, z których dwie na szczególną zasługiwały uwagę. Naprzód wystąpił do mnie Pelikan z zapytaniem, czybym nie przyjął katedry terapii i kliniki na uniwersytecie wileńskim. Aczkolwiek pochlebiło mi bardzo takie wezwanie na zastępcę Franka i Śniadeckiego, nie przyjąłem go jednak głównie przez wzgląd na nowy prąd, jaki się z rektorstwem Pelikana i kuratorstwem Nowosilcowa w Wilnie wyrabiać począł. Koleżeństwo Kukolników, drażliwe stanowisko profesora wobec nowych władz szkolnych, słowem cała atmosfera ówczesna wileńska nie przypadały mi do smaku, a do tego tak mi dobrze było w Krzemieńcu że myśleć o zmianie wydawało mi się niedorzecznością.

W ślad za tem doszła mnie odezwa Stanisława Grabowskiego, ministra oświece-

nia w Królestwie Polskiem, który mając mnie poleconym sobie przez Józefa Franka na katedrę medycyny praktycznej i kliniki, zaofiarował mi posadę profesora ekstra-ordynaryjnego na warszawskim uniwersytecie, z pensyą ośmiu tysięcy złotych polskich. Wkrótce też odebrałem i list od Franka, datowany z Como, w którym, opisując przybycie do niego dwóch przyjaciół moich, Stempkowskiego i Zakaszewskiego, poleconych mu przezemnie, dodaje, abym propozycyę, jaka mi z Warszawy zrobioną będzie, przyjął, bo w ten sposób na obszerniejszą skalę stać się mogę krajowi użytecznym. Pomimo zachęty Franka i tym razem miłość Krzemieńca przemogła, bo jeśli nie zupełnie odmowną, to wymijającą posłałem do Warszawy odpowiedź.

Upłynęło parę miesięcy, sądziłem już, że rzecz cała poszła w zapomnienie i zabrałem się na dobre do zwykłych mych zajęć, gdy w Grudniu r. 1829 odbieram powtórne urzędowe wezwanie od ministra Grabowskiego, w którem uwiadamia mnie, że już zostałem mianowany profesorem ordynaryjnym od razu, z pensyą dziesięciu tysięcy złp. W liście zaś prywatnym, pełnym zaszczytnych dla mnie wyrazów, dodaje, iż upewniony przez Franka, uważa sprawę tę za skończoną, i prosi, abym zaraz po odebraniu tego pisma pospieszył do Warszawy, gdyż chcianoby tam w ciągu Stycznia roku następnego otworzyć katedrę i klinikę, dotąd wakujące. W parę dni doszedł mnie też list od Franka. Uwiadamiał mnie

iż widząc moje ociąganie się, wziął na siebie ostateczne przeprowadzenie tej sprawy i że uzyskał warunki wyjątkowe, w obec których chwili jednej wahać się nie powinienem, tem bardziej, że on już je w mojem imieniu przyjął.

Rzeczywiście, stanowisko utworzone mi w Warszawie, pod każdym względem wyjątkowem było, gdyż w zwykłej kolei profesor zwyczajny musiał drogą konkursu zdobywać sobie tę posadę, a przytem i pensya mi przeznaczona, przewyższała znacznie dotychczasową gażę każdego zwyczajnego profesora, która tylko 6,000 złp. wynosiła. — Nie było więc rady; choć przeceniano me wiadomości i zasługi, choć się obawiałem, że może nie wydołam nowemu a tak ważnemu obowiązkowi, musiałem jednak odpisać do ministra Grabowskiego, że zaofiarowaną mi katedrę przyjmuję, do Franka dziękując mu za jego troskliwość i opiekę, i w połowie Stycznia r. 1830, najmniej się tego spodziewając, znalazłem się w Warszawie.

Cóżem tam zastał?

Rozpatrzmy się naprzód w fakultecie medycznym, do składu którego wszedłem.

Dziekanem wydziału tego był podówczas Roliński, profesor anatomii. Podeszłego już wieku, twarzy suchej, bladej, pomarszczonej, włosów siwych krótko przy głowie ostrzyżonych, wzroku ponurego, ust ściśnionych, robił on na pierwszy rzut oka wrażenie cierpkiego towarzysza, i takim był w istocie. Nad

preparatami ślęczał, przedmiot swój wykładał regularnie i z całą drobiazgowością, ale ta praca jego, w formę odwiecznej rutyny ujęta, nie szła z postępem nowych w anatomii poszukiwań i ważnych dla fizyologii odkryć. Przytem przykrego i tetrycznego charakteru nie zobowiązywał on do siebie, a przeciwnie zrażał i kolegów profesorów i studentów, nietylko ścisłem form przestrzeganiem, ale nadto chętnem utrzymywaniem ducha partyi w fakultecie, skąd też wynikały ciągłe sprzeczki na sesyach wydziału i nieskończone pokątne intrygi i zawiści.

W najbliższych z nim stosunkach zostawał dr. Tomorowicz, profesor materyi medycznej i terapii ogólnej. Zacna i prawa dusza, pracowity i wiele umiejący człowiek, ale nam go zawczesna śmierć szybko zabrała. Żałowaliśmy go wszyscy.

Tetryk, chimeryk a nawet złośliwy, słowem drugi tom Rolińskiego w edycyi poprawnej, był profesor patologii Szczucki. Różnica między nimi zależała na tem, że ten ostatni był gruntownie uczony. Dwa te charaktery, choć tak do siebie podobne, cierpieć się nie mogły. Jeden drugiemu rad był psotę jakąś wyrządzić lub przycinkiem dokuczyć, nie oszczędzali się też nawzajem w otwartej zostając wojnie. Sesye miesięczne wydziału były zwykłem polem tych popisów, ale gdy Szczuckiego złośliwość zdążała zawsze ku dobru publicznemu, już to w przymówkach, że anatomiczny gabinet za słabo się rozwija,

że za postępem nauki nie idzie, już też że dziekan więcej drobnostkami się zajmuje, nie zaś staraniem u wyższej władzy o uzyskanie pomocy dla fakultetu w funduszach i w ludziach zdolnych — Rolińskiego przytyki bardziej osobistości się tyczyły i rozżarzały tylko wzajemną nienawiść.

Dr. Nowicki, profesor chirurgii operacyjnej i kliniki chirurgicznej, dobrze wykładał swój przedmiot, a zręczny w operacyach wiele korzyści przynosił studentom. Nie był on wszakże rozmiłowanym w swej gałęzi, ważniejszych wypadków po szpitalach nie wyszukiwał, ograniczał się tylko na ambulatorium, a stąd i klinika jego często nic ciekawego nie mieściła w sobie. Był on cierpkiego charakteru i łatwego do sprzeczek, nie mało też ich było ze Szczuckim i Fiałkowskim, a w stosunku do uczniów trzymał się hardo i w zupełnem odosobnieniu.

Dr. Fiałkowski wykładał akuszeryę i zarządzał kliniką położniczą. Człowiek światły, przy licznej praktyce w mieście obowiązków swych profesorskich nie zaniedbywał, owszem sumiennie je wypełniał. Przyjaciel Szczuckiego, stawał zawsze po jego stronie w walce z dziekanem.

Celiński, profesor farmacyi, szedł wiekiem i zasługą tuż przy wyżej wymienionych. Znał dobrze swój przedmiot, choć za postępem nauki mało śledził, i wykładał go pożytecznie, zwłaszcza dla aptekarzy. —

Człowiek dobry, łagodnego charakteru i daleki od wszelkich waśni i intryg.

Prof. Wojde miał katedrę medycyny sądowej i policyi medycznej. Suchy jego wykład nie przynęcał młodzieży, a zresztą praktyka miejska bardziej go zajmowała niż kursa w szkole. Skrytego charakteru lubił pokątne komeraże w fakultecie, a chromy na nogę, chromał też i w postępowaniu, nie wiedząc do której przylgnąć strony.

Prof. Mile, wykładał fizyologię. Lubił tę naukę i całkiem był jej oddany, idąc wciąż za postępem nowych odkryć i badań. Prelekcye jego były bardzo zajmujące. Człowiek rozumny i gruntownie dobry, lubiony i szanowany zarówno od współ-kolegów jakoteż od uczniów.

Wreszcie, dr. Janikowski, najmłodszy wiekiem, był podówczas extra-ordynaryjnym profesorem chirurgii teoretycznej; pracował nad swym przedmiotem o ile mu czas pozwalał, a tego nie miał wiele dla rozległej praktyki. Cichy i łagodny, ze swego stanowiska nie mając jeszcze powagi w fakultecie, trzymał się o ile mógł neutralnie, przychylając się w stanowczych razach do głosu dziekana. Młodzież go lubiła

W takim składzie wydziału, na samym wstępie zauważyłem pewne uprzedzenie, a nawet niechęć ku mnie. Najpierwej i najwyraźniej zaczął mi ją okazywać dziekan. Nie rozumiejąc, skądby mu ona przyjść mogła, starałem się lepszą zawiązać z nim harmo-

nię i w tym celu wstąpiłem parę razy do jego mieszkania na Starem mieście. Próżne jednak były me usiłowania, chłód, jaki wiał od niego, nakazał mi zostawić to czasowi, bacząc, ażali nieukontentowanie to nie odbije się wyraźniej na innych kolegach. Jakoż wkrótce, poczciwy i otwarty Tomorowicz nie umiał zatrzymać dłużej w sobie tego, co się na dnie jego serca kryło. Przy drugiej czy trzeciej bytności mojej u niego, wynurzył mi się, iż miejsce profesora kliniki było jemu przyrzeczone, że go fakultet za kandydata przedstawił do ministra, i że już miał wszelką pewność uzyskania tej posady, gdy niespodzianie Wydział uwiadomiony został o mojej nominacyi.

— Rozumiesz kolego, dodał, jakem się zmartwił tą wiadomością, zwłaszcza, że katedra ta najsłuszniej mi się należała.

Stąd żal jego do mnie i niechęć dziekana. — Uniewinniałem się jak mogłem, a zabrawszy Tomorowicza zaraz do siebie pokazałem mu całą korespondencyę moją z ministrem Grabowskim i z Frankiem, z której się przekonał, iż żadnych zabiegów i starań nie robiłem w celu pozyskania tej posady, a tem mniej, aby mu ją odjąć. Uspokoiło to drażliwość jego, uścisnęliśmy się serdecznie i od tej chwili szczerymi zostaliśmy przyjaciołmi. —

Pomimo wyjaśnienia tej sprawy w sposób, zdawało się, wyczerpujący, pierwotne złe usposobienie dziekana do mnie nie zmieniło

się w niczem, a choć ubrane było w formę sztywnej grzeczności, maskującej na pozór, wyczekiwało tylko stosownej chwili, aby się otwarcie i z całą złośliwością zamanifestować. — Chwila ta wkrótce nadeszła.

W miesiącu Kwietniu, korzystając z pory, w której żadnych panujących chorób nie było w mieście, postanowiłem przyjmować do kliniki takich chorych, co już zgoła nadziei wyleczenia nie przedstawiali, a to dla pokazania uczniom przy pośmiertnej sekcyi rozbiorem anatomiczno-patologicznym, tak pewności w rozpoznawaniu cierpienia, jak i zmian jakie w organizmie sprawia. Było więc kilka łóżek zajętych przez dogorywających prawie suchotników, kilku z bardzo rozwiniętą chorobą serca, z ropieniem w wątrobie, dziecko w konwulsyach wynikłych z zapalenia mózgu itd. Prawda, iż kto inny więcej dbały o pozorną sławę kliniki nie postąpiłby w ten sposób i nie przyjmowałby do niej takich, którym ledwie kilka dni życia zostawało, ale wiedziony żądzą nauki dla siebie i dla uczniów, nie zważałem na te względy i sądziłem, że spełniam przez to mój obowiązek. Tymczasem w miesięcznym raporcie, jaki poszedł od wydziału do ministra, dziekan nie omieszkał dodać własnoręcznie, notabene: „Zwracam uwagę W. Exc. na wielką i nie zwyczajną śmiertelność, podczas Kwietnia, w klinice medycznej“.

Dopisek dziekana zrobił wrażenie na ministrze oświecenia, pokazał on go Lewoc-

kiemu, członkowi rady uniwersyteckiej a memu przyjacielowi z wyraźnem żądaniem, aby mnie o tem zawiadomił. Była to rękawica, której nie mogłem nie podjąć. Poszedłem więc natychmiast do ministra Grabowskiego, a wytłómaczywszy mu szczerze i otwarcie, z jakich pobudek sam naprowadziłem tę śmiertelność, uprosiłem go, aby mnie urzędownie, za pośrednictwem fakultetu zapytał o jej przyczynę. Stało się wedle mej woli, a mając w kilka dni zakomunikowaną sobie odezwę ministra treści wzmiankowanej, mogłem na najbliższej sesyi, przy komplecie wszystkich profesorów, odczytać odpowiedź moją i złożyć ją do przesłania wyżej. Wykazałem w niej potrzebę sekcyj pośmiertnych i korzyść, jaką one nauce i uczniom przynoszą, a opierając się na tem, iż gabinet anatomiczny mało dostarcza pod tym względem zasobów, że sekcye patologiczne niezmiernie rzadko w nim się przytrafiają i to bez należytego wyjaśnienia i dokładnego zbadania, zakonkludowałem przeto, że w takim razie profesor kliniki czuje się w sumiennym obowiązku tę próżnię zapełnić z poświęceniem nawet miłości własnej i względów osobistych dla pożytku uczącej się młodzi; co też zrobiłem, przyjmując umyślnie do kliniki chorych bez żadnej nadziei wyzdrowienia.

Był to kamień rzucony w ogród dziekana, jako profesora anatomii i dyrektora amfiteatru anatomicznego. Sam go wywołał; kręcił się też i przygryzał wargi podczas mego

czytania, a Szczucki i Fijałkowski radzi z okazyi nie żałowali ostrych przycinków, przyznając słuszność memu tłómaczeniu, a ganiąc niestosowność kroku dziekana. Po tem starciu się na ostre, nastąpił spokój w stosunkach naszych, rodzaj zawieszenia broni, ale do właściwej harmonii nie przyszło nigdy.

Przejście to, aczkolwiek drobne, wpłynęło bardzo na utrwalenie moralnego stanowiska mego w gronie współkolegów. Szczucki, choć znacznie starszy wiekiem, przylgnął do mnie całem sercem. Małego wzrostu, ruchawy, zwiędłej żółtej twarzy, oczu żywych, nie nosił on na sobie cechy umiarkowania i łagodności, przeciwnie złośliwy dowcip towarzyszył mu zawsze i był powodem, że pomimo głębokiej nauki i porządnej głowy unikano go i nawet praktyka jego w szczupłem bardzo kółku była zamkniętą. Bywał on u mnie codziennym prawie gościem, a jako dawny mieszkaniec miasta i profesor znał wszystkie labirynty i kabały stolicy i lekarskiego w niej świata; lubił o nich rozprawiać, a że opowiadania swe ubarwiał wrodzonym dowcipem, wesoło schodziły nam godziny. W ślady Szczuckiego poszedł niebawem Fijałkowski i inni.

W miarę jak się me stosunki rozwijały i jak znaczna część kolegów powoli grupowała się koło mnie, niektórzy z nich, a głównie Szczucki, poczęli energicznie nalegać, abym się zdecydował wystąpić otwarcie prze-

ciw dziekanowi i jego stronnictwu i wszedł przez to czynnie do wojny, jaka się podówczas w fakultecie toczyła. Nie odpowiadało to jednak pod żadnym względem moim usposobieniom, przeciwnie, im bliżej rozpatrywałem się w niedostatkach i ujemnych stronach naszego wydziału, tem jaśniej przedstawiał mi się w umyśle inny zupełnie sposób zaradzenia temu.

Niedostatki te były wielkie. Naprzód pomieszczenie dla klinik tak było ciasne, że przy większym napływie chorych niepodobna było dać sobie rady. Dalej brak szpitala, w którymby kończący uczniowie mogli na większą skalę wdrożyć się do praktyki. Gabineta szczupłe i niedokładne. Prosektoryum anatomiczne istniejące *pro forma* tylko; brak katedr koniecznych przy ówczesnym postępie nauki, jak anatomii patologicznej, embryologii, mikrografii i t. d., wreszcie ani jednego adjunkta, któryby profesorowi dopomagał i w razie potrzeby miejsce jego zastąpił. Stan taki szkoły medycznej, wedle mego zdania, wymagał reformy radykalnej, którą waśnie wewnętrzne w fakultecie opóźnić tylko lub zgoła uniemożebnić mogły.

Przyszedłszy do powyższego przekonania, zacząłem się oglądać do koła, ażali możebnemby było przeprowadzenie tego, co mi się koniecznem dla szkoły być wydawało. Naturalnie, pierwszy krok na tej drodze należało w fakultecie postawić; wypowiedziałem więc na jednej z sesyi otwarcie mój

sposób widzenia, ale koledzy moi, skądinąd porządni i zdolni ludzie, jakoś zimno i obojętnie przyjęli przedstawienie moje. W kole naukowem, gdzie wspólną dążnością ku jednemu iść trzeba celowi, gdzie i ze zdania własnego ofiarę ponieść należy dla dobra ogólnego, nie odpowiedzieli oni tym razem swemu przeznaczeniu. Brak funduszów pozorował ich zachowanie się, ale w gruncie była to niemoc, wstręt do zmiany, obawa wyjścia z miłego *far niente*; szczupła tylko cząstka wypowiedziała się za mną i to mniej z głębokiego przeświadczenia o słuszności mojego zapatrywania się, jak z osobistej niechęci przeciw dziekanowi, widząc w tem zdarzeniu nowy materyał do podsycenia toczącej się walki.

Niefortunne wystąpienie moje w fakultecie nie zraziło mnie wcale; w części spodziewałem się tego, w części zaś posłużyło mi ono za bodziec, bo już przez samo wypowiedzenie się uważałem siebie za zaangażowanego. Raz więc rozpocząwszy, musiałem iść dalej, a że naturalna podstawa — wydział — wyślizgiwała mi się z ręki, trzeba było innego szukać punktu oparcia.

Jako taki przedstawiał mi się w zwyczajnym biegu nowy minister oświecenia, Stanisław Grabowski, ale z nim nie łatwa była sprawa. Syn Stanisława Augusta z Grabowskiej urodzony, z twarzy, usposobień i charakteru zupełnie był do ojca podobny. Wiele miał nauki a zdrowego rozsądku mało,

przytem bojaźliwość, brak woli, nadzwyczajna uległość i stosowanie się do tego, z której strony wiatr wieje; jedna tylko wyraźna kierowała nim żądza — zbytku i zmysłowych przyjemności, dla niej poświęcał wszystko. Po za tem ospałość i obojętność. Wszelka myśl reformy, postęp w dziedzinie nauk, słowem wyjście ze *status quo* przerażało go, bał się, aby tem nie sprowadził zmarszczenia brwi cesarza lub w. ks. Konstantego, i żeby za to nie ominął go order lub pieniężna nagroda, zawsze mu miła i pożądana. Osobiście w dobrych z nim byłem stosunkach, odwiedzałem go często, przyjmował mnie uprzejmie, ale czułem, iż rozbudzić go i popchnąć do wzięcia inicyatywy w tak ważnej sprawie przechodziło siły moje.

Obok ministra stała Rada Wydziału Oświecenia; mieściła ona w sobie wielu zacnych ludzi; na poparcie kilku z nich mogłem w każdej chwili liczyć, ale wiedziałem dobrze, że najlepsze ich chęci rozbijały się zawsze o apatyę ministra, i że projekta ich tonęły zwykle krusząc się o drobiazgi nic nie znaczące. Sekretarz też Rady tej niewyśmienitej używał sławy, szukając we wszystkiem własnego interesu i podporządkowując mu najważniejsze sprawy wydziału. Cóż więc stamtąd spodziewać się mogłem?

Im bliżej rozpatrywałem się w trudnościach, jakie spotykałem na drodze, którą sobie wytknąłem, tem jaśniej widziałem, iż jeden tylko znajdował się podówczas w War-

szawie człowiek, który mógł mnie podeprzeć i skutecznie dopomódz do urzeczywistnienia mego planu. Był nim książę Ksawery Drucki-Lubecki, minister skarbu. Już samo urzędowe stanowisko nadawało mu przeważny wpływ na wszystkie sprawy, a niezwykła bystrość umysłu, wrodzona czynność, gruntowny patryotyzm i gorąca chęć przyczynienia się do rozwoju kraju, tak pod względem materyalnym, jak moralnym i naukowym, zrobiły zeń duszę całego ówczesnego życia i ruchu w stolicy. Zetknąłem się z nim zaraz po mojem przybyciu do Warszawy, o ile przypominam sobie, w domu wojewodziny Stanisławowej Potockiej, urodzonej Lubomirskiej, w bliższy jednak, serdeczny mogę powiedzieć, wszedłem stosunek dopiero, gdym się mu z mojemi zamiarami co do szkoły lekarskiej zwierzył. Objął on odrazu doniosłość ich i ważność i nietylko nie wstrzymywał moich zachceń, ale je sprężyście parł naprzód.

Projekta moje, ogólne, bardziej oparte na poczuciu tego, co potrzeba, niż na świadomości sposobu przeprowadzenia ich, w praktycznem ręku księcia Lubeckiego przybrały zaraz wykonalne kształty i najwłaściwszą formę. Po kilku rozmowach ze mną miał on już cały plan akcyi ułożony.

— Naprzód, powiedział, zaczniemy od wystawienia nowego gmachu dla szkoły, to grunt; jak to nam się uda, reforma dalsza, stworzenie nowych katedr, zapełnienienie gabinetów etc. etc. przyjść musi samo przez

się. Inicyatywę wziąć powinien Grabowski. Ciężka z nim sprawa, szkoda tej nauki i wiadomości które posiada, marnuje je jak skąpiec, który ze swego skarbu nikomu nic nie użyczy i sam z niego nie korzysta; ale jakoś damy sobie z nim radę. Sam się tem zajmę, a Pan powinieneś dopilnować w Radzie Wydziału oświecenia i w fakultecie. Głównie zależy mi na pospiechu, plan budowy zatwierdzony być musi przez cesarza, trzeba więc, aby był gotów przed przybyciem jego do Warszawy. To już rzecz pańska, ja zaś dopomogę na ile mnie stać.

Pozyskanie dla moich projektów ks. Lubeckiego było już połową wygranej. Jakoż w kilka dni po naszej stanowczej rozmowie, minister Grabowski przesłał do Rady Wydziału oświecenia urzędowe zapytanie, ażali nie uważa ona dotychczasowego pomieszczenia szkoły lekarskiej za niedostateczne. W Radzie tej miałem Radomińskiego i Lewockiego za soba. Z tym ostatnim zwłaszcza ścisła przyjaźń łączyła mnie z Krzemieńca jeszcze. Był on tam domowym nauczycielem ks. Eugeniusza Lubomirskiego, który się potem ożenił z Maryą Czacką, córką Tadeusza. Idąc wciąż drogą naukową, przechodził różne koleje, aż wreszcie objął posadę wizytatora szkół w Królestwie Polskiem. Głos jego na decyzyę Rady wpływał stanowczo; on też, wspólnie z Radomińskim uznali nietylko pomieszczenie szkoły lekarskiej za niedostateczne, ale szybkie i radykalne zara-

dzenie temu za niezbędnie konieczne. Na podstawie zdania tego, polecił minister Grabowski fakultetowi medycznemu wysadzić specyalną komisyę, któraby się zajęła co rychlej ułożeniem planu nowej budowy dla szkoły.

O ile obojętnie przyjął wydział lekarski moje poprzednie w tym przedmiocie uwagi, o tyle na rozkaz ministra wszystko poszło szybko i gładko. Ja i Fiałkowski jednogłośnie prawie zostaliśmy wybrani. Rada administracyjna wydelegowała też dwóch członków, i tak w ciągu dwóch tygodni nie spełna po rozmowie mojej z ks. Lubeckim, zawiązał się już komitet i sprawa była na drodze arcyurzędowej, prowadzącej wprost do jej urzeczywistnienia.

Nowy budynek na obszerną miał być postawiony skalę. Ks. Lubecki sam sobie tego życzył — gdy mamy robić, powtarzał wciąż, to róbmyż dobrze. Wszystkie trzy kliniki, terapeutyczna, chirurgiczna i położnicza, gabinety, sale i audytorya powinny się były w nim wygodnie mieścić. Nadto prosektoryum anatomiczne, oddział dla waryatów, pokoje dla rażonych wścieklizną, kąpiele mineralne i parowe i ogród botaniczno lekarski uzupełniały całość. Mieliśmy się gdzie rozprzestrzeniać, bo przeznaczono nam obszerny plac z ogrodem, Frascati zwany, a niedawno od Nowosilcowa kupiony.

Co się tyczy wewnętrznego rozporządzenia budynków i zewnętrznych form jego,

plany podobnych gmachów w Berlinie, w Paryżu i w Monachium służyły nam za wzór, a specyalni znawcy i architekci z ministeryum spraw wewnętrznych i skarbu mieli sobie poruczonem techniczną stronę wykończyć i kosztorysy wygotować.

Praca szła raźno; ks. Lubecki też nie spuszczał z niej oka, wchodził w najdrobniejsze szczegóły projektu, o wszystkiem chciał wiedzieć i we wszystkiem jakąś praktyczną dopomógł radą. Zwykle spędzałem u niego w tym celu piątkowe wieczory. Wtedy nikt, prócz żony ministra i jego siostry, pani Scypionowej nie składał naszego towarzystwa. Damy i ja zasiadaliśmy do herbaty, a książe, wedle swego zwyczaju, chodził wciąż po pokoju, paląc fajkę i biorąc od czasu do czasu swą filiżankę ze stolika. Rozpoczęta w ten sposób rozmowa, przenosiła się potem do bawialnego pokoju i trwała do północy. Nieobeznany z wydziałem nauk lekarskich, obcy wszystkim ich wymaganiom, słuchał książę z największą uwagą moich przedstawień i rezonowań, obejmował je szybko, przyswajał sobie i wnet w praktyczną oblekał formę. Czasem i p. Scypionowa czynniejszy w rozprawach tych udział brała, a zdrowa myśl cechowała każde jej odezwanie się. Podobna zewnętrzną postacią do brata i moralnie nie różniła się od niego. Umysł jej potrzebował też ciągłego i obszernego zajęcia, a sąd o rzeczy zawsze był trafny i jasny. Ona to prowadziła wszystkie majątkowe in-

teresa księcia ministra, ona zaprowadzała przemysłową i ulepszoną administracyę w jego dobrach, i sama sobie wystarczała na tem polu, do którego brat, sprawom publicznym wyłącznie oddany, nie mieszał się zgoła.

Książę Lubecki, był wzrostu małego. Głowę miał kształtną, z czołem wypukłem i dużą łysiną; z tyłu okalały ją rzadkie siwe włosy, z odcieniem ciemniejszej barwy, zwykle rozrzucone i w nieładzie. Oczy jego wielkie, piwne, pełne były życia i bystrości, twarz okrągła, wygolona, nos krótki, usta grube a forma ciała przysadkowata. Kształtnym i powabnym książe nie był, ale w ruchach żwawy, w chodzie szparki, na pierwszy rzut oka, robił wrażenie nie pospolitego człowieka, i takim rzeczywiście się okazywał przy bliższem poznaniu. Wszystko go zajmowało i najdrobniejszych nawet szczegółów nie lekceważył. Pod jego zarządem i wpływem, i za jego inicyatywą, gospodarstwo krajowe, przemysł i handel, olbrzymie zrobiły postępy; za tem bezpośrednio najbardziej interesowała go oświata. Podniesienie jej, i uogólnienie leżało mu na sercu, nie żałował też na to środków, przeciwnie wynajdował je, tworzył i skupiał jak mógł, byleby raz powziętą myśl, wprowadzić w wykonanie. Często pytałem sam siebie, skąd mu siły wystarczają na tyle, a tak różnorodnej pracy, tymczasem im więcej się projektów koło niego gromadziło, im bardziej był zarzucony robotą, tem więcej się czuł w swoim żywiole,

obejmował je, klassyfikował i przerabiał z niesłychaną bystrością, a co wyszło z pod jego ręki nosiło na sobie piętno wykończenia i praktyczności, której nic ani dodać ani ująć nie można było. Czytał zwykle mało, najczęściej kazał sobie czytać lub streszczać w opowiadaniu najzawilsze sprawy, i słuchał pilnie przechadzając się wciąż po pokoju. Na razie niewypowiadał nigdy wrażenia jakiego doznał, czasem w kilka dni dopiero dawał odpowiedź, ale ta zwięzła i kategoryczna, mogła być śmiało uważaną za niezachwiany i ostateczny wyrok.

Wracając do naszej reformy szkoły medycznej, przy pomocy księcia Lubeckiego, budowniczych i dobrej woli członków komisyi, plany i kosztorysy, w porę zostały wykończone, i na dni kilka przed przyjazdem cesarza Mikołaja do Warszawy, jeden ich egzemplarz znajdował się już w tece ministra Grabowskiego, a drugi u księcia Lubeckiego. Wszystko zawisło było wówczas od tego, czy otrzymają one najwyższą sankcyę. Minister Grabowski miał je z urzędu cesarzowi przedstawić, duchem opiekuńczym jednak całego tego projektu, pozostał zawsze ks. Lubecki, a znając przewybornie stosunki dworu, wpływy na nim rozmaitych osób, i drogi, po których chodzić trzeba, polecił mi gorąco, abym się starał wejść co rychlej w najlepsze stosunki z Lejb-Medykiem samej cesarzowej, drem Krejton (Crigton), który

miał się w świcie znajdować, a resztę zostawił naturalnemu biegowi rzeczy.

Z Krejtonem poszło mi gładko. Zaprosiłem go na kilka konsultacyj w mieście, odwiedziłem potem dziękując za przyjęcie moich zaprosin, on też rewizytował mnie natychmiast, a że poczciwy był człowiek, otwarty i szczery a bez wielkich ceremonij, zbliżyliśmy się wkrótce, i stanęliśmy ze sobą na stopie przyjacielskiej. Jakoż na dobre wyszedł nam ten stosunek, bo niebawem otrzymał Krejton polecenie od cesarza, aby zwiedził nasze kliniki i szkołę, i zdał mu o nich najszczegółowsze sprawozdanie. Sam mnie o tej misyi uwiadomił, nie wiedząc jeszcze, do czego ona w rezultacie zmierza. Ułożyliśmy wspólnie dzień i godzinę jego odwiedzin, a przy pomocy innych profesorów, takeśmy wszystko przygotowali, że poczciwy Anglik zachwycony był stanem naszego zakładu, któremu brakowało tylko odpowiedniego miejsca i budynku, aby się należycie rozwinął.

Przez cały ten czas, rzadkom się widywał z księciem Lubeckim, niezmiernie był on zajęty, i większą część dnia w zamku przepędzał, że zaś chciał wiedzieć szczegółowo o stosunku moim z Krejtonem i o wrażeniu, jakie na tym ostatnim sprawiła szkoła lekarska i zwiedzane przez niego kliniki, znosiliśmy się więc za pośrednictwem pani Scypionowej, która bratu w wolniejszych chwilach komunikowała otrzymane odemnie wiadomości.

Tymczasem, najmniej się tego spodziewając, w kilka dni po wizycie urzędowej Krejtona w szkole, otrzymuję zawezwanie z sekretaryatu Królestwa polskiego, abym nazajutrz stawił się osobiście w gabinecie J. C. K. Mości na Zamku dla wyjaśnienia planów, dotyczących budowy nowego gmachu dla szkoły lekarskiej. Choć zakłopotał mnie nie mało ten rozkaz, bom nie był nawykły ani do etykiety dworu, ani do jego zwyczajów, musiałem jednak wykonać go ściśle i przystroiwszy się w pełny profesorski mundur, stawiłem się o naznaczonej godzinie na pokojach królewskich. Zaprowadzono mnie zaraz do obszernego salonu, gdzie, niedaleko od okna, siedział już cesarz przy stole suknem amarantowem nakrytem, na którym leżało mnóstwo papierów, zwitków i planów. Przeglądał on je po kolei, a urzędnicy wywołani przez adjutanta krótkie i zwięzłe dawali wyjaśnienia. Druga zaś część pokoju, od drzwi, przez które mnie wprowadzono, zajęta była przez świtę w półkole uszeregowaną, a złożoną z generałów różnej broni i urzędników rozmaitych ministeryów. Wszyscy przystrojeni w hafty, wstęgi, ordery, szlify i t. d., tworzyli różnobarwną mozaikę o tęczowych kolorach, wśród której trudno było pojedyncze rozeznać osoby.

Głucha cisza zalegała salon, przerywał ją tylko głos cesarza, donośny, rozkazujący i odpowiedzi osób, do których skierowywał swe zapytania. Poważno-sztywna postać jego

podobną była do marmurowego posągu pięknego dłuta, ale mało ożywiona, nieruchoma prawie, zdradzała dumę, surowość i zamknięcie się w sobie.

Obejrzawszy się do koła, spostrzegłem z jednej strony tuż stojącego a dobrze mi znanego generała Krasińskiego; nachyliłem się więc, aby słów kilka na ucho do niego przemówić, ale on dał mi znak, iż milczeć wypada; z drugiej strony znajdował się książę Maksymilian Jabłonowski, mistrz obrzędów królewskiego dworu, podaliśmy sobie dłonie, także nie wymieniwszy ani słowa. Trwało tak z dobre pół godziny, już mi się duszącą poczęła wydawać atmosfera tego pokoju i całego otoczenia, gdym ujrzał, iż cesarz wziął w rękę plan szkoły lekarskiej; wysunąłem się więc naprzód i chciałem iść wprost do stołu, ale książę Jabłonowski, ująwszy mnie za poły od munduru, osadził na miejscu.

— *Restez a votre place* — szepnął mi w samo ucho.

Cofnąłem się znów na poprzednie miejsce, aż adjutant zawołał: profesor Kaczkowski.

Przystąpiłem do stołu. Cesarz nie patrząc nawet na mnie, zapytywał wodząc szybko palcem po planie:

— *Qu'est ce que c'est? Et ceci? Et cela?*

Odpowiadałem również krótko.

— *C'est la clinique médicale*; *c'est la clinique chirurgicale*; *c'est pour les opérations*;

c'est une chambre pour les enragés; ce sont les bains etc. etc.

Trwało to parę chwil najdłużej, poczem zwrócił się cesarz do urzędnika z ministeryum finansów, stojącego z drugiej strony stołu i zapytał:

— *Combien cela peut-il couter?*

— *A peu prés deux millions de florins*, odpowiedział urzędnik.

Zmarszczył brwi cesarz, odrzucił plany i wyrzekł: *C'est trop*, a spojrzawszy na mnie dodał:

— *Crigton m'a parlé de vous: poursuivez vos travaux, je les recompenserai.*

Skłoniłem się i odszedłem.

Swobodniej odetchnąłem, gdym się po za zamkiem ujrzał, jakby jakiś ciężar spadł mi z piersi.

— A to mi dopiero waryaci ludzie — pomyślałem sobie — co gonią za dworskim blaskiem i dworskiemi względy. W tak sztucznem, wysilonem życiu dniabym jednego nie przeżył, a oni poświęcają swobodę, czas i mienie, aby w tej dusznej kręcić się atmosferze i jaśnieć świetnością uroku, której naprawdę nie rozumiem.

Choć lekko mi było na świeżem powietrzu, jednak to: *c'est trop*, wymówione przez cesarza niemile brzmiało w mych uszach. Zdawało mi się, że już po naszych projektach, że sankcyi nie otrzymamy, że wszystko przepadło. Myśl ta, jak czarna zmora obsiadła mnie wkrótce całkiem, i tem przykrzej

gniotła, iż zaradzić przewidywanej katastrofie wydawało mi się niemożebnem.

Przebrawszy się, pojechałem natychmiast do księcia Lubeckiego, szukając tam choć iskry nadziei; księcia nie zastałem, pani Scypionowej też nie było w domu; kazałem się zawieść do ministra Grabowskiego. Ten, gdym mu szczegóły bytności mej w zamku opowiedział, sposępniał i zaczął narzekać, że się wdał w tę całą sprawę.

— Nic z niej nie będzie—zawyrokował w końcu — cesarz na taki wydatek nie zgodzi się nigdy, skompromitowaliśmy się tylko, żądając rzeczy niemożebnych. To ten Lubecki wszystkiemu winien, wiecznie mu w głowie jakieś projekta i reformy, ale drugi raz nie złapie mnie już na tę wędkę — a przewidywałem, że tak się skończy. I cóż ja teraz cesarzowi powiem, jak się z tej sieci wyplączę?

Nie pokrzepionego wcale odwiedzinami u ministra oświaty, już coraz głębsze ogarniało mnie zwątpienie, gdy w parę dni otrzymałem z sekretaryatu państwa urzędowe zawiadomienie, że cesarz plan nowej budowy zatwierdził wedle pierwotnego kosztorysu, że dalszą wewnętrzną reorganizacyę szkoły lekarskiej polecił, a mnie orderem św. Stanisława zaszczycił. Nazajutrz doręczono mi też komandorskie insygnia jego wraz z patentem.

Jak się to wszystko stało wytłómaczyć trudno. Był to rezultat półgodzinnej rozmowy cesarza z księciem Lubeckim, w czasie

której, jak mi książę Maksymilian Jabłonowski opowiadał, zażądano znów do gabinetu cesarskiego, złożonych w archiwach planów projektowanej budowy. Po skończonej audyencyi wyszedł książę Lubecki z gabinetu cesarskiego, trzymając w ręku te plany, zatwierdzone już przez cesarza.

Gdym go w dni kilka potem zobaczył, nie taił książę przedemną radości ze swego sukcesu.

— No teraz—mówił—mamy podstawę do dalszej pracy, najtrudniejszą przesadziliśmy baryerę, starajmyż się nadal nie potknąć się na gładkiej drodze, co nam do przebieżenia zostaje i dójdźmy wytrwale do założonego celu.

Przygotowania do projektowanej budowy miały się zacząć natychmiast, a właściwe wznoszenie gmachu dopiero z wiosną następnego 1831 roku, tymczasem należało dalsze stawiać kroki do wewnętrznego zreorganizowania szkoły. Praca ta przypadła na mnie. Zrazu, zachęcony i ośmielony nagłym zwrotem tej sprawy, chciał minister Grabowski sam się koło niej krzątać, ale bojaźliwy i wahający się we wszystkiem wkrótce zaczął się ociągać i sam dla siebie tworzyć trudności, musiał więc i w tym razie książę Lubecki interweniować, a przez wrodzoną energię i silną wolę, stanowczo na jej przebieg wpływać.

W porozumieniu zatem bardziej z księciem Lubeckim niż z ministrem Grabowskim

ułożyłem program, mający zapełnić dwa lata, nim gmach stanie. Proponowałem w nim, aby wybrać czterech najzdolniejszych uczniów z piątego kursu i wysłać ich pod opieką i nadzorem jednego z profesorów na ten czas za granicę. Misyą profesora, oprócz kierowania powierzoną mu młodzieżą, miało być przejrzenie zakładów klinicznych i szpitalnych, jako też gabinetów i prosektoryj w Niemczech, we Francyi i Anglii, aby na wzór najsłynniejszych nasze potem urządzić. Co się zaś tyczy uczniów, z tych jeden powinien był się oddać wyłącznie studyom nad patologią i patologiczną anatomią, która wcale u nas wykładaną nie była; drugi miał się zająć fizyologią, embryologią i mikrografią, gdyż tych dwóch ostatnich przedmiotów także u nas brakowało; tym dwom przeznaczałem głównie Berlin i uniwersyteta niemieckie; dla trzeciego praktyczna chirurgia, a dla czwartego oksykologia i farmaceutyka przypadły w dziale. Sądziłem, że we Francyi najbogatsze znajdę po temu źródła. Nadto radziłem przyjęcie adjunktów do każdej z klinik i do ważniejszych katedr, wyszukanie zdolnych i zamiłowanych w swoim przedmiocie konserwatorów do gabinetów i wreszcie utworzenie przy uniwersytecie szkoły weterynaryi i felczerów. Książę Lubecki zachęcał mnie do najobszerniejszego rozwinięcia moich myśli i zamiarów, każda z nim rozmowa zwiększała zakres pierwotnego programu i

wprowadzenie do niego dwóch ostatnich szkół, jemu głównie zawdzięczałem.

— Nie krępuj się, mój kochany profesorze — mówił mi on kiedyś, odwiedzając mnie w mojem wiejskiem ustroniu za Jerozolimską rogatką, gdziem wakacye przepędzał — nie krępuj się, rozwiń myśl swoją całkowicie, a ja ci dopomogę do jej urzeczywistnienia. My wszystko mieć i wiedzieć musimy, co mają i wiedzą oświeceńsze narody. Zobaczysz, jaką ja tu szkołę politechniczną założę. Z Warszawy Ateny zrobimy. Zdolności nam nie brak, trzeba je tylko skierować na właściwą drogę, przysporzyć środków, zachęcić do pracy i wytrwałości, a raz w nie wdrożeni prześcigniemy innych. Twoja rzecz medycynę postawić u nas na właściwem stanowisku, staw więc ją należycie, a ja ci z całego serca dopomogę.

— Jeśli Wasza Książęca Mość, odezwałem się, tak obszernie zapatrujesz się na potrzebę wszechstronnego rozwinięcia oświaty, to dla czegoż nie mielibyśmy przy uniwersytecie założyć szkoły weterynaryi. W rolniczym kraju naszym chów zwierząt domowych wielką gra rolę, dobrzeby było mieć specyalistów w tej gałęzi. a i lekarzom nie zawadzi obeznać się, choć w ogólnych zarysach, z tą nauką; przy obszerniejszych wiadomościach łatwo im to przyjdzie. Tak jest w Wilnie, tak mogło być i w Warszawie. Ja bym nawet tutaj obszerniejszy plan nakreślił. Możnaby przy fakultecie lekarskim mieć

dwóch profesorów, jednego do wykładu teoretycznej, a drugiego do praktycznej weterynaryi. W zakres pierwszego wchodziłaby anatomia porównawcza, opisanie chorób epidemicznych i zwykłych i hygiena zwierzęca, drugi zaś miałby klinikę zwierząt domowych. Studenci piątego kursu byliby obowiązani uczęszczać na te wykłady, a oprócz tego możnaby stworzyć osobny dział weterynarzy dyplomowanych, którzyby wyłącznie poświęcali się tej nauce.

— Ważna rzecz — odrzekł książe — jestem za tym projektem, włóż go pan do swego programu. Zapewne, może byłoby praktyczniej zakład taki złączyć z agronomicznym, zobaczymy pózniej, a tymczasem umieśćmy go przy szkole lekarskiej. U nas potrzeba żeby każdy ekonom miał pojęcie o weterynaryi, powoli przyjdzie do tego. Ach, wiele a wiele mamy jeszcze do roboty w naszym kraju. Chciałbym każdą specyalność z pieluch wyprowadzić. Zagranicznych drogo opłacamy i nie zawsze wdzięczna ich praca. Własna pepiniera nam potrzebna. Czacki swym wielkim rozumem pierwszy zwrócił uwagę na rozwój specyalności. Wszak już mieliście tam szkołę mechaników, geometrów, a miała być ogrodnicza i instytut guwernantek. To był człowiek szerokich myśli a niezrównanej energii. Jaki przy tem obszar wiadomości, jaka zadziwiająca pamięć! Ja rzadko czytam, bo czasu nie mam; u mnie książka — to człowiek, a biblioteka — ludzie, z

nich czerpię i u nich się uczę, nie mogąc w foliałach szperać; żywe słowo lepiej przystaje do mnie niż rozwlekłe druki, ot i dziś, nie bez pożytku przeszła mi ta godzinka, będziemy mieli szkołę weterynarii, o której nie wiem nawet w jakich księgach potrzebowałbym szukać jasnego pojęcia, gdybyś mi był go nie dał.

W kilka dni znów, będąc u księcia Lubeckiego na herbacie, gdy mnie się zapytał czy program mój gotów, powiedziałem, że już jest na ukończeniu, ale chciałoby mi się dodać doń jeszcze szkołę felczerską.

— Potrzebna ona niezbędnie, tłómaczyłem, bo przychodzi nam najczęściej nieumiejętnym zaufać żydkom; miejmyż pewniejszą rękojmię w usłudze lekarskiej. Kurs nauk byłby trzechletni. Dwa lata teoryi z praktyką, a trzeci samej praktyki w szpitalu lub klinice. Wstęp do niej byłby otwarty dla każdego kto złoży świadectwo z trzech klas szkoły wydziałowej i zaręczenie o dobrych obyczajach.

— No, no, przerwał mi książe, i to wyśmienite, mój kochany profesorze, przyjmuję i akceptuję szkołę felczerską, dla czegożeś jej odrazu nie umieścił?

— Z obawy, aby zbyt nie przeciążyć budżetu.

— To już moja rzecz, śmiejąc się odpowiedział książe Lubecki. Pieniądze znajdę na wszystko, co jest dla kraju potrzebnem. Spiesz się tylko pan ze swoim programem,

bo musi on przejść wiele formalności a trzeba aby od Nowego roku wszedł w życie. Nie oddawaj go też Grabowskiemu, on go trzymać będzie długo, a w końcu zaprzepaści. Podaj go wprost do rady uniwersyteckiej, mam tam takich co mi wierzą i dopomogą, tą drogą przejdzie szybko i gładko.

Pani Scypionowa, świadek tej rozmowy, wmięszała się też do niej.

— Piękne robicie panowie projekta, odezwała się ona, ale obok szkoły lekarskiej, weterynaryi, felczerskiej, politechnicznej, agronomicznej i nie wiem już jakiej, zapominacie o jednej, podrzędnej niby, a w rzeczy samej ważnej, bo dotyczącej wewnętrznej domowej ekonomii. Może też i mnie wolno będzie coś w tym względzie zaproponować.

— Słuchamy, słuchamy, powiedział książe.

— Wszak, jak w kraju ministeryum spraw wewnętrznych, ciągnęła dalej pani Scypionowa, tak w gospodarstwie domowem zarządniem wielkiego jest znaczenia. Trzeba się na wszystkiem rozumieć, utrzymać ład i porządek, zaprowadzić możebne oszczędności itd. Jest to umiejętność oddzielna, a w edukacyi kobiet naszych zupełnie zaniedbana. Zapewne, dobrzeby było, aby nasze panie same znały się na tem, co pod ich bezpośrednią pozostaje władzą, ale trzeba również, aby mogły znaleść zdolne pomocnice i wyręczycielki w tych drobnych a tak pożytecznych zatrudnieniach. Czemużby więc nie stworzyć zakładu, w któ-

rymby się dla naszych domów wykształcały gospodynie, klucznice i ochmistrzynie? Wszak to tyle jest różnorodnych przedmiotów w domowej ekonomii, że warto je wydoskonalić i usposobić do nich oddzielną klasę oficyalistek, któreby się stały zarówno po wsiach, jak i po miastach pożądanemi.

— Zdałoby się i to, rzekł książe, ale moja pani siostro, Kraków nie od razu zbudowany, trzeba też i na budżet się oglądać.

— O, co się tyczy funduszów, podchwyciła pani Scypionowa, mam już znaczną ich część obmyślaną, ze strony rządu żądałabym tylko sankcyi i niewielkiego wsparcia, a rzecz dałaby się przeprowadzić.

— A, jeśli tak, to co innego. Rozmówże się z profesorem, on ci da praktyczną radę, ułóżcie projekt, a jak będzie gotów, rozpatrzymy go wspólnie. — Wszak nie odmówisz mej siostrze pomocy, panie Karolu, dodał książe zwracając się do mnie.

— Najchętniej służyć będę pani, choć czuję się niekompetentnym w tej gałęzi.

Pani Scypionowa skoro raz myśl jaką powzięła, nie łatwo ją opuszczała. Musiałem więc kilka wieczorów poświęcić dyskusyi nad jej projektem, który coraz praktyczniejszą przybierał formę. Uradziliśmy, aby ogrodnictwo, przyrządzanie owoców marynowanych, kwaszonych, prasowanych, smażonych itd., następnie kucharstwo, wychowanie krów, cieląt, nierogacizny i ptactwa, tuczenie ich, przyrządzanie mięsiw i wędlin, nabiału i

serów, wyrób płócien, szycie i pranie bielizny itd., słowem wszystko, co w zakres domowego gospodarstwa wchodzi, było umiejętnie i ściśle w szkole tej traktowane. Dodaliśmy do tego wykład religii, arytmetyki, języka polskiego i skróconej historyi narodowej, podzieliliśmy kursa na trzy lata i stanął szkic zakładu, mającego mieć 12 uczennic funduszowych i tyleż o własnym koszcie, z prawem uczęszczania doń na wykłady i innym, ktoby sobie tego życzył.

Zrazu bawiła mnie ta praca przez samą oryginalność pomysłu, później na seryo zajmować poczęła. Książę Lubecki, przychodzący zwykle pod koniec dyskusyi, także się nią zainteresował i brał udział w rozprawach.

— Im bliżej się przypatruję, mówił on razu jednego, tem bardziej nabieram przeświadczenia, że istotnie z podobnego zakładu może być korzyść wielka. Choć z drugiej strony przyznać wypada, iż jeśli panie naszę odstąpiły od swego przeznaczenia gospodyń, nasza w tem wina, bośmy ich wychowaniu inny nadali kierunek. Obarczyliśmy je potrzebą umienia różnych języków, kultywowania talentów, wprowadziliśmy w odmienne warunki życia, odsuwając myśl ich i uwagę od spraw domowych. Musimy za to sami pokutować. Warta jednak rzecz ta wszechstronnego zastanowienia. Każdy wiek ma swe potrzeby i wymagania. Jeśli dawniej poszliśmy na oślep za francuską galanteryą, a

może nawet za daleko, to dziś, kto wie, czy nie byłoby z pożytkiem wrócić stopniowo do realniejszego poglądu, reformując edukacyę kobiet i naginając ją do narodowych obyczajów. Otóż, pod tym względem, zakład powyższy oddałby wielką usługę, bo tworząc umiejętne ochmistrzynie, podniósłby gospodarstwo domowe na stopień rzeczywistej nauki, a dla pań naszych, obdarzonych znaczną dozą miłości własnej, stałby się bodźcem do skierowania na właściwą drogę wrodzonych zdolności, jakie bez zaprzeczenia posiadają. Gdybyśmy zaś kiedy do tego doszli, każdy z nas poczułby wkrótce rezultat tej zmiany w stanie własnych interesów, bo zamiast trwonić czas i pieniądze po balach i magazynach, znalazłby przeciwnie, w swej drogiej połowicy, najprzychylniejszego pomocnika w domu i na folwarku.

— Tak jest mości książe, odezwałem się, zmiana wychowania kobiet w kierunku powyższym wielką przynieśćby mogła korzyść, ale z drugiej strony wpłynąćby potrzeba, aby szlachta nasza, już pomimo uprzedzeń, o których książe mówiłeś, nie zniechęcała jeszcze i nie odpychała innemi sposoby swe żony od domowych zatrudnień. Wszak jako lekarz, krzątając się po różnych dworach, dworkach i pałacach, widziałem nieraz jak kuchnie i spiżarnie ledwie nie o pół wiorsty były od domu odległe, a ułatwienia żadnego, podręcznych schowków nigdzie. Czeladź w brudnych i zakopconych

izbach, mieszcąca się gorzej od koni i owiec, jakże tam ma zaglądnąć pani po błocie i słocie, bez narażenia się na chorobę?

— Tak, tak, wielka prawda, zawołał książe, reformując wychowanie kobiet i nas samych inaczej kształcić potrzeba. Ale to przyjdzie samo przez się, niech tylko jejmości nasze dobry dadzą początek. Tyś kochany profesorze nieżonaty, ale jak się ożenisz, to sam sprawdzisz, że my rządzim światem, a nami kobiety. Od nich więc wszystko zależy, a że Instytut ochmistrzyń ma im dać impuls, którego pragniemy, wiwat więc ten zakład, oby co rychlej stanął! — Nieprawdaż pani Siostro? dodał książe, zwracając się do pani Scypionowej i całując ją w rękę.

Gdyśmy tak sobie nad gospodarstwem domowem rozprawiali, projekt mój reformy szkoły lekarskiej przechodził tymczasem zwykłe urzędowe koleje. Idąc za zdaniem księcia Lubeckiego, zamiast u ministra Grabowskiego złożyłem go do Rady uniwersyteckiej, a ta, rozpatrzywszy, przyjęła go całkiem. Wkrótce i minister Grabowski musiał zatwierdzić rzecz zdecydowaną w zasadzie, a biegu której powstrzymać już nie mógł i nie chciał, tak, że w kilka tygodni od podania go, fakultet medyczny został zawezwany do wyboru profesora, mającego się udać za granicę i do wskazania towarzyszących mu uczniów

Nad moje spodziewanie, jednogłośnie zostałem przez moich kolegów tym wyborem

zaszczycony, a co było wyższym jeszcze dowodem zaufania fakultetu do mnie, że zamiast wskazać uczniów, których miałem zabrać ze sobą, zostawił mi zupełną w tym względzie wolę i swobodę. Nadto brata mego młodszego, Michała, który niedawno skończył wydział lekarski w Wilnie i do Warszawy przyjechał, na temże posiedzeniu zdecydowano przedstawić do wyższej władzy jako pierwszego adjunkta z zaliczeniem przy klinice mojej i z obowiązkiem zastępywania mnie podczas mojej nieobecności. Nawet dziekan Roliński, co zawsze z podełba na mnie spozierał, tym razem prawdziwą chciał mi okazać sympatyę, za co też przebaczyłem mu od serca dawniejsze niesnaski.

Wyjechać miałem za granicę w początku 1831 roku, zaraz po egzaminach ostatniego kursu, na które czekać musiałem, aby wybrać wśród kończącej młodzieży najcelniejszych uczniów. Tymczasem przygotowywałem się zwolna do tej podróży, zbierając materyały, oświadamiając się gdzie i co będę mógł zaczerpnąć. Któż był w stanie odgadnąć wówczas, że to wszystko nie przyjdzie do skutku, że jako poroniony projekt pozostanie na zawsze. A jednak, jeśli kiedy, wtedy właśnie sprawdziło się przysłowie: *l'homme propose et Dieu dispose.*

Czarne chmury zasępiały zwolna horyzont stolicy, a stamtąd nad całym krajem zdawały się rozciągać. Atmosfera w Warszawie coraz duszniejszą się stawała. Zajęty

wykładami w szkole i praktyką, to znów projektem reformy i przygotowaniami do podróży, mało miałem czasu, aby śledzić baczniej kierunek politycznego życia, zachodziły jednak wypadki, które i mojej nie mogły ujść uwagi.

Wiedziałem, że rozprawy w sejmie nie szły w ład rządzącym, że pomimo balów, iluminacyj, zabaw publicznych, parad wojskowych itd. co wszystko nastąpiło z przyjazdem dworu w miesiącu Maju 1830 r. i budziło miasto do życia i wesołości, jakiś chłód wiał zewsząd i najwytworniejsze salony Warszawy nie mogły go przezwyciężyć. Do tego drobne na pozór okoliczności zdawały się rozjątrzać umyślnie i tak już naprężone stosunki. Na balu np., który prezes senatu, Zamojski, dawał dla cesarstwa, pomimo całej uprzejmości gospodyni i szczerej zachęty gospodarza, nie kleiła się zabawa, sztywny i urzędowy przyjmując charakter. Wreszcie, koło północy, cesarzowa wezwawszy swego mistrza ceremonii, Stanisława Potockiego, oświadczyła mu, iż chce z jednym z posłów tańczyć. Napróżno biegał mistrz po wszystkich salonach, żadnego posła ani też marszałka sejmu nie było na balu; za długo w noc przeciągnęła się sesya i dopiero w godzinę potem poczęli się okazywać na sali balowej, gdy cesarzowa z wyraźnem nieukontentowaniem na twarzy, już ją opuszczała.

Co w wyższych warstwach społeczeń-

stwa płaszczem przyzwoitości stara się okryć, w niższych występowało w całej swej surowości. Podczas Zielonych świąt, np. na Bielanach zebrało się było kilkadziesiąt tysięcy ludzi, liczne gromady zajęły lasek, a wesołość i wrzawa ogarnęły wszystkich. Naraz daje się słyszeć głos wzywający do wykrzyku hura! hura! gdyż cesarzowa przejeżdżała właśnie w kolasce w kształcie kosza uplecionej a zaofiarowanej Jej przez warszawskich karetników. Jak gdyby na hasło umówione z góry, ustały w jednej chwili śmiechy i hałasy, a zamiast hura zapanowała grobowa cisza; krótko też dworska świta bawiła na Bielanach i w najgorszym humorze wróciła do zamku.

Najwybitniejszym jednak i najgłośniejszym z wypadków, jaki się podówczas zdarzył, było przejście następne. Prezydent miasta, p. Wojde, znany powszechnie ze swej uległości dla rządu, pomimo osobistych zalet, stracił był zupełnie sympatyę u ludu Warszawskiego i uważany był za ślepe narzędzie wyższej władzy. Otóż gdy razu jednego odmówił dotkliwemi słowy natarczywej i kilkakrotnie powtarzanej prośbie jakiegoś aplikanta domagającego się o stałe miejsce, aspirant ten ściągnął go publicznie kijem po grzbiecie. Tak zuchwały postępek pociągnął za sobą uwięzienie winnego. W innym stanie rzeczy, publiczność zdrowoby osądziła fakt zaszły i niewinnie poszkodowanemu prezydentowi okazałaby jakieś współczucie—ale

tym razem stało się inaczej, napastnik wyszedł na bohatera a napadnięty na pośmiewisko. Jakoż w kilka dni pokazały się płócienka z prągami czarnemi, niebieskiemi lub różowemi na białem tle, noszące nazwę Wójdówek, a miasto całe rozchwytywało je na letnie ubiory.

Nadto, krążące nieustanne wieście o patryotycznych tajemnych związkach, z rąk do rąk przelatujące rozmaite paszkwile na osoby w skład rządu wchodzące, przy ogólnym powyższym nastroju, wywoływały niesłychaną czujność policyi. Szpiegostwo tak się było rozwinęło, że objęło wszystkie warstwy społeczeństwa, nikt nie był pewnym najbliższych siebie, a najmniej sług; wzajemna nieufność i podejrzenie, pomimo woli ogarniały wszystkich. Zapewne, wszystko to razem wzięte nie wróżyło bespiecznej przyszłości, ale znów wątpię, czy był kto w stanie przewidzieć ją podówczas tak, jak za parę miesięcy miała się nam ona przedstawić. Co do mnie przynajmniej nie spodziewałem się zgoła tak prędkiego wybuchu i w najlepszej wierze, z nadzieją dojścia do pomyślnego rezultatu, prace me naukowe i przygotowania do podróży prowadziłem.

Zajęcie każde wymaga wypoczynku, a umysł potrzebuje rozrywki—i jedno i drugie znajdowałem w towarzystwie Warszawskiem, w którem liczne miałem znajomości i stosunki. Najbardziej poważanym w stolicy był podówczas dom wojewodziny Stanisławowej

Potockiej, urodzonej z Lubomirskich. Składały się na to zarówno pamięć zasług jej męża, ministra oświecenia, jak i cnoty samejże, 80cio-letniej prawie gospodyni. Zaraz po przybyciu mojem do Warszawy zostałem wojewodzinie przedstawiony i zaproszony stale na wieczory do niej. Zbierało się tam codziennie poważne kółko z kilku osób złożone, a w Niedzielę liczne towarzystwo dam i mężczyzn. Książę Adam Czartoryski, Niemcewicz, Tomasz Grabowski, Michał Potocki, Sobolewski, prezes rady administracyjnej i wielu innych stałymi byli jej gośćmi. Sędziwa wojewodzina w głębokim fotelu prostując się o ile starość pozwalała, czynny brała w rozmowie udział, w przyjęciu zaś i obowiązkach gospodyni wyręczała ją najczęściej zawsze piękna księżna Teresa z Lubomirskich Jabłonowska, żona księcia Maksymiliana, jej pokrewna.

Poważna rozmowa o bieżących wypadkach zajmowała zwykle towarzystwo, choć nieraz i krotochwilom przystęp dawano. Niemcewicz poufale po salonach wojewodziny gospodarujący, zazwyczaj pierwszy dawał do nich popęd. Wesoły i rubaszny, skoro się w gronie dam znalazł, humorem swoim podsycał gawędkę i wnet ją na pole dowcipów i żartów wprowadzał. Wiek, powaga i stanowisko narodowe, jakie długoletnią pracą zdobył, nadawały mu wyłączne prawo niekrępowania swojego słowa, stąd też uchodziło mu to, czego nikt inny powiedziećby nie mógł.

Tak n. p. razu jednego, gdym był w drugim salonie zajęty rozmową z kimś, podchodzi szybko do mnie, bierze za rękę i prowadzi do grona dam, które tylko co opuścił.

— No, kochany profesorze — mówi — trzeba, abyś tym paniom dał lekcyą medycyny, gdyż wyobraź sobie utrzymują, że nie wiedzą czem się różnią kobiety od mężczyzn.

— Wszystkiem — odrzekłem — a głównie pięknością ciała i duszy, co im wynagradza sowicie słabość sił fizycznych.

— Brawo, brawo, i ja tak mawiałem, jak byłem w twym wieku, ale dziś chciałbym, abyś im to wytłómaczył po prostu, anatomicznie...

— Nie pleć że aspan androny — przerwała mu wojewodzina—zawsze cię język do podobnych rozmów świerzbi.

— No, jeśli tak — zawołał Niemcewicz —to moją lekcyą na drugi raz odłożę, teraz widzę do gustu wam przypadło zdanie Kaczkowskiego, ale to teorya oparta chyba na gorącem sercu i bujnej wyobraźni młodzieży.

Kiedyś znów, wśród najpoważniejszej rozmowy o teoryi jestestw organicznych odezwał się Niemcewicz:

— Wierzę w to co mówisz, że człowiek stoi na najwyższym szczeblu organicznej doskonałości, alež muszą być w tem jakieś gradacye, bo choć i pismo święte naucza, że Bóg stworzył nas na obraz i podobieństwo

swoje, zawsze jednak trudno mi przypuścić, aby p. Kalasanty Szaniawski był do Boga podobny.

Śmiech powszechny rozległ się po sali, a stary Niemcewicz rad z konceptu, przeszedł do innych pokoi.

Szaniawski ów był radzcą w wydziale oświaty i dyrektorem cenzury. Kiedyś człowiek postępu, przyjaciel i zwolennik najzagorzalszych republikanów francuskich, stał się z czasem najuleglejszym służalcem Nowosilcowa, któremu za złoto przekonania swe i zdolności zaprzedał. Jako cenzor, w zbytniej gorliwości krępował swobodę myśli do takiego stopnia, że nieraz sam Nowosilcow musiał te więzy zwalniać. Niemcewicz nie lubił Szaniewskiego otwarcie i przy każdej okoliczności wypowiadał się z nienawiścią do niego, a żartom i drwinkom w tę stronę skierowanym, nie było końca.

Kochany i szanowany powszechnie Julian Ursyn Niemcewicz nie wielkiego był wzrostu, zaokrąglonej budowy ciała i rumianej pełnej twarzy. Głowa łysa, z tyłu tylko i po bokach długiemi, białemi jak śnieg włosy na ramiona spadającemi, przyozdobiona, przy oku niebieskiem, żywem i pogodnem i dobrotliwym uśmiechu na ustach, robiła bardzo sympatyczne i pociągające wrażenie. Potęgował go jeszcze urok, jaki osobę Niemcewicza otaczał. Lgnęli do niego wszyscy, i na wyścigi starali się okazać mu szacunek, przyjaźń i pamięć. Skromne mie-

szkanie jego w pałacu wojewodziny Potockiej i we własnej wiosce pod Warszawą, Ursynowem zwanej, zapełnione było drobnemi dary i upominkami. Przy wielu zaletach miał on też i uderzającą wadę — niesłychanego gadulstwa. Rozmowa z nim nigdy się wyczerpać ani skończyć nie mogła, z przedmiotu w przedmiot wpadając, zapominał nieraz o powierzonej sobie tajemnicy i spostrzegał popełnioną przez siebie niedyskrecyę wtedy, gdy już było zapóźno. Powszechnie składano to na karb podeszłego wieku i tak też w rzeczy samej być musiało.

Obok wieczorów u wojewodziny Potockiej, bywały też recepcye u księcia Adama Czartoryskiego. Redukowały się one do obiadów, na które zwykł był książę zapraszać raz w tydzień po kilkanaście osób. Etykieta nie była uciążliwą, dla tego z przyjemnością inwitacye te przyjmowano. Różne spotykało się tam osoby, najczęściej jednak z literatów i uczonych. Chłodna, a bardziej flegmatyczna powierzchowność gospodarza, przy całej uprzejmości jego, nadawała zgromadzeniu pewną sztywność i powagę. Początek zwłaszcza obiadu zawsze był takim, później dopiero ożywiała się rozmowa, rodziły się dowcipy i koncepta. Nieprzekraczały one nigdy granic najściślejszej przyzwoitości, a gdy się zaczęły tyczyć osób nieobecnych, lub za swobodnie posuwały się naprzód, książę umiał zawsze z wielkim taktem, jaki w wy-

sokim stopniu posiadał, zwrócić je na właściwą drogę lub zatrzymać w miejscu.

Pamiętam, na jednym z takich obiadów wszczętą była dyskusya o pochodzeniu ludów i ktoś z gości dowodził, iż domysł pewnego autora, wyprowadzającego cyganów od Jadźwingów, może być usprawiedliwionym, gdyż rzeczywiście nazwa pierwszych powstała ze stopniowego skażenia nazwy ostatnich.

— Jadźwingów, mówił on, przerobiono z biegiem czasu na Dźwingów, Dzyngów, Dzygów, zkąd powstali w końcu Dzyganie czyli cyganie.

Jedni byli za, drudzy przeciw tym wywodom.— Ci, którzy na podobieństwie brzmienia wyrazów chcieli tworzyć nowe teorye historyczne, najczęściej naciągane, przytaczali dowody, aż po naradach wzięli się do nazwisk rodowych. Radziwiła wyprowadzali z wyrazów, że rad żywił, a Sapiehę od Zapieki, możnego Litwina, który swarliwego będąc temperamentu, dopiekał czy też zapiekał do żywego swym sąsiadom. — Zapieka miał się zmienić w Sapieka, aż w końcu wyszedł Sapieha.

Obecny tej rozprawie Ludwik Osiński, tuż przy mnie siedzący, uśmiechał się tylko na te rozumowania, będąc widocznie przeciwnego zdania; wreszcie, korzystając z chwilowej przerwy, zabrał głos i w te odezwał się słowa:

— Jeśli już na tej podstawie budować

mamy historyczne wywody i ją, jako niezbity przytaczać argument, to pozwolę sobie zapytać waszej książęcej mości, czy nie wydarzyło się jej w bogatych rękopismach Puławskiej biblioteki wyczytać gdziekolwiek, że uboga rodzina Osińskich była protoplastą możnej i wielkiej familii Czartoryskich?

Zdziwione oczy wszystkich zwróciły się na mówiącego, grobowa cisza zapanowała przy stole, a książe Adam wyprostowawszy się nieco

— Jakto być może, rzekł, co wasan mówisz?

— Tak jest Mości książe, ciągnął dalej Osiński; — przerzucając rodowe moje foliały z różnych epok, dyplomata, tranzakcye, ekscerpty, pozwy i dekreta, zauważałem, że nazwa Osińskich zmieniała się zwolna z postępem wieków, również jak Jadźwingów i niespokojnego Zapieki. I tak, naprzód, to jest najdawniej czytam wyraźnie: Cześnik Osiński, później Miecznik Siński, dalej Oboźny Syski, dalej komornik Czyski, jeszcze dalej a naszych czasów bliżej Rozyski, aż za nim najoczywistszy Łowczy Czartoryski. Otóż to co czas i skażenia językowe dokazują. Pod ich przemocą zmieniają się nietylko nazwy narodów, ale nawet ciche i szlacheckie Osińskich imię przechodzi na głośne i dygnitarskie Czartoryskich. Jakżeż nie wierzyć tym metamorfozom, gdy za niemi tak jasne przemawiają dowody!

Naturalnie, każdy poznał w tem paradoks użyty jedynie dla obalenia tylko co wygłaszanych teoryj, wydał się on jednak wszystkim za daleko posuniętym, zwłaszcza przez wzgląd, że dotykał osoby gospodarza, i nikt nie chciał nań odpowiedzieć, nie wiedząc, jak to książe przyjmie. Książe zaś, zauważywszy ogólne wahanie się, ze zwykłą sobie bystrością umysłu i łagodnością, nie tracąc chwili wzniósł toast:

— Jeśli tak, więc zdrowie mego protoplasty pana Ludwika Osińskiego.

Kielichy zabrzęczały, Osiński cały poczerwieniał a rozmowa weszła na inne tory.

Po za temi dwoma domami które pierwsze bez zaprzeczenia zajmowały w stolicy miejsce, liczne jeszcze zgromadzały towarzystwo salony hrabiny Działyńskiej i jej córki Klaudyny Potockiej, pani Szambelanowej Fredro, księżnej Aleksandrowej Galicynowej, księżnej Teresy z Lubomirskich Jabłonowskiej, Pani Lewockiej żony Radcy w Ministeryum oświaty i wizytatora szkół, i kawalerskie zebrania u księcia Henryka Lubomirskiego, czasowo tylko w Warszawie bawiącego. I ja też, wymogom towarzyskim robiąc zadość, a niechcąc drogiego czasu na etykietalne wizyty tracić, wybrałem jeden wieczór w tygodniu, w którym przyjmowałem znajomych

Ludzie są ludźmi i trzeba ich brać jakimi są. Wychodząc z założenia tego mało mnie raziły przeróżne pojęcia, że niepowiem dzi-

wactwa, ówczesnego modnego świata Warszawskiego, boć prawie zawsze, pod najbardziej wietrzną powierzchownością, kryła się tam jakaś iskierka poczciwości i patryotyzmu — to już niezmienna cecha nasza, a za iskierkę tę wiele podrzędnych usterek godzi się wybaczyć. Ale czegom nierozumiał wtenczas i dziś wytłómaczyć sobie nie mogę, to socyalnej pozycyi i moralnego stanowiska niejakiego Pana D. totumfackitgo wszystkich Warszawskich salonów. W solicach tylko indywidua podobne wychować się i prosperować mogą. Nienawykły do tego rodzaju egzemplarzy, zastanowił mnie on i pozostał w pamięci.

Brzydki, pozbawiony zarostu, ospą zeszpecony, z nosem krogulczym, oczkami żywemi, szaro-piwnemi, wiecznie uśmiechnięty, ruchawy a niezgrabny, wiecznie wystrojony w surdut z granatowego sukna z amarantowym kołnierzem, bo się liczył w Wydziale spraw wewnętrznych, p. D. najmniej się zajmował służbą, a natomiast czynne i pracowite pędził życie po buduarach pań Warszawskich, i w domu Pułkownika, a później Generała Z., w którym występował w roli maitre d'hotel. — Od rana do późnego wieczoru spotkać go można było na ulicy krzątającego się z magazynu do magazynu, od krawca do kutiuriery. Zawsze miał pełno zleceń i komisów; tam zakazał dla kogoś robotę i sam przyniósł materyi, rozmierzył i przy sobie skroić kazał, indziej obłożony

na wszystkie strony sztukami jedwabnych lub wełnianych wyrobów, moteczkami włóczek, peli i t. d. jechał fiakrem, to znów pędził piechotą z bukietem najpiękniejszych kwiatów, nie zdradzając się przed nikim od kogo i dla kogo niesie. Nogi, czas i siły na tego rodzaju zajęcia poświęcał. Przyczem dziwne w nim było, wrodzone usposobienie do posłuszeństwa i służebnej uległości, kto tylko chciał mógł mu rozkazywać i był pewnym spełnienia swej woli. P. D. cienkim i pieszczotliwym głosem zgadzał się na wszystko i wnet zabierał się do roboty. Sądziłby ktoś iż szukał w tem własnej korzyści — bynajmniej; chciwość i żądza pieniędzy obcą mu były, potrzeby jego osobiste zbyt skromne, a gdy przy śmierci generała Z. któremu całe życie wysługiwał jak niewolnik, chciał go generał bezpotomnie schodzący, suto obdarzyć, nie przyjął zapisu a prosił tylko o kilkanaście morgów ziemi z pługiem i narzędziami rolniczemi, aby miał gdzie siwą złożyć głowę. Pretensyi do figurowania w salonach też niemiał; na balach, wieczorach, piknikach, które urządzał i dla których zadyszany, bruki stolicy zbijał, nie troszczono się wcale o jego osobę, widziałem go nawet razu jednego, wśród ochoczej zabawy, drzemiącego w kącie jadalnego pokoju. — Cóż więc go mogło zachęcać do tylu trudów i do wytrwania w tak podrzędnej roli? Pytanie, na które dotąd nieznalazłem stosownej odpowiedzi.

Z bliższych stosunków najmilsze pozostały mi wspomnienia o pani Klaudynie Potockiej i pani Maksymilianowej Fredro, z domu Gołowin. Obie zacne, pełne dobroci, a same cierpiące, pojmowały tem lepiej cierpienia innych. O pani Klaudynie gdzieindziej mówić będę, a co się tyczy pani Fredro dodam tylko, iż spieszyła ona tam wszędzie, gdzie nędza i boleść pomocy wzywały i robiła więcej niż jej skromne fundusze pozwalały. Mąż jej, marszałek królewskiego dworu, nie przeszkadzał, owszem pomagał swej żonie w tej pracy. Był to zacny i poczciwy człowiek, żywy, wesoły, towarzyski, lubownik literatury narodowej ze szczególniejszym pociągiem do prac poetycznych. Dalej wspomnieć tu muszę o Stefanie Witwickim, młodym podówczas człowieku, pełnym nadziei, którego „Listy z Zagranicy“ wiele w swoim czasie rozgłoszu miały, o Ludwiku Osińskim, rodzonym bracie ks. Alojzego Osińskiego, niegdyś profesora w lyceum krzemienieckiem. Już za pięćdziesiąt lat sięgający, blond, łysy, dość otyły ale w ruchach i w mowie pełen życia, dyrygował wówczas sceną narodową i rzeczywiście wpłynął na jej rozwój. Zdolny, dowcipny i przyjemny w towarzystwie, słynnym był podówczas ze swej walki z romantyzmem, która się tak niepomyślnie dla niego, a tak chlubnie dla literatury naszej zakończyła. Zaglądali oni do mnie często, wraz z Lasockim, Alojzem Tylmanem, Piotrem Chle-

bowskim, Skrockim, profesorem fizyki a i Joachim Lelewel, dawny mój z Wilna znajomy, nieraz raczył mnie swemi odwiedzinami zaszczycić.

Z kolegów-lekarzy w ciągłej prawie zostawałem styczności z Brandtem, Bącewiczem, Malczem, Kosztulskim, Oczapowskim i Leblem, a dla tego ostatniego prawdziwą powziąłem przyjaźń.

Czas więc mi pożytecznie i przyjemnie schodził w Warszawie, że zaś każda róża ma kolce i tam nie obeszło się bez ale. Tem ale była część urzędowa towarzystwa warszawskiego, zależna od Belwederu lub zostająca w bezpośrednich czy też pośrednich stosunkach z w. ks. Konstantym i jego otoczeniem. Z nią trzeba było być ostrożnie jak z ogniem, aby palców nie popiec, a wręcz unikać było niepodobna, bo ani moje urzędowe stanowisko, ani też rola praktykującego lekarza nie pozwalały na to. Tem drażliwszą stała się moja pozycya, gdy księżna Łowicka, za uzdrowienie panny generałówny Dąbrowskiej, jej pokrewnej, poczęła jawną okazywać dla mnie przychylność, gdy następnie i ją samą musiałem wziąć w kuracyę, a stąd wypadło mi zetknąć się bliżej z tym światem.

Każdy kaprys w. księcia był tam najświętszem prawem, humor jego jedyną wskazówką łaski lub potępienia, a że ten często się zmieniał, stąd w Belwederze wieczne zamięszanie i niepewność jutra. Dworactwo

tak się tam było rozwinęło, że pochlebstwo, plotki, intrygi, szpiegostwo nawet, były to codzienne dania, jakiemi w. księcia karmiono, któremi chciano zaskarbić sobie jego względy. Czasem najniewinniej wymówione słówko, rosło w niepomierne rozmiary, dochodziło do jego uszów i wywoływało burzę.

Pamiętam, razu jednego, sam się w takiem znalazłem zdarzeniu i tylko opiece księżnej Łowickiej zawdzięczam, żem nie wyleciał z Warszawy jak z procy.

Leczyłem przez czas jakiś żonę generała Gendra; już się miała zupełnie dobrze i przepisawszy sposób zachowania się odpowiedni jej stanowi zdrowia. pożegnałem ją zapowiedziawszy, iż dalsze me wizyty uważam za zbyteczne, gdy mąż jej pełen grzeczności, odprowadzając mnie do schodów, zatrzymał tam na chwilę, mówiąc:

— Wiesz, panie profesorze, ile ci wdzięczny jestem. Otóż, jako sprzyjający ci od serca, dam panu radę, za którą jeżeli pójdziesz, nie pożałujesz.

— Słucham, odpowiedziałem.

— W. Książę, ciągnął dalej generał G. nie lubi gdy kto nosi duże bokobrody, gniewa go to. Czemuż w tak małej rzeczy nie dogodzić jemu.

Sądziłem, że drwi ze mnie, zarumieniwszy się więc trochę, odparłem żywo.

— Dzieciństwa, mój generale, nie zajmujże mi pan niemi drogiego czasu.

— Oj nie dzieciństwa, na to generał, młody pan jesteś i zdaje się panu, że na świecie zawsze się po szerokiej idzie drodze, że bez ścieżek się obejdzie. Ale wierz pan memu doświadczeniu. W. książę bardzo pana poważa i kocha, księżna Łowicka otwarcie pana proteguje, początek dobry, o cóż więc idzie — o jedne bokobrody, abyś tak nosił, jak Jego książęca Mość lubi. Cóż panu szkodzi ot tak podgolić — pokazując na swej twarzy dodał generał.

Widząc, że się na seryo ta rzecz traktuje, nie mogłem słumić uśmiechu i na wpół żartem odpowiedziałem:

— Przesadzasz panie generale. Pewny jestem, że w. książę przy tylu zatrudnieniach jakiemi jest obarczony, o podobnych drobnostkach nie myśli. Cóżby go obchodzić miały moje bokobrody, chyba tyle co mnie nos w. księcia, że go ma do góry podniesiony, a nie na dół spuszczony. Dziękuję za radę, ale wybacz, że się do niej nie zastósuję. — Adieu.

Nazajutrz wieczorem przyjechał do mnie książe Maks. Jabłonowski i po zwykłem przewitaniu, tak. zaczął.

— Ej, kochany profesorze, nieznasz naszego świata, a kiedy go nieznasz postępuj jak z nieznajomym. Otwartość chowaj dla przyjaciół — a dla innych milczenie. Pocoś wczoraj przed generałem Gendrem tak się wynurzał. Wszak ten diabeł dziś na herbacie w Belwederze z lisią układnością opo-

wiadał całe przejście i zakończył temi słowy: „wyłajał mnie Kaczkowski za mą radę i dodał że pewnie W. książe tyle się moje, mi bakenbrodami interesuje, co ja nosem W. księcia, że w górę zadarty, a nie w dół spuszczony.“

— Struchlałem, ciągnął dalej książe, gdym to usłyszał, bom się lękał piorunowego wybuchu. Jakoż namarszczył brwi Wielki książe i burza tuż tuż zahuczyć miała, ale księżna Łowicka, obecna w salonie, przywidując na co się zanosi i że na tobie się skrupi, pospieszyła ją zażegnać.

— Ma racyę Kaczkowski, odezwała się ona, że W. księcia mało obchodzą jego bokenbrody, a ważniejszą jest rzeczą dla jego książęcej Mości że ma pod ręką dobrego doktora. Wszak i ja, od kiedy mnie leczy, czuję się zdrowszą i silniejszą.

— *Oui, en effet*, odpowiedział W. książe *la princisse a meilleure mine depuis quelques jours. C'est incontestablement un bon médécin.* I rozmowa zwróciła się na inny przedmiot.

— Nic więc złego nie wynikło dla ciebie tymrazem, mówił dalej ks. Jabłonowski, ale facecyjki takie po śliskiej u nas chodzą drodze. Jeszcze coś, a bez szwanku niewyjdziesz, W. książe ma dobrą pamięć, a jak sobie nakarbuje, to i księżna Łowicka cię nie obroni. Baczność więc, kochany profesorze, baczność na każdy wyraz, bo nietylko sam sobie ale i nam wszystkim zaszkodzisz, gdy

nagle pewnego poranku nie będziemy mieli do kogo udać się po poradę.

Podziękowałem serdecznie ks. Jabłonowskiemu za jego przestrogę, a dla generała G. powziąłem postanowienie odwdzięczenia się kiedyś za chęć przystawienia mi stołka w Belwederze. Jakoż nie długo zdarzyła się potemu okoliczność.

Korzystając z wakacyi, na parę miesięcy letnich wyniosłem się był na wieś, za Jerozolimską rogatkę i tam daleki od gwaru miasta, trochę wypoczywałem, trochę sam się leczyłem, a najbardziej przygotowywałem się do projektowanej podróży za granicę. Wieczorami odwiedzali mnie zwykle liczni znajomi. Otóż razu jednego, gdym miał kilka osób na herbacie, już późno w nocy, anonsuje mi służący, iż w przedpokoju czeka pułkownik S., jak śmierć blady i prosi, abym wyszedł wnet do niego, gdyż jest umierającym.

Wybiegam, wprowadzam go do salonu i widzę średnich lat człowieka, strasznie zmienionego, przyciskającego zakrwawioną ręką lewy bok. Goście moi cofnęli się wnet do gabinetu, a jeden z nich szepnął mi na ucho:

— Pewnie pojedynek, bądź ostrożny.

I na mnie stan pułkownika takież zrobił wrażenie. Biorę za puls, nadzwyczajne w cyrkulacyi zamieszanie, to galopuje, to znów nieczuć go prawie.

— Cóż ci jest, zapytałem, powiedz szczerze, wszystkiemu zaradzimy, sekret z tych ścian nie wyjdzie.

— Nie mam żadnego sekretu do zawierzania ci, panie profesorze, odpowiedział. Choroba moja o tyle mi tylko wstyd robi, o ile się nią może zanadto przestraszam i po kobiecemu obawiam.

— A taż krew na ręku, to tulenie jej do skrwawionego boku, cóż znaczy?

— Choruję na kurcz w sercu, męczę się od lat kilku, leczy mnie poczciwy nasz dr. Oczapowski, i co dnia wybieramy się prosić pana na konsultacyą. Dziś, przed parą godzinami, nadzwyczajny porwał mnie atak, serce biło jak młotem, a ból i duszność do nieopisania. Oczapowskiego nie było w domu, kazałem więc sobie, jak zwykle, przystawić 12 pijawek, a że nie sprawiły mi ulgi, w rozpaczy przyjechałem do pana prosić o radę. Przepraszam za tę desperacką wycieczkę, za ten nocny napad, ale wiem, żeś pan wyrozumiały. Biedna żona, pełna trwogi, towarzyszy mi.

— Gdzież jest pułkownikowa.

— Została w powozie, nie wiedząc czy będzie mogła o tej porze wejść do pańskiego mieszkania.

Wyszedłem na ganek, goście moi już się rozjechali, jeden stał tylko powóz zakryty.

— Cóż się dzieje z moim kochanym i biednym Edwardem? Czy nie ma nic niebezpiecznego, były pierwsze słowa pułkownikowej, czystą francuzczyzną wymówione. Uspokoiłem ją jak mogłem i wprowadziłem do domu. —

Co miałem pod ręką użyłem natychmiast, począł zwolna pułkownik przychodzić do siebie, bicie serca ustało, duszność i ból przeszły zupełnie. Dowiedziałem się też, iż powodem ataku była ranna wizyta pułkownika u w. księcia.

Swobodniejszych wyobrażeń, otwartego i wesołego charakteru, pozwalał sobie nieraz pułkownik żartować ze zbytniej karności i surowości zaprowadzonej w wojsku, a że w owym czasie śledzono pilnie po mieście osoby niechętne rządowi, że czujna policya chwytała każdy odcień, choćby pozór tylko, i z niego różne wyprowadzała wnioski, przedstawiła więc w. księciu pułkownika S., jako człowieka podejrzanych usposobień. Przywołał go natychmiast w. książe do siebie, surowo skarcił i zapowiedział, że jeśli swego sposobu myślenia i postępowania nie zmieni, przyjdzie mu się pożegnać z całą karyerą i ze szlifami, bo na nim da przykład surowości prawa.

Przerażony tem pułkownik, zwłaszcza, że pogróżka łatwo sprawdzić się mogła, bo miał wielu niechętnych sobie w otoczeniu belwederskiem, z wielkiego wzruszenia dostał silnego ataku, który najczęściej po każdem moralnem wstrząśnieniu przychodzi.

Wreszcie zdrowszy i uspokojony, dobrze już po północy, opuścił moje mieszkanie, a przewidując, że od mych gości nawet rozejść się może fałszywa pogłoska o mniemanym pojedynku pułkownika S. prosiłem go aby rano pokazał się na mieście i tem za-

dał kłam podobnym wieściom, gdyby krążyły istotnie.

Zapomniałem już o tem zdarzeniu, gdy nazajutrz o południu zaanonsowano mi generała Gendra. Nie miłe wrażenie zrobiła na mnie ta wizyta, ale nie mogąc się wymówić, kazałem prosić.

— No, kochany profesorze, oglądając się na wszystkie strony i zniżonym głosem zaczął generał, cóż z pułkownikiem S. czy rana niebezpieczna, na jaką broń był pojedynek, z kim się on bił?

A widząc, że nie odpowiadam rychło, dodał przybierając minę poufnego zwierzania się:

— Nie myśl, aby mną sama ciekawość powodowała. W. książe też interesuje się tym wypadkiem. On bardzo lubi pułkownika i radby go zasłonił od odpowiedzialności, ale to zrobić może tylko dopóki urzędowego raportu o tem zdarzeniu nie odbierze. Za kilka godzin może być zapóźno. Masz w swojem ręku los człowieka i jego rodziny, powiedzże mi drogi profesorze czy rana niebezpieczna?

— Dwanaście, nachylając się do ucha półgłosem wyrzekłem, i wszystkie w lewy bok.

— Jak to być może? i to kłótych.

— Kłótych.

— Więc chyba dawny francuski pojedynek na szpady! A niewiesz z kim?

— Jako lekarz, nic nadto powiedzieć panu generałowi nie mogę.

— A, rozumiem, przysięga, słowo honoru, nie wymagam też. A żyć będzie.

— Mam nadzieję.

— Dziękuję ci drogi profesorze, wielką oddałeś pułkownikowi S. usługę. Dziękuję. I ścisnąwszy mnie za rękę wyleciał do powozu, który lotem błyskawicy zniknął w zakresie wśród ogrodów.

Zatarłem ręce z zadowolnienia, że mi wreszcie nadarzyła się zręczność odwetować generałowi G. za jego opiekę nademną; pomyślałem sobie, przyszła kreska na Matyska i kazałem podawać śniadanie.

Ledwiem go skończył, gdy stanął przedemną adjutant z Belwederu, żądając, abym natychmiast jechał do W. księcia. Przebrałem się co spieszniej, i w półgodziny byłem już w jego gabinecie.

W. książę, chodził dużemi krokami po pokoju, znać było na nim gniew i zapyrzenie. Generał Gendre stał w kącie, więcej nikogo nie było.

— *Est-ce vrai que le Colonel S. a reçu douze blessures et qu'il vit encore*, zapytał W. książe podniesionym głosem, skoro mnie zoczył.

— *Oui*, *Monseigneur*, odpowiedziałem *mais ce ne sont que des morsures.*

— *Comment*, *que dites Vous?*

— *Le Colonel S. en suite d'une profonde emotion qu'il éprouva hier*, *fut pris d'une*

si forte attaque des crampes au coeur, que pour lui sauver la vie, on a du lui appliquer douze sangsues.

— *Pauvre homme*, powiedział W. książę, zmieniając wyraz twarzy, *merci pour les renseignements, que Vous venez de me donner.* A obracając się do generała Gendra, dodał: *Vous ne me rapportez, que des mensonges.*

Wyniosłem się z gabinetu prędzej, niżem tam wchodził, generał Gendre przeprowadził mnie zaognioym wzrokiem, zdającym się mówić: do widzenia, przy pierwszej okoliczności. Możebym i źle wyszedł z czasem na jego odwecie, ale zaszły wkrótce wypadki Listopadowe, i przerwały nić tej walki.

Rok 1830ty, pamiętnym jest jeszcze dla mnie i z tego względu, że w ciągu jego, gruntowna zaszła w życiu mojem zmiana. Poprzedziła ją ciekawa okoliczność, o której wspomnieć, choć w kilku słowach, muszę.

W ustroniu mojem wiejskiem, za Jerozolimską rogatką, gdziem wspólnie z młodszym bratem moim Michałem, lato spędzał, mieliśmy starą Niemkę, nazwiskiem Bauer jako kucharkę i ochmistrzynię. Sążniste podawała nam ona rachunki, wiedząc o naszej nieświadomości cen targowych, ale dobre i smaczne robiła obiady, za co przebaczaliśmy jej chętnie nieoszczędzanie naszej kieszeni i inne małe usterki, a zwłaszcza niesłychane gadulstwo, któremu końca trudno było położyć. Język jej, jak kołowrotek, raz w ruch puszczony, nie ustawał prędko, a gdy nie-

miała z kim, sama ze sobą rozmawiała głośno. Słowem, poczciwe to było kobiecisko, ze wszystkiemi wadami i zaletami swej profesyi.

Otóż, pewnego poranku, gdym tylko co zasiadł do kawy, pokazała się we drzwiach mojego gabinetu. Już sięgnąłem ręką po książkę, jedyne refugium w podobnych wypadkach, ale nim pospieszyłem ją schwycić, kołowrotek zaskrzypiał, i potok słów popłynął. O wszystkiem tam było. O leguminie, którą na obiad przygotowuje, o trudności dostania dobrej śmietanki. o niesforności lokaja i t. d. i t. d., aż wreszcie zakonkludowała pani Bauer, że musi pojechać do miasta, aby kupić świeżych moreli, z których chce zrobić lody i kompot.

— Skądże ci to przyszło, zapytałem, wszak pojechawszy o tej porze, spóźnisz się ze śniadaniem.

— Skąd mi to przyszło, odpowiedziała przybierając tajemniczą minę,—bo widzi Pan, zdaje mi się, że dziś będziemy mieli gości.

— Mamy ich co dzień, a przecież obchodzimy się bez tego.

— To prawda, ale dziś będą tacy, jakich jeszcze nie było. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że śniło mi się tej nocy, żem była w ogrodzie, i wiele pięknych fruktów spadało na mnie z drzewa, jam je zebrała i niosła do pana, aż tu z nich piękny zrobił się bukiet, który Pan sobie przypiął przy lewym boku.

— Więc stąd wynika, dodałem śmiejąc się, że trzeba, abyś jechała do miasta kupować morele?

— Tak jest, łaskawy Panie, bo jak mi się śnią frukta i kwiaty, to znaczy, że będą goście i panny, a jak bukiet, to wesele, że zaś go pan sobie przypiął, stąd jasno zatem jak na dłoni, że Pan w tym roku jeszcze się ożeni, i to z kimś, kto Pana dzisiaj odwiedzi.

— Et, bredzisz moja Bauer, chce ci się jechać do miasta i koniec. Jedź więc sobie, bylebyś się ze śniadaniem nie spóźniła, a mnie daj pokój, bo widzisz, żem zajęty.

— No, no, kiedy Pan zajęty, to nie ma rady — ale morelowe lody taki będą dzisiaj, bo mi się nigdy darmo takie rzeczy nie śnią, i zobaczy pan, że stara Bauer ma racyę. Jabym jeszcze powiedziała, że i to ciągłe czytanie na wiele się nie przyda, czemu by się nie rozerwać, na świeże wyjść powietrze..... a to przy kawie książka, przy śniadaniu książka, przy obiedzie książka, nie ma nawet kiedy o ważnych pomówić rzeczach. — A widząc, że to nie skutkuje, i że wzroku z książki nie spuszczam, machnęła ręką i wyszła ku wielkiemu memu zadowoleniu.

Giest jej wyrażał dosadnie: et, nie ma z nim co mówić, to zakuta głowa. — Jestem też tego przekonania, iż stara Bauer liche musiała mieć o mnie i o moim bracie wyobrażenie.

Tymczasem koło południa zaturkotał powóz. Czekam kto wejdzie, ale czekam dłużej niż zwykle, widać ktoś nieświadomy rozpytuje się o mnie w ogrodzie, wreszcie jakież było zdziwienie moje, gdym ujrzał przed sobą towarzystwo z kilku osób złożone. Byli to państwo Milo z córką i panną Czarnecką. Z Krzemieńca wybrali się do wód za granicę i w przejeździe parę tygodni mieli w Warszawie zabawić. Panna Czarnecka, jako cierpiąca, powierzoną im została przez krewnego i opiekuna, p. Gałacera Sulatyckiego. Znałem już ją poprzednio w Krzemieńcu i nie przeczę, że znajomość ta żywo pozostała mi w pamięci, nie sądziłem jednak abyśmy się rychło znów spotkać mieli. Co się zaś tyczy państwa Milo, zdawna łączyła nas zażyłość i przyjaźń. Mieszkali oni stale w Krzemieńcu, poświęcając się wychowywaniu panien.

Zbytecznie mówić, o ile rad byłem mym gościom. Zatrzymałem ich na obiad, lody morelowe i kompot wystąpiły w całej swej okazałości, poczciwa Bauer wysadziła się na arcydzieła sztuki kulinarnej, a ustroiwszy się w czepiec z różowemi kokardami, rumiana i rozpromieniona krzątała się pomagając w usłudze.

Któż byłby wówczas powiedział, że co się jej wyśniło, to też się i przytrafiło.

Rzeczywiście, zamiast jechać za granicę, pozostali dłużej panstwo Milo z panną Czarnecką w Warszawie, zatrzymani chorobą

tej ostatniej, dawne wspomnienia odżyły w sercu mojem z tem większym zapałem, że przedmiot ich był tuż blisko, panna Czarnecka też nie kryła się ze swoją dla mnie sympatyą, i w kilka miesięcy niespełna, po owej natrętnej rozmowie ze starą Bauer, poprowadziłem moją narzeczoną do ołtarza.

W OBOZIE

Rok 1831.

Z wybuchem powstania dnia 29go Listopada 1830 r., zamknięty został uniwersytet warszawski, kursa przerwane, młodzież tłumnie poczęła wstępować do wojska, a jedne tylko kliniki stanowiły wyjątek, bo naprzód trzeba było skończyć rozpoczęte egzamina, a następnie uzdolnić, o ile się da, przyszłych lekarzy do wyjątkowego zajęcia, jakie na nich na polu walki czekało. Ja więc i dr. Nowicki, profesor chirurgii, ciągnęliśmy dalej nasze wykłady, co nam nie przeszkadzało wejść wspólnie z naszymi kolegami do składu narodowej artyleryi, jakeśmy to na wielkiej Radzie profesorów ze wszystkich wydziałów, jednogłośnie postanowili. Mianowany w tej broni bombardyerem, otrzymałem pod komendę dwie armatki, zdobyte na Turkach pod Warną, dwunastu kanonierów, takichże nowicyuszów jak i ja i jednego podoficera, który nas wszystkich

uczył mustry, bośmy o niej najmniejszego nie mieli wyobrażenia. Była to prawdziwa rozrywka wśród ciągłej książkowej pracy i klinicznych zajęć. Nauka szła szybko i dobrze. Zaprawdę nie święci garnki lepią, a ktoby się chciał o tem przekonać, dość mu było spojrzeć na nasze postępy, jak w trzy niespełna tygodnie posiedliśmy, ku wielkiemu zdziwieniu naszego podoficera i mentora, wszystkie tajniki jego wiedzy, jak zręcznie umieliśmy już działa ustawić, wycelować, wystrzelić i odbywać z niemi przepisane regulaminem manewra.

Wśród tych ćwiczeń, egzaminów i codziennych wykładów w klinice, które się miały ku końcowi, czas mi raźno upływał, a nadzieja, że w ten lub ów sposób, ze skalpelem czy też z armatą, zawsze się stanę krajowi użyteczny, rozweselała serce. Wprawdzie zawód doznany, z powodu zaszłych wypadków, w projekcie reorganizacyi Uniwersytetu, nasuwał czasem smutne myśli, alem nie sądził ani na chwilę, aby miał być stanowczym; przeciwnie, pełen otuchy, brałem go za chwilowe odroczenie, po którem da Pan Bóg, obszerniej jeszcze i świetniej wszystko się urządzi. Tymczasem dnia dnia 2go Lutego 1831 r. z rana, odbieram ze Sztabu głównego od szefa biura generała służby, majora Biernackiego, urzędowe zawezwanie, abym natychmiast przybył do sztabu i zameldował się księciu Radziwiłłowi, naczelnemu wodzowi, który życzy sobie

widzieć mnie bez zwłoki, w celu naradzenia się o służbie zdrowia. Wybierałem się właśnie na moją mustrę artyleryjską. — Rozkaz wodza, to nie żarty, zwłaszcza, żem już się czuł poniekąd żołnierzem. trzeba go było spełnić z całę akuratnością — i w godziny stawiłem się w jego gabinecie.

Księcia Radziwiłła spotkałem parę razy w towarzystwach, ale bliższej nie miałem z nim znajomości. Przyjął mnie bardzo grzecznie i zaczął od tego, iż po naradzie z ks. Adamem Czartoryskim, postanowił zaproponować mi objęcie dyrekcyi czynnej służby zdrowia przy wojsku. Wedle jego sposobu widzenia, ogół jej miał się dzielić na dwie części, rzeczywistą służbą, której naczelnictwo chciał mnie powierzyć i administracyą szpitali — przeznaczoną dla dra. Sztumera; z tym ostatnim miałem się porozumieć co do ułożenia planu i szczegółowego podziału pracy — „a pewny jestem, dodał książę, iż w układaniu wzajemnych stosunków dobro służby i Ojczyzny, zawsze przeważać będzie“.

Nie przeczę, iż propozycya ta schlebiała bardzo mojej miłości własnej, otwierała mi bowiem najwyższe stanowisko, do jakiego lekarz, w swoim obrębie działania, aspirować może. Ale z drugiej strony przyszła mi na myśl trudność zadania, które na mnie chciano włożyć, brak doświadczenia w tej gałęzi służby i wielkość odpowiedzialności. Podziękowałem więc księciu Radziwiłłowi za zaufanie, a nie

chcąc się z góry krępować żadnem zobowiązaniem, prosiłem go, aby mi parę dni zostawił do namysłu. — Nazajutrz rano, to jest d. 3go Lutego, odebrałem znów urzędownie, streszczoną na piśmie propozycyę naczelnego wodza, z podpisem generała służby Morawskiego. Wskazywało mi to, iż również na piśmie dać muszę moją odpowiedź, którą tegoż samego dnia do głównego sztabu przesłałem. Postawiłem w niej trzy warunki: 1o iż przyjmę naczelnictwo czynnej służby zdrowia w armii w takim tylko razie, jeśli dywizyonowi lekarze obecni w Warszawie zgodzą się dobrowolnie poddać pod moje rozkazy; 2o jeśli przez to nie utracę katedry mojej na uniwersytecie, gdyż do niej na przyszłość wielką przywiązuję wagę i 3o jeżeli mój urzędowy stosunek z drem Sztumerem zostanie ściśle określony. — Co do tego ostatniego wypowiedziałem otwarcie, iż nie sprzeciwiam się wcale, aby on objął zarząd szpitali i administracyę ich, ale dla uniknienia wszelkich kolizyj szkodliwych dla służby, stanowczy głos powinien być albo jemu, albo mnie przeznaczony.

Na drugi dzień zostałem zawezwany do ks. Adama Czartoryskiego, miał on już doręczoną sobie odpowiedź moją.

— Warunki pańskie będą przyjęte, powiedział mi książę, z wyjątkiem pierwszego. Zachować dobrą harmonię z podwładnymi należy do pana — ani wódz naczelny ani Rząd narodowy nie mogą, bez naruszenia

karności wojskowej, poddać nominacyi pańskiej głosowaniu dywizyonowych lekarzy. Obstawać przy tem pan nie możesz. Dr. Sztumer zostanie przy zarządzie szpitali, bo jest obznajomiony od lat tylu z wszelkiemi ustawami i szczegółami administracyjnemi, dla uniknienia jednak nieporozumień stanowczy głos w sprawach wspólnej służby dotyczących będzie panu przyznany, a co do pańskiej posady w uniwersytecie komisya rządowa oświecenia publicznego da panu urlop na czas nieograniczony od pełnienia obowiązków profesora w wydziale lekarskim. Tak więc zgoda?

— Zgoda—odrzekłem ściskając podaną mi przez księcia rękę.

— Jutro otrzymasz pan swoją nominacyę, a nie zwlekając trzeba się zabierać do pracy, bo czas nagli.

W ten tedy sposób zostałem dnia 5go Lutego 1831 roku, bynajmniej się tego nie spodziewając, generał sztabs-lekarzem wojska polskiego.

Odrzucenie pierwszego mego warunku przez rząd, choć miało logiczną podstawę, niemniej przeto stawiło mnie w położeniu nader przykrem, bo bez szczerego współudziału kolegów oddawna ze służbą lekarską w obozie obeznanych nie bardzo mógłbym dać sobie radę, a pozyskać go nieznając ich prawie i gdy każdy z nich starszy był odemnie wiekiem i służbą, wydawało mi się rzeczą arcy-trudną. Trzeba było jednak pierwszy

krok na tej drodze zrobić, a od niego zależało wszystko. Nie odkładając zatem, odwiedziłem natychmiast pięciu obecnych w Warszawit dywizyjnych lekarzy: Baleolfa, Przystańskiego, Sauve, Stakelbrandta i Szwęckiego i zaprosiłem ich tegoż dnia do siebie na obiad. Pod hasłem miłości kraju i ludzkości zeszliśmy się nadspodziewanie szybko. Przedstawiłem im z całą otwartością, iż żądam od nich zaufania, karności, pomocy i rady w trudniejszych wypadkach, w zamian za co zobowiązuję się cześć całej służby zdrowia od wszelkiego szwanku bronić, intrygom, szarlatanizmowi i nadużyciom wstępu i rozwoju nie dopuszczać, a zdolności i prace szanować i wynagradzać. Trafiło to do ich poczciwych serc, dobro ogólne przeważyło nad ambicyą i zazdrostką prywatną, podaliśmy sobie ręce i przyrzekliśmy wspólnie wszelkich dokładać starań, aby obowiązkom swoim pod każdym względem zadość uczynić. Nazajutrz po odebraniu nominacyi, wystosowałem urzędową już odezwę do wszyskich wojskowych lekarzy, oznajmiającą im objęcie przezemnie władzy i streszczającą czego od nich będę wymagał, — i tak jakoś nieźle pierwszy mój stosunek z podwładnymi się zawiązał.

Z kolei należało przystąpić do załatwienia drugiej, niemniej ważnej trudności. Liczba lekarzy wojskowych, dostateczna podczas pokoju, zgoła nie wystarczała wśród walki z nieprzyjacielem. Trzeba było ją zdwoić a nawet stroić. W tym razie młodzież

uniwersytecka, która kurs swój tylko co ukończyła, nie zawiodła swojego oczekiwania. Wolski, Drogi, Staniewicz, Kronenberg, Omieciński, Ojrzyński, Żelazowski, Raciborski, Szokalski i t. d. — słowem wszyscy weszli ze mną do służby czynnej i rozsypali się po pułkach i szpitalach. Hierarchia nasza w porównaniu ze stopniami wojskowemi była następująca: podlekarz zostawał w randze podchorążego; zastępca batalionowego lekarza odpowiada podporucznikowi; batalionowy lekarz porucznikowi; zastępca sztab-lekarza sztabskapitanowi; sztab-lekarz kapitanowi; zastępca dywizyjnego lekarza, podpułkownikowi; dywizyjny lekarz pułkownikowi i generał-sztab-lekarz, generałowi brygady. Młodzi lekarze, stosownie do złożonych egzaminów, zostawali batalionowymi lub ich zastępcami. Podlekarzami byli chirurgowie i ci z uczniów uniwersyteckich, którzy całkowitych kursów nauki nie odbyli, a mieli dość uzdolnienia, aby pod okiem wytrawniejszych pracować skutecznie. Urządziwszy w ten sposób służbę zdrowia w szeregach armii, musiałem i o głównej kwaterze pomyśleć. Przybrałem sobie za dyrektora kancelaryi Deiffingera, sztab-lekarza przy artyleryi, dawnego kolegę z uniwersytetu wileńskiego, człowieka wielce poczciwego i doskonale z biórowością obeznanego; dozór nad ambulansami sztabu głównego powierzyłem bratu memu Michałowi, który świeżo otrzymał był nominacyę na adjunkta przy klinice terapeutycznej, a przy

sobie dobierałem po kolei, zwłaszcza w pierwszych chwilach, jednego ze starych dywizyjnych lekarzy dla pomocy i porady w rozmaitych wydarzeniach służby. Później zaś, gdy zwiększona praca nie pozwoliła odrywać ich od obowiązkowego zatrudnienia w dywizyach, a z drugiej strony przybył z legionem poznańskim Karol Marcinkowski, i zjawił się w Warszawie wracający z zagranicy Dr. Seweryn Gałęzowski, zawezwałem jednego po drugim na operatorów przy głównym sztabie.

Dra Gałęzowskiego znałem od dawna osobiście, głęboka nauka jego, poświęcenie się i wysokie chirurgiczne zdolności zwracały nań ogólną uwagę, miałem w nim prawdziwego przyjaciela i doradcę; wszędzie czynny, odznaczył się szczególnie podczas szturmu Warszawy; setki ludzi winni mu swe życie. O drze Marcinkowskim zaś słyszałem tylko bardzo wiele dobrego od Wojewodziny Działyńskiej, pani Klaudyny Potockiej i od namiestnika w. ks. Poznańskiego, księcia Antoniego Radziwiłła. Pierwsze zetknięcie się moje z nim było całkiem niespodziane. Po bitwie pod Grochowem przeglądałem nowoformujące się oddziały, aby widzieć czy są należycie w służbę zdrowia zaopatrzone i z kolei wstąpiłem do legii Poznańskiej. Jakież było moje zdziwienie, gdym się od dowódcy dowiedział, że dr. Marcinkowski jest w niej prostym szeregowcem.

— To pięknie z jego strony, ale czyż

w swoim zawodzie nie byłby pożyteczniejszym? — zapytałem.

— Zapewne, odrzekł pułkownik, i my tego jesteśmy zdania; radziliśmy, prosiliśmy go, słuchać nawet nie chciał, wreszcie ofiarowaliśmy mu oficerskie szlify, i tych nie przyjął. Natura uparta, co raz postanowi, tego nikt nie zmieni. A szkoda; we froncie każdy go zastąpić potrafi, choć dobry żołnierz, za wzór innym służy. Ale lekarzy z takiem doświadczeniem i zdolnościami mało. Napróżno mu jednak o tem mówić.

— Chciałbym go widzieć.

— Najchętniej, proszę za mną.

O kilkaset kroków stała długa stajnia a przy niej krzątali się poznańscy legioniści. Podszedłszy bliżej wskazał mi pułkownik żołnierza wyrzucającego gnój.

— Oto właśnie nasz Marcinkowski, patrzaj Pan jak zamaszyście wyrabia łopatą, już pewnie musiał i konia jak lalkę wymuskać i broń wyczyścić. Pierwszym jest we wszystkiem. — A zwracając się do niego zawołał głośniej:

— Panie Karolu, generał Kaczkowski ma do Pana interes, przyprowadziłem go tutaj i zostawiam was.

Marcinkowski wyprostował się na te słowa, zdjął czapkę i stanął w pozycyi oczekującej rozkazu.

— Pójdziesz Pan ze mną, potrzebuję go na parę godzin.

W kilka chwil był już gotów, a nie wchodząc w żadne rozmowy, zaprowadziłem go wprost do szpitalu i stanąwszy przy łóżku chorego, któremu tego dnia miano odcinać nogę, odezwałem się tonem rozkazującym:

— Zrobisz pan tę operacyę, ci dwaj młodzi lekarze będą pomagali — wybierzesz sobie narzędzia oto tu przygotowane. Chory wie o swem przeznaczeniu i chętnie się na nie zgadza.

We dwadzieścia minut niespełna wszystko było najpiękniej i najczyściej skończone, przewiązane i obandażowane, a Marcinkowski salutując po wojskowemu zapytał, czy mam mu jeszcze co do rozkazania. — Próba ta wypadła arcyświetnie. bo nietylkom się przekonał o istotnie wielkiej chirurgicznej zdolności Marcinkowskiego, ale nadto i o tem, że dość by było wyraźnego rozkazu władzy wyższej, aby go zwrócić na właściwą drogę, na którą żadne perswazye i namowy nie wprowadzą go nigdy. Tegoż więc dnia wieczorem, po herbacie u naczelnego wodza gen. Skrzyneckiego, gdyśmy sami zostali, przedstawiłem mu, jak ważne możemy zrobić nabycie, przenosząc dra Marcinkowskiego z żołnierskiego frontu do służby zdrowia. Generał Skrzynecki uznał to za słuszne i dał rozkaz na piśmie dowódzcy legii poznańskiej, aby ten odkomenderował natychmiast dra Marcinkowskiego do naczelnego lekarza, pod bezpośredniem rozporządzeniem którego ma nadal

zostawać, dodawszy na nim własnoręcznie: „ma być wykonano jutro o godz. 8ej rano“.

Nazajutrz rano, codziennym zwyczajem, wyszedłem do sali dla rozmówienia się z rozmaitemi osobami w interesach służby przybyłemi lub mającemi prywatne żądania do przedstawienia, a w przedpokoju podlekarz Kwiatkowski odbierał od ordynansów raporta z różnych stron nadsyłane. Spełniał on zawsze powinność swą z całą akuratnością i pośpiechem. Miło mi wspomnieć o tym wówczas młodym człeku, ledwie poczynającym kursa lekarskie, a dziś jak słyszę, szczęśliwym i doświadczonym praktyku. Posiadał on całe moje zaufanie, a łagodność i prawość charakteru ujmywały dlań każdego; nieodstępnie będąc przy mnie załatwiał wszystkie pomniejsze bieżące sprawy i pełnił obowiązek mego podręcznego sekretarza. — Otóż wśród tego zajęcia uwiadamia mnie Kwiatkowski, iż ordynans z legii poznańskiej nie chce mu pisma doręczyć, bo ma zozkaz oddać go do własnych moich rąk. Wyszedłem natychmiast do przedpokoju — był to Marcinkowski, jakem się spodziewał. Stał przy drzwiach, zrobił front i z żołnierską subordynacyą podał mi zapieczętowany pakiet.— Czytam głośno: „Z rozkazu naczelnego wodza odkomenderowanym zostaje żołnierz z legii poznańskiej, Karol Marcinkowski, do generał sztab lekarza wojska, gdzie ma zostać pod jego bezpośredniem rozporządzeniem. Podpisano: dowódzca legii“.

— Złapałem przecie ptaszka, rzekłem śmiejąc się.

— Co pan generał rozkaże? zapytał Marcinkowski zawsze wyprostowany przy drzwiach.

— Rozkazuję ci bratku zostać od dnia dzisiejszego zastępcą dywizyjnego lekarza i pełnić funkcyę operatora przy głównej kwaterze (dra Gałęzowskiego nie było jeszcze podówczas w Warszawie).

— Ależ ja jestem prostym żołnierzem, legii mojej opuszczać nie chcę, ani też służby, którą sobie w niej obrałem — odparł żywo cały zmięszany i zarumieniony.

— Cóż ja na to poradzę? Rozkaz wyraźny naczelnego wodza, a pierwszym obowiązkiem żołnierza subordynacya.

— Ha, niech i tak będzie, ale w takim razie o jedną proszę łaskę, aby mi wolno było pełnić nowy obowiązek nie zmieniając munduru mej legii.

Zgodziłem się na to, choć wedle regulaminu służby musiałem przedstawiać tę drobną okoliczność na zatwierdzenie ministra wojny, za uprzedniem zgodzeniem się samego naczelnego wodza. Mundur ten był nadzwyczaj prosty, granatowy surducik z amarantowym kołnierzem i tegoż koloru włóczkowemi szlifami, rzemienny pas z tornistrą i czapka, tak zwana francuska, w formie szlafmycy z wiszącym końcem, wygodna na głowę i pod głową podczas snu. W ogóle w legii poznańskiej żadnych nigdy nie było

błyskotek, a za to surowa powaga, czystość i wzorowy porządek. Widziałem później legią galicyjską, jak po raz pierwszy po swem uformowaniu się przeciągała w paradzie przed naczelnym wodzem, zdaje mi się 10go Czerwca. Na rosłych, pięknych koniach do 600 było jazdy białemi płaszczami osłonionej. Cały rynsztunek, ubrania konia i żołnierza kosztowne, bo galonów i ozdób nie żałowano. Taka formacya dużo zabierała pieniędzy i czasu, i aż po bitwie Ostrołęckiej stanąć była gotowa. Widziałem też i inną legię, na którą możne i krzykliwe obstalunki zapowiadały mnogie jej szwadrony, tymczasem zaledwie w 300 wystąpiła koni. Legia poznańska zaś była cichą, bez pretensyi, złożona z samych prawie obywateli, którzy z całem przejęciem się służbę prostych szeregowców pełnili; nie mnożyła ona oficerów u siebie, poddała się pod rozkazy doświadczonych, a co najważniejsza, zaraz z początku gotową była do boju. Nie dziw, że Marcinkowski przylgnął do niej sercem całem i rozstać się z nią nie chciał.

Jako lekarz pracował on pilnie po szpitalach w Warszawie, gdzie tylko wypadła tego potrzeba, a w marszach był zawsze z główną kwaterą. W codziennych ze sobą stosunkach poznaliśmy się bliżej i pokochali nawet. Przy pewnej oryginalności i dziwactwach miał on wygórowaną szlachetność w charakterze i wielką gruntowność sądu. W najczulszych rozstaliśmy się uściskach, choć zrazu

czuł żal do mnie, żem go podstępem z szeregu wyciągnął. Po bitwie Ostrołęckiej, gdy gen. Chłapowski z oddziałem poznańskim wyruszył na Litwę, nie chciał Marcinkowski pozostawać nadal przy głównej armii, a wolał towarzyszyć swoim Wielkopolanom. Odkomenderowałem go do nich w stopniu dywizyjnego lekarza — a losy rzucając nas potem w różne strony, nie dozwoliły, abyśmy się po raz drugi spotkali.

Miał racyę książe Adam Czartoryski uprzedzając mnie, iż mało było czasu do stracenia. Stanąłem w obozie pod Jabłonną do. 7go Lutego rano, a zaledwie mogłem obejrzeć się w zakresie mej służby, zaprowadzić w niej jakiś ład i porządek i rozlokować kilkudziesięciu młodych lekarzy, wskazując każdemu z nich jego obowiązki i sferę działania, jak oto na dniu 25ym tegoż miesiąca zaskoczyła nas bitwa pod Grochowem, przynosząc odrazu do 5,000 rannych! — Na samym placu walki, za linią bojową w odległości mniej więcej bezpiecznej od strzałów armatnich i w pięciu domach na Pradze pracowaliśmy wszyscy, a natłokowi zajęcia zaledwie wydołać mogliśmy. Dnia tego, przebiegając kilkakrotnie wszystkie ambulansy i stanowiska służby naszej, musiałem dwa razy zmieniać konia. Przekonałem się wówczas, jak dalece dobra i szybka pomoc lekarska wpływa na podtrzymanie ducha w żołnierzu, a jak znów rani go i demoralizuje zaniedbanie jej i pozostawie-

nie go w tej krytycznej chwili na wolę losu. Żołnierz wśród żaru bitwy nie myśli o niebezpieczeństwie, ulega wpływowi ogólnego nastroju, pewnej szczególnej ekscytacyi, jedno ma tylko na myśli — zwycięstwo, i to go całkiem pochłania. Taka przynajmniej była wiara nasza w r. 1831. Ale gdy ranny padnie, zapał z konieczności pod naciskiem fizycznego bolu rozproszyć się musi; wtedy nie widząc pomocy i opieki, zwątpienie szybko przychodzi i ten, co przed chwilą życie swe najmniej cenił, zaczyna przywiązywać do niego wagę i posądza starszych, że je lekko traktują. Niemiłe też wrażenie robią na zdrowych jęki tych, co padli, widziałem starych, doświadczonych żołnierzy, którzy ich przenieść nie mogli. Na polach Grochowa powstała w mej głowie pierwsza myśl utworzenia osobnej służby brankadierów, mających wyłączne zadanie przenoszenia natychmiast rannych za linię bojową. Ułatwia to ich opatrzenie, ale zarówno oszczędza żołnierzowi przykrego widoku i oczyszcza plac walki. Przyjęto później ten system i w innych armiach, a dziś podobno rozpowszechniono go wszędzie.

Natłok rannych w dniu tym wykazał nam także niedostateczność istniejących szpitali. Trzeba było urządzać nowe i to co rychlej. Generał Krukowiecki, gubernator Warszawy, z całą gorliwością dopomagał mi do spełnienia tego zadania, pani Klaudyna Potocka, pani Fredro i inne damy przyłożyły

się też czynnie i w kilka dni w prywatnych kamienicach stanęło do 2,000 łóżek. Ujazdów był głównym punktem. Dywizyjni lekarze Baldof, Przystański i Szwęcki mieli nadzór nad tymi zakładami, a osobna komisya pod prezydencyą X. Lubieńskiego zajętą była dostarczaniem potrzebnych rekwizytów. Przyjechał też podówczas z Krakowa dr. Bronikowski, słynny operator i objął natychmiast przewodnictwo w wielkim szpitalu Aleksandryjskich koszar, a towarzysząca mu młodzież z uniwersytetu krakowskiego częścią przy nim pozostała, a częścią szpital na obóz zamieniała i mężnie w szeregach służyła. W jej gronie poznałem wówczas dwóch młodych lekarzy, Majera i Skobla, zdolnych, szlachetnych i najpoczciwszego serca ludzi; w poświęceniu się ich i nauce ważną znalazłem dla naszej służby zdrowia zdobycz; później, w Elblągu, bliżej jeszcze zetknąłem się z nimi i najmilsze zachowałem ze stosunku tego wspomnienie. Poleciłem im tam lekarską czynność przeciw cholerze, okropnie w Prusach grasującej, a po uśmierzeniu jej organizacyą szpitali dla naszej armii. Z prawdziwą przyjemnością zawiesiłem wtedy na ich piersiach honorowe odznaki, złote krzyże *Virtuti militari*, w dowód uznania pracy i poświęcenia ich dla kraju, czego liczne dali dowody.

Poczęli się też wówczas ściągać cudzoziemscy lekarze, proponując nam swe usługi. Zaprawdę przybywali w porę. Trzeba było

zakładać szpitale na prowincyi po miastach wojewódzkich, urządzać ambulanse przy oddziałach osobno stojących, a pomimo zdwojenia służby zdrowia przez wcielenie do niej tylu młodych lekarzy, rąk brakowało. Pomiędzy ofiarującymi swe zdolności i naukę byli tacy jak Malgaigne, słynny później operator i Pinel, głośny terapeuta, byli też i mniej znani. Liczba ich urosła wkrótce do kilkudziesięciu, a każdemu pracy nie zabrakło. Zdwoiła ją cholera, której pierwsze objawy w armii dały się spostrzedz dn. 10 Kwietnia, po bitwie pod Iganiami. Klęska ta, nieznana dotychczas w Europie, przeraziła nas wszystkich. Po kilkaset chorych dziennie miewaliśmy w obozie, a z początku zwłaszcza śmiertelność była wielka. Zginąć od kuli żołnierz jest przygotowany, wie, że go to w każdej chwili spotkać może, pociesza się, że drogo życie swoje przepłacić każe, i że utrata jego posłuży w rezultacie ojczyznie do odniesienia zwycięstwa, ale marnie ginąć od epidemii i to w chwili, gdy się jest z bronią w ręku w obec nieprzyjaciela — to okropnie! Widziałem starych weteranów, którzy wśród bolów i kurczy zaciskali pięście z rozpaczy na samą myśl, że ich ten los spotkać może. Jeżeli służba zdrowia na placu boju jest bez zaprzeczenia rzeczą nader ważną nietylko pod względem humanitarnym, ale nawet w stosunku do utrzymania ducha w żołnierzu, o ileż ważniejszą się staje w chwilach podobnych! Oczy wszystkich

zwróciły się na nas; naczelnemu wodzowi, którym był wówczas gen. Skrzynecki, musiałem dwa razy dziennie składać raporta, najmniejsze żądania nasze były wypełniane święcie, zdawałoby się, iż punkt ciężkości i życie całej armii przeniosło się na tę porę do mojej kwatery i moich podwładnych. Zakładaliśmy nowe szpitale, z których największy dla cholerycznych był w Mieni, zaprowadzaliśmy różne zaradcze hygieniczne środki, krzątaliśmy się i pracowali na ile nas stało, a Pan Bóg widocznie pobłogosławił szczerym i wytrwałym zabiegom całej naszej lekarskiej rzeszy, bo epidemia słabła z dniem każdym i w końcu całkiem ustała.

Smutne te przejścia zbliżyły mnie wyjątkowo do Skrzyneckiego i wytworzyły między nami stosunek bardziej przyjacielski jak służbowy. Spędzałem nie raz całe wieczory u niego; stanowisko moje nie mogło w nim wzbudzać żadnych podejrzeń, o ile więc był niedowierzającym do innych towarzyszy broni, o tyle zaszczycał mnie swojem zaufaniem. Ambitny, zarozumiały w swych zdolnościach, pełen przekonania, że przez nikogo zastąpionym być nie może, marzący o walnej bitwie, którą pod murami Warszawy z tryumfem stoczy, ani się spodziewał, iż wkrótce będzie pozbawiony władzy i całego jej uroku. I nas też zaskoczyła ta zmiana znienacka. Była to, o ile przypomnieć sobie mogę, 8 Sierpnia rano. Przyjechali do głównej kwatery w Bolimowie prezes Rządu

Narodowego ks. Adam Czartoryski i dwaj członkowie Bonawentura Niemojewski, zawsze niechętny Skrzyneckiemu, i Barzykowski. Tacy niespodziewani goście w obozie zrobili na wszystkich silne wrażenie. Różne domysły poczęły krążyć wśród starszyzny, a było wówczas więcej 50ciu tysięcy wojska skupionego koło głównej kwatery. Smutne przeczucia przeważały, bo jakże inaczej być mogło przy nieczynności armii naszej, i wiedząc powszechnie, że masa Moskali wciąż przeciąga przez Wisłę i skupia się pod Łowiczem. Trzej przedstawiciele rządu zaraz po przybyciu, zamknęli się z wodzem naczelnym, poleciwszy adjutantom i straży nikogo nie wpuszczać. Tam, jakeśmy się wkrótce dowiedzieli, przedstawili oni generałowi Skrzyneckiemu, iż nie spełnił planu uznanego za konieczny, i że zatem winien jest złożyć dowództwo.

Skrzynecki rozwijał przed nimi możebność stoczenia jeszcze stanowczej bitwy pod murami Warszawy, gdzie, po zadanej klęsce nieprzyjacielowi, oparty o stolicę, mógłby śmiało patrzeć w przyszłość. Ale nie ufano już jemu, a zapadłe postanowienie Rządu narodowego spełnić się musiało. Posłano po generała Lewińskiego, szefa głównego sztabu i kazano mu wezwać wszystkich generałów, dowódców pułkowych, bateryjnych i oddzielnych komend. Szybko się to spełniło, gdyż obóz cały rozciągał się wieńcem na około głównej kwatery. Zebranym oznajmiono, iż

wódz naczelny generał Skrzynecki z miejsca swego ustępuje, Rząd więc narodowy wzywa ich, aby nowego wodza wybrali. W pobliskiej szopie odbyła się elekcya najspokojniej; kilka wotów miał gen. Prądzyński, znacznie więcej gen. Dembiński, ale nie tyle, aby wodzem ogłosić go można było. Zakomunikowano rezultat delegatom Rządu narodowego, a ci wziąwszy pod rozwagę ostatnią okoliczność mianowali gen. Dembińskiego zastępcą wodza naczelnego i w tej formie zaszłą zmianę wojsku ogłosić kazali. Tymczasem różne wieści przelatywać zaczęły szeregi, budząc w nich najrozmaitsze uczucia i usposobienia. Trzeba było zaradzić temu natychmiast i nie dopuścić, aby niesubordynacya i zamięszanie rozszerzać się miały. Skrzynecki, który po zamianowaniu Dembińskiego sam najusilniej domagał się, aby mu oddano dowództwo korpusu piechoty, pierwszy zaproponował dosiąść konia i ruszyć do obozu. I jam się znajdował w świcie towarzyszącej obu generałom. Stanęliśmy najprzód przed frontem piechoty. Skrzynecki wezwał wszystkich oficerów, aby przy nim koło zrobili, a później w te się do nich odezwał słowa:

— Panowie koledzy broni! Rząd narodowy jako najwyższa władza uznał potrzebę zmienienia naczelnego wodza. Cele Rządu narodowego są wielkie, gdyż dobro kochanej ojczyzny ciągle go zajmuje. Stosować się do jego woli, pomagać mu we wszystkiem jest obowiązkiem każdego z nas. Naj-

posłuszniej przeto rozkazowi władzy uległem i wybranemu przez waszych dowódzców generałowi Dembińskiemu naczelnictwo składam. Miło mi bardzo, że padł wybór na takiego męża. Znacie jego głośną odwagę, jego niezmordowane trudy w kampanii litewskiej, gdzie mężne stawił czoło, skąd mądrą przezornością ocalone wojsko i z niem młodzież litewską do nas przyprowadził. Nie opuszczam wszakże szeregów ojczystych. Zawsze piechotny żołnierz w piechocie służyć będę. Żądałem, aby mi poruczono dowództwo nad pierwszym korpusem. Zrobiono mi ten zaszczyt, abym na waszem bracia i koledzy stanął czele. Pójdziemy, gdzie nam wódz naczelny rozkaże. Pod jego przewodnictwem i z pomocą Boga honorowi i potrzebie ojczyzny odpowiemy. Z całem przeto zaufaniem oddajmy się generałowi Dembińskiemu. Niech żyje naczelny wódz nasz generał Dembiński!

Tak po trzykroć wykrzyknął Skrzynecki przy odkrytej głowie. Wojsko powtórzyło hura!

Generał Dembiński odpowiedział z podziękowaniem Skrzyneckiemu, że go tak zaszczytnie wojsku poleca. Wyraził, iż los padł na niego nad jego zasługi i wartość, że gotów będzie zawsze ustąpić miejsca temu, kogo zdolniejszym i godniejszym osądzą, że czuje, iż w niczem generałowi Skrzyneckiemu nie wyrówna, tem więc trudniejsze jest jego położenie. Nakoniec dodał: „z woli wybierających, i na rozkaz Rządu Narodowego

biorę ten zaszczytny ciężar na siebie. Z szablą w ręku, z sercem pełnem miłości ojczyzny staję na czele mężnego i szlachetnego naszego wojska. Honor i ojczyzna wskażą nam drogę, a Bóg nam pobłogosławi Ale w usiłowaniach naszych, twojej rady, twego męstwa generale Skrzynecki potrzebujemy. Z tobą śmielsi i pewniejsi będziemy. Niech żyje generał Sarzynecki!"

O ile przemówienie Skrzyneckiego było gładkie, czyste, zwięzłe i ozdobne, o tyle słowa Dembińskiego szły tępo, trudno i z wielokrotnem powtarzaniem się, ale za to w oczach jego był połysk ognistego poświęcenia się, w ruchach i uderzeniach po szabli wyraz rycerskiej na wszystko gotowości. Pomimo tego, wymowa i tym razem odniosła pewną przewagę, hura na cześć Skrzyneckiego rozległo się dokoła, a nawet tu i owdzie dały się słyszeć wykrzykniki: — Niech żyje generał Skrzynecki, wódz naczelny! Niech nim i nadal zostanie!

Odjechaliśmy do dywizyi kawaleryi. Tam przemowa jednego i drugiego, z małą odmianą frazesów. Jazda wszakże sympatyczniej powitała Dembińskiego, jako generała tejże broni. Artylerya zachowała się obojętnie.

Wróciwszy wreszcie do głównej kwatery, Skrzynecki, w którym strudzenie moralne widocznem było w omdlałych oczach i biadej twarzy, unikając natrętnych w takiej chwili świadków i widzów, wysunął się nie-

postrzeżony do ogrodu. Tam właśnie, z drem Gałęzowskim i moim bratem Michałem przechadzaliśmy się, rozmawiając o zaszłym wypadku. Spostrzegłszy ex-wodza, i szanując jego boleść, chcieliśmy się usunąć w boczną uliczkę, ale Skrzynecki szerokim krokiem posunął się ku nam, i ująwszy mnie za rękę, z sobą poprowadził. Gdyśmy uszli nieco kroków, głosem pełnym wzruszenia i burzy wewnętrznej, zapytał:

— A Twoja służba idzie zawsze dobrze? Powiedz, co robisz, że cię słuchają, że przeciw tobie nie intrygują?

— Służymy — odpowiedziałem — cierpiącym braciom, a przy tem zajęciu, nie pora myśleć o sobie. Rząd i wojsko różne mieć mogą cele, widoki i dążenia; — u nas zaś wszystko do jednego ściąga się mianownika: przynieść pomoc i ulgę temu, kto jej potrzebuje.

— Więc cóż? — Stanąwszy raptem, z wyrazem żalu zawołał Skrzynecki — więc i tybyś wolał widzieć na tronie brodę Sułtana, niż Barbarę Radziwiłównę?

— Wziąłem go za obie ręce, uścisnąłem je po przyjacielsku i rzekłem:

— Uspokój się mój generale, zanadto bierzesz do serca to, co cię spotyka, i dla tego mnie nawet o nieprzyjaźń dla siebie posądzasz. Pomijam bo niesłuszne podejrzenie, ale zamilczeć nie mogę, iż właśnie w tej chwili radbym cię widział chłodniejszym i z większą rezygnacyą znoszącym los swój.

Wszak jeszcze szerokie pole zostaje ci do działania, generale.

— Masz racyą, przerwał Skrzynecki spokojniej, dla tego też biorę korpus pod moje dowództwo... Ja chcę i pragnę służyć krajowi.... choć, jak niegdyś za Zygmunta Augusta znalazł się szlachcic co krzyknął: wolę widzieć na tronie brodę Sułtana, niż Barbarę Radziwiłównę, tak dziś mówią, niech ktokolwiek będzie naczelnym wodzem, byle nie Skrzynecki. To mnie drażni, to mnie boli. — Ustąpiłem jednak, sam widziałeś bez żadnego oporu. Zobaczymy co będzie, nic dobrego nie przewiduję. W Warszawie intryga i prywaty snują skrycie kabały, niezadługą wyjdą one na wierzch. Jesteśmy dopiero w pierwszym akcie tej tragedyi.

Dano znać, iż obiad gotów, zawróciliśmy się do głównej kwatery. Ruch tam był i gwar wielki. Z odmianą wodza inną przybierała główna kwatera postać, inaczej poczęły się grupować osoby, choć zaledwie parę godzin minęło, jak z Skrzyneckim zapadła kortyna! Na widok jego umilkło wszystko, a generał Dembiński dał mu pierwsze miejsce przy stole.

O zdolnościach wojskowych Skrzyneckiego historya dawno już wydała swój wyrok; nie jestem dość kompetentnym, abym miał coś o tem stanowić, powiem tylko, iż chwila obrana do zmiany naczelnego wodza nie wydawała mi się stosowną. Był na to czas po bitwie pod Wielkiem Dębem, gdy

bezczynność pod Siennicą wszystko sparaliżowała; dalej po marszu pod Siedlce, gdy cholerą przestraszony wódz cofnął się z korzystnego stanowiska; wreszcie po okropnej bitwie pod Ostrołęką, gdzie lekceważenie planów nieprzyjaciela strumieniami krwi okupić trzeba było. W owych chwilach szerokie jeszcze było pole dla wojennego geniuszu, bogata w wypadki przyszłość dla strategii. Ale pod Bolimowem, na małym przesmyku kraju ograniczeni, tulić się nam koniecznie należało do łona Warszawy i los swój z losem stolicy związać. Tak też właśnie w desperackiej dobie Skrzynecki był postanowił, niechby więc już kończył kartę swego i narodu przeznaczenia. Kto wie, możeby swe przeczucie sprawdził i pod murami Warszawy odniósł zwycięstwo..... możeby mniejszy spadł na nas potok nieszczęść?

Co do mnie, jako naczelnik służby zdrowia, o tem jeszcze przemilczeć nie mogę, iż w przeddzień bitwy pod Ostrołęką, Skrzynecki do tego stopnia nie przewidywał bliskiego a krwawego starcia, że dał mi najwyraźniejszy rozkaz, abym wszystkie furgony i ambulansowe pociągi wprzód do Pułtuska wyprawił, bojąc się, aby takowe nie utrudniały na drugi dzień marszu armii. Mało tego, gdy pierwsze strzały armatnie padły, i bitwę trzeba było przyjąć, zapomniał zupełnie o danym mi onegdaj rozkazie i nie uwiadomił nawet, abym się miał na pogotowiu. Szczęściem, na wszelki wypadek

zatrzymałem przy sobie chirurgicznych zaopatrzeń na 100 rannych, a gdym zmiarkował, że dzień będzie gorący, wysłałem natychmiast Kronenberga z poleceniem wstrzymania i zawrócenia napowrót Deifingera kroczącego najspokojniej ze wszystkiemi zapasami i przyrządami do Pułtuska. Stało się dobrze, bośmy z górą 3,000 rannych tego dnia opatrywać musieli. A coby było, gdybym był rozkaz wodza dosłownie spełnił? — Wieczorem przypomniał sobie Skrzynecki swą omyłkę, a widząc, że wszystko zrobione, niczego nie brakuje, i że przy obozowych ogniskach resztę przewiązek i operacyj się kończy, nie posiadał się z radości, publicznie uściskał mnie i dziękował, a gdyśmy do Pułtuska przybyli, krzyżem kawalerskim chciał obdarzyć, alem się tym razem wymówił, żądając zarówno i dla wszystkich innych lekarzy takiejże nagrody, bo jednakowo pracowaliśmy z narażeniem życia. W bitwie tej odznaczyli się szczególnie drowie. Chrzanowski, Wierzbowski, Sauvé, Stakelbrandt, mój brat Michał, młodzież uniwersytecka i wielu lekarzy z zagranicy przybyłych.

W dniu tym zaszło też nieporozumienie pomiędzy Deifingerem a Kronenbergiem. W pośpiechu dałem temu ostatniemu ustny tylko rozkaz zawrócenia pociągów i ambulansów. Deifinger starszy wiekiem i stopniem nie chciał wierzyć młodemu lekarzowi, i żądał pisma odemnie. Przyszło do sprzeczki. Musiałem aresztować obudwóch, gdyż jeden

drugiego miał na pojedynek wyzwać. Wkrótce załagodziła się ta sprawa przez wdanie się kolegów, i obadwa w najlepszej harmonii służbę swą pełnili.

W ogóle słusznie podziwiał Skrzynecki wzorową karność i przykładne sprawowanie się służby zdrowia. Oprócz małych usterek i nieporozumień, które wszędzie na świecie zdarzyć się mogą, szło u nas wszystko jak z płatka. Poczciwa i zacna młodzież zwłaszcza dawała na każdym kroku dowody prawości, szlachetności i sumiennego pełnienia obowiązku. Ona to była wzorem porządku i uległości dla władzy wtedy nawet, kiedy się już rozrywały węzły zależności i kiedy moralny rozstrój nurtował szeregi armii. Trudy i poświęcenia się nie zrażały jej wcale, przeciwnie dodawały bodźca i zachęcały do wytrwałości. Wszyscy też pełnili chlubnie swe zadanie; kilku z nich padło przedwcześnie ofiarą gorliwości podczas epidemii r. 1831, a wielu zostało rannymi pełniąc obowiązek wśród najsilniejszego ognia. — Młodzież ta pozostała dla mnie na zawsze najmilszem wspomnieniem z owych chwil pełnych nadziei — a brzemiennych zawodami i smutkiem. Później niektórzy z tego grona zyskali sobie rozgłośne po cudzych krajach imie, inni zaś pożyteczną pracą własnemu zasłużyli się społeczeństwu.

Przykład ich oddziaływał na całą masę zagranicznych lekarzy, i ci też rzadko kiedy ośmielali się wykraczać z karbów słu-

żby. Była to zbierana z całego świata drużyna. Zamiłowanie nauki, częściej zaś chęć zrobienia karyery, zdobycie rozgłosu, a czasem nawet awanturnicze usposobienie sprowadziło ich do nas. Nieznajomość języka i zwyczajów naszych wytwarzała tysiączne kollizye, wśród których bez tej gruntowej podstawy, jaką była nasza własna służba zdrowia, nigdyby się nie dało przyjść do ładu i porządku.

Po zamianowaniu generała Dembińskiego naczelnym wodzem złożyłem mu natychmiast, przy raporcie o ogólnym stanie zdrowia armii, prośbę o dymisyą dla mnie. Sądziłem, iż ją przyjmie i wolałem uprzedzić, niż być wyprzedzonym. Stosunek mój osobisty ze Skrzyneckim naprowadzał mnie na tę myśl. Dembiński jednak zdziwił się mocno, zobaczywszy to podanie, nie przyjął go, uściskał mnie i do wspólnej nadal pracy zachęcił. Toż samo stało się później i z gen. Rybińskim.

Pomimo zaufania, jakiem mnie zaszczycano i serdecznych, prawdziwie przyjacielskich węzłów, które mnie łączyły z podwładnymi, wyznać muszę, iż ogrom ciążącej odpowiedzialności i natłok zajęcia nieraz wzbudzały we mnie chęć usunięcia się i wypoczynku. Zadanie lekarza zawsze jest ciężkiem, musi on wciąż stykać się z cierpieniem i niedolą ludzką, a cóż dopiero wśród tak wyjątkowych okoliczności! Są jednak w tym zawodzie chwile, które pozwalają zapo-

mnieć o wielu doznanych przykrościach. Jedna z takich przytrafiła mi się w obozie i do dziś w pamięci pozostała.

W czasie mojego pobytu w Wilnie poznałem tam był zacną i poczciwą litewską rodzinę państwa S. Mieli oni dwóch synów młodszych odemnie o lat kilka, dobrych i poczciwych chłopaków. Często ich odwiedzałem, a ojciec i matka tak mnie pokochali, że naprawdę jak o najbliższego krewnego się troszczyli. Później, w powrocie do Krzemieńca, musiałem ich odwiedzić na wsi, gdzie kilkodniowe nadzwyczaj gościnne czekało mnie przyjęcie. Nie raz myślałem sobie czem się tym poczciwym ludziom za tyle serca odwdzięczę. Tymczasem mijał rok po roku, aż ich dziesiątek się zbiegło, nowe wrażenia przytępiały dawniejsze, na Litwę nie zdarzyło mi się w tym przeciągu czasu jeździć, żadna wiadomość o państwu S. nie dochodziła mnie i pamięć o nich została tylko jako miłe wspomnienie minionej przeszłości.

Dnia 10 Kwietnia r. 1831 po bitwie pod Iganiami ze znacznym krwi rozlewem przebytej, wypadło mi przejrzeć plac boju, gdzie lekarze nasi tuż na miejscu rannych opatrywać musieli. Byłem właśnie na pobojowisku zajętem poprzednio przez szeregi rossyjskie. Jeden z lekarzy raportuje mi, że pewien oficer z korpusu litewskiego, tuż opodal leżący, nie pozwala sobie wyjąć kuli karabinowej w udzie ugrzęzłej. Poszliśmy do niego.

— Kulę tę trzeba wyjąć, rzekłem, bo później.....

— Cóż później, odezwał się żywo ranny — amputacya? na nią nie pozwolę, lepsza śmierć jak kalectwo, społeczeństwo bez jednego dudka obejść się może,

Głos i wyraz twarzy uderzyły mnie; ktoś znajomy, wpatruję się lepiej i poznaję Leona S. starszego syna państwa S.

— No, mój Leonie, nie pora filozofować, chcesz, to sam ci operacyę zrobię, nie długa, nie bolesna.

— Czyż to być może! pan Karol, skupiając na mnie całą swą uwagę, zawołał chory. Co pan tu robisz?

— Potem o tem, a teraz oddaj mi tę kulkę, bo to nasza własność.

W parę chwil wyciągnęliśmy ją szczypczykami, głęboko uwięzłą. Kazałem go zanieść do karczmy, służącej za tymczasowy szpital, z kuchni Naczelnego Wodza posłałem mu bulionu, a późnym wieczorem zaszedłem go odwiedzieć. Rodzice jego żyli jeszcze, choć, jak mówił, strasznie się postarzeli; brat młodszy, Stanisław, gospodarował przy ojcu, i miał zamiar w tym roku się żenić, a on, od lat ośmiu już służąc w korpusie litewskim, doszedł do stopnia sztabs-kapitana. Nie mogłem wiele czasu mu poświęcić, trzeba było ruszać dalej, poleciłem więc, aby go ambulansem odwieźli do Warszawy, do oficerskiego szpitala, a żegnając się z nim

wśród podziękowań i wynurzeń, prosiłem, aby często dawał mi o sobie wiadomość.

W trzy miesiące potem, to jest w Lipcu, będąc w Warszawie, zaszedłem do wojennego jej gubernatora, którym podówczas był generał Dembiński, po szczęśliwie dokonanym odwrocie z Litwy. W miesiąc dopiero później został on zastępcą naczelnego wodza. Załatwiwszy się z nim w rzeczach służby, miałem już odchodzić, ale Dembiński zatrzymał mnie na chwilę mówiąc:

— Mam tu podporucznika od ułanów chorego nieco, ciągle kaszle, a dobry chłopiec, chce służyć i mnie potrzebny. Bądź pan tak łaskaw, i rzuć na niego okiem. Jest dziś ordynansem przy mnie, oto w tym drugim pokoju być musi.

Wchodzę .... i poznaję Stanisława S. Blady, zmęczony, jak wszyscy zresztą z owej rejterady — bardziej do trupa niż do człowieka podobny. Przywitanie było nader czułe.

— A gdzież Leon, zapytałem po chwili.

— Nie wiem, odpowiedział. Bóg go gdzieś w korpusie litewskim prowadzi. Może się już nie zdybiemy.

— Ej, bądź lepszej myśli i przyjdź do mnie jutro rano o 8mej, na Miodowej w domu Grabowskiego, zobaczę co ci do zdrowia brakuje i o Leonie pomówimy dłużej.

Za powrotem do siebie posłałem wnet na Pragę, gdzie Leon wyszedłszy ze szpitala najął sobie mieszkanie, i kazałem go prosić

aby nazajutrz rano o pół do ósmej koniecznie mnie odwiedził.

Stało się jakem życzył. Przybył Leon w porę, zaprowadziłem go do drugiego pokoju, a tymczasem zaanonsowano mi Stanisława. Piersi były zdrowe, romatyzmu tylko się nabrał i wielkiego zmęczenia. Za parę tygodni, przy należytem zachowaniu się mógł być zdrów zupełnie.

— A teraz powiedzże mi, czyś żadnej o Leonie nie miał wiadomości?

— Żadnej, ani ja, ani u nas w domu. Rodzice strasznie się tem martwią. Tyle na nich nieszczęść spadło. Zięć jeden zginął podczas bitwy na mojem ręku, drugi wyszedł z kraju, pozostali sami; ja, zaciągnąwszy się do szeregów narodowych opuszczać ich nie mogę, trzeba obowiązek spełnić do końca, gdyby przynajmniej Pan Bóg Leona przy zdrowiu zachował, byłoby to wielką dla rodziców pociechą. Może generał co wiesz o nim, może zabity lub ciężko ranny?

— Poczekaj, jest tu ktoś, co cię dokładnie objaśni.

Otworzyłem drzwi do drugiego pokoju, dwaj bracia rzucili się sobie w objęcia.

Co się z nimi później stało — niewiem. Nie oni jedni przeminęli bez wieści w tej panoramie życia ludzkiego. Co do mnie, dług sercem zaciągnięty, sercem też spłaciłem, i do dziś zachowuję miłe wspomnienie tak

niespodziewanego zbiegu okoliczności. Zaprawdę, mądrze mówi przysłowie: góra z górą się nie zejdzie — a człowiek z człowiekiem się spotka, a ja dodam, iż dobra to rola — serce ludzkie, kto ją zasiewa, prędzej lub później hojny plon zbierze.

KONIEC CZĘŚCI Iszej

Spis rzeczy.

Przedmowa III
Z opowiadań mojego ojca . . . V—XXXVII
Szkoła Krzemieniecka i Tadeusz Czacki . 1—54
W Wilnie 1815 do 1821 . . . . . 55—165
W Warszawie rok 1830 . . . . . 167—228
W Obozie rok 1831 . . . . . 229—261

THE BORROWER WILL BE CHARGED THE COST OF OVERDUE NOTIFICATION IF THIS BOOK IS NOT RETURNED TO THE LIBRARY ON OR BEFORE THE LAST DATE STAMPED BELOW.

S.4.79787
OCT 27 '76 H
OCT 25 1976
CANCELLED
NOV 26 '76 H
NOV 8 1976
5513522

WIDENER
BOOK DUE
NOV - 8 1988
CANCELLED
FEB 07 1990
278796

3 2044 036 014 306

„DOM KSIĄŻKI"
Przedsiębiorstwo Państwowe
POZNAŃ
ANTYKWARIAT
KSIĘGARNIA
Pz. Nr .....
12192